

JAKUB KORNHAUSER

WOLNOŚĆ KRZEPI



JAKUB KORNHAUSER
WOLNOŚĆ KRZEPI

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:

Joanna Nowostawska-Gyalókey

Współpraca: Paulina Kasprzycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk

Korekta: Ewa Ślusarczyk, Adam Wencel

Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska

Projekt graficzny, skład i łamanie: Magda Gardela

Przygotowanie zdjęć do druku: Zbyszek Czapnik

Na okładce: dzieci podczas pracy przy budowie Kopca Niepodległości
imienia Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie, maj 1935 roku.
NAC

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca też do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

www.mik.krakow.pl

FB/mik.krakow

ISBN 978-83-61406-54-9

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2018

Publikacja powstała w ramach XX Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 7000 egz.

Druk: Drukarnia Leyko

JAKUB KORNHAUSER
WOLNOŚĆ KRZEPI

Kraków 2018

SPIS TREŚCI

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie	8
WESELE PRZY SMĘTNEJ Dworek Rutkowskich w Krakowie-Bronowicach	24
KOMU BIJĄ DZWONY Kościół pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Raclawicach	40
NA ZAPIECKU Piec kręgowy w Płazie	54
BAKCYLE POSTĘPU Kamienica Bujwidów w Krakowie	70
NADDUNAJECKA SAGA Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i dwór Żabów w Zbylitowskiej Górze	86
MIASTO, MASA, MASZYNA Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach	102
LUDOWY HETMAN Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach	118
Z BIDONEM I MENAŻKĄ Fort 50 ½ O Barycz w Krakowie	134
Podziękowania	148
Bibliografia	151

Szanowni Państwo!

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to zawsze wyjątkowy czas w naszym regionie. To czas nie tylko celebrowania bogactwa kulturowego Małopolski, ale też moment, kiedy lokalna historia splata się ze współczesnością. Wreszcie to czas fascynujących podróży, opowieści i spotkań z dziedzictwem.

W tym roku Dni Dziedzictwa odbędą się już po raz dwudziesty. Dla wszystkich Małopolan oraz osób odwiedzających nasz region będzie to doskonała okazja do świętowania stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Podczas wydarzenia – które w tym roku przebiega pod hasłem „Wolność krzepi” – opowiemy także o ciężkiej pracy nad zjednoczeniem ziem po pierwszej wojnie światowej, ale też ogromnym entuzjazmie Polaków podczas budowania wolnego, nowoczesnego państwa.

W Krakowie, Płazie, Raclawicach, Tarnowie-Mościcach, Wierchosławicach i Zbylitowskiej Górze zaprezentujemy wszystkim uczestnikom Dni Dziedzictwa aż jedenaście zabytków związanych z międzywojenną Małopolską i pokrzepimy się wspomnieniami o tych znanych, ale i nieco zapomnianych postaciach, które na stałe wpisały się w dzieje II Rzeczypospolitej.

Serdecznie zapraszam do wyruszenia w podróż w czasie po Małopolsce dwudziestolecia międzywojennego! Życzę Państwu wielu wrażeń i mam nadzieję, że jubileuszowe, Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego przyczynią się do poznania fenomenu kulturowego bogactwa i różnorodności naszego regionu.



Jacek Krupa
Marszałek Województwa Małopolskiego

Wolność krzepi

Kiedy wybuchły lata dziewięćdziesiąte, miałam kilkanaście lat. Pamiętam te emocje, poczucie, że teraz wszystko będzie inne, że w końcu zbudujemy nową Polskę, dokładnie taką, jakiej pragniemy. O ileż większa musiała być euforia, przekonanie, że odtąd wszystko będzie nowe, dobre, piękne – gdy po 123 latach niewoli wybuchła II Rzeczpospolita!

Jak pisze autor, „Wolny kraj ma to do siebie, że wszyscy chcą pracować na potęgę ku jego chwale”. I o tym jest ta opowieść: o modernizacji kraju, awangardzie i miastach ogrodach, ruchach spółdzielczych, armii i akademii, głodzie wiedzy i domach ludowych, kółkach rolniczych i salach gimnastycznych, ambicjach i codziennej pracy, ludziach wreszcie: kobietach i mężczyznach, architektach i innowatorach, literatach i robotnikach, społecznikach i medykach, profesorach i generałach.

Szybko okazało się jednak, że różne osoby różnie sobie tę nową Polskę wyobrażają i że nic nie jest tak oczywiste, jak się wydawało. I o tym także jest ta opowieść. O wysiłku, niezrozumieniu, zaczynaniu od zera, przeciwnościach losu i tym, że drogi do celu bywają niezwykle kręte.

Słowa wciąż brzmią znajomo. Wyzwania nie tracą na aktualności. Chcielibyśmy nowoczesnej Polski?



Joanna Orlik
Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury
w Krakowie

Prezydent RP Ignacy Mościcki (w środku, na fotelu) wśród uczestników VI Zjazdu Stowarzyszenia Elektryków Polskich przed nieotynkowanym jeszcze gmachem Akademii Górniczo-Hutniczej, czerwiec 1934. NAC



MIĘDZY MŁOTEM
A KOWADŁEM
GMACH GŁÓWNY AKADEMII
GÓRNICZO-HUTNICZEJ
W KRAKOWIE

Chcielibyście miarkę patosu, rozmachu chcielibyście, czegoś konkretnego w miejsce zabiedzonych duktów, chybotliwych kamieniczek i placów grzęznących w błocie. Miasta męznego, co punktem być może odniesienia dla nauki, dla przemysłu, dla pracy. Co pęknąć nim można z dumy. Nowe miasto na nowe czasy musi zapierać dech w piersi pani, w piersi pana, nie bójmy się słów: w piersi całego społeczeństwa Krakowa, i piersiach okolicznych do tego. Owszem, targi końskie na placu Na Groblach i panie z nabiałem na Rynku mogą swojsko, malowniczo mogą wyglądać na obrazkach, ale za punkt odniesienia dla cywilizacyjnych skoków służą, przyznacie, dość kiepsko. Dlatego nadzieja raczej w stawianiu monumentalnych gmachów, kubaturą przysłaniających cały świat, w projektowaniu reprezentacyjnych alej, grzmiących hukami samochodów, arterii, które hardo wiodą tam, gdzie sukces i bogactwo, w budowaniu podwalin dla uczelni, które następnie same budować będą. I zamiast płodzić natchnione wytwory ducha, jak zwykli to robić cikliwi humaniści, kilofem wyrąbią pokłady ogólnonarodowego dobrobytu.

No i potęga ma bić ze wszech stron, moc i wielkość! Nic więc dziwnego, że gdy zapada decyzja o powołaniu Akademii Górniczej, szkoły wyższej z półki najwyższej, o którą upominano się od dziesięcioleci, od czasów kieleckiej AG i Stanisława Staszica (pierwsze dekady XIX wieku), trzeba pomyśleć o równie porządnej i prestiżowej, a jak, siedzibie. Ma być na bogato: skoro i Lwów chciał mieć u siebie uczelnię górniczą w ten deseń, to ważne, żebyście mu teraz pokazali, że Kraków lepszy, obrotniejszy i dobrze wie, jak się od zera stawia akademickie miasto. Miasto, tak jest, miasto, bo dziecinno-prowincjonalnym wszakże mianem „miasteczka” to, ech, naprawdę, nie wypada zwać tego urbanistycznego kolosa na żeliwnych nogach. Kraków to polis przecież, nie wygwizdów jakiś, chyba nie myślicie inaczej?

Pech, czyli innymi słowy dziejowa konieczność, chciał, że decyzja wiedeńskich czynników zapada tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, zatem o żadnych pracach, choć komitety budowy działają, a plany lśnią pomadą nowoczesności, mowy być nie może. Franciszek Józef I, który poparł



inwestycję, kończy swoją ziemską misję szybciej niż ktokolwiek śmiał przypuszczać. Wszystko, co zdawało się pewne, pewne być przestało: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Więc smutek. Ale zaledwie parę lat później – lat w okopach, transejach i lazaretach, gdzie tylko rum pomagał, jak wyczytanie pilnie u Blaise’a Cendrarsa – z dawien dawna wyciekający niepodległościowy bakcyl zaraża wszystkich, nawet tych, co byliby mniej odporni na potrzebę postępu. Zaraża na dobre i przyszłość rysuje się wam majestatyczna.

18 października 1918 roku Komitet Organizacyjny Akademii Górniczej w Krakowie ogłasza otwarcie nowej szkoły wyższej już od roku akademickiego 1919/1920. Komitet, w skład którego wchodzi profesorowie z Uniwersytetów Jagiellońskiego i Lwowskiego, wiceprezydent Krakowa oraz ceniony architekt Józef Sare, muzealnicy, notable i kto tam jeszcze, nie ma wątpliwości: celujemy w dwa wydziały, górniczy i hutniczy. Szkoda tylko, że ministerstwo nie podzieli tych odważnych wizji i na przymiotnik „hutniczy” w nazwie uczelni trzeba będzie poczekać ze trzy dekady, choć sam wydział udaje się lada chwila otworzyć. Niemniej robota wszystkim pali się w rękach, więc Rada Ministrów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie ma co zwlekać i 8 kwietnia 1919 roku powołuje do życia Akademię Górniczą. W „Dzienniku Urzędowym” Ministerstwa Robót Publicznych czytacie słowa pełniące funkcję iście magiczną, z niczego bowiem stwarzające nową rzeczywistość: „Akademia Górnicza będzie otwarta w październiku 1919 roku, a przedtem odbędą się wpisy na pierwszy rok nauki. Następne lata Akademii Górniczej otwierane będą co roku, aż do zorganizowania wszystkich czterech lat studiów na obu wydziałach (górnym i hutnym)”.

AG – to brzmi chwacko! Tłumy kandydatów na żaków walą drzwiami i oknami, zwłaszcza że eks-austro-węgierskie uczelnie techniczne w Leoben i Przybramie, gdzie kształcili się młodzi Polacy, nagle tych Polaków, byłych już tylko współziomków, a teraz wrażeń zagraniczników, tak szczodroliwie jak dotychczas nie witają. Selekcja idzie na noże, niczym dziś na ujętowską filologię szwedzką, a raczej jak w Starym Teatrze przed *Weselem* Jana Klaty. Chcielibyście do braci studenckiej



Marta Suchankówna, pierwsza kobieta promowana w Akademii Górniczej w Krakowie, czerwiec 1936 roku. NAC

na AG wstąpić na dobre i złe? Proszę bardzo, ale najpierw musicie zaliczyć całą masę egzaminów-kobył. Trudno orzec, czy taki marszałek Piłsudski toby się dostał, czy raczej kwitłby gdzieś w smętnych zakamarkach pod kreską, lecz tutaj trafiła mu się rola zgoła inna. Oto 20 października 1919 roku w auli Collegium Novum UJ Naczelnik Państwa, zwracając się do rektora UJ Karola Estreichera, wygłasza pamiętne słowa: „Magnificencjo, świetny Senacie, dostojne Zgromadzenie! Niniejszym ogłaszam Akademię za otwartą”. I znów, drodzy państwo, jak w bajce: pstryk, słowo się rzekło, akademia stoi.

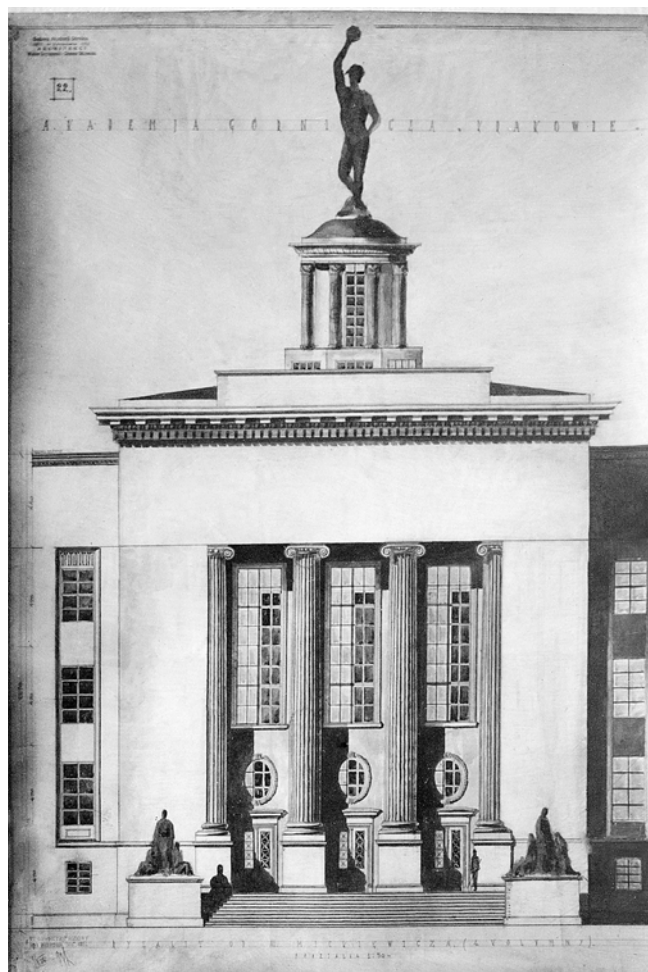
Nie stoi. To, że inauguracja odbywa się w salach starszego – nieco już może sędziwego, choć w metrykę popatrywać nie wypada – brata, to nie pomyłka. Wiecie, zawsze jest tak na weselu, że wstanie podпиты wujek i zepsuje atmosferę cukierkowego szczęścia, wywlekając jakąś nieprzyjemną historię, o której wszyscy woliliby zapomnieć. Wiecie to z filmów i literatury, wiecie z własnych doświadczeń, ale wiedźcie też od teraz, że i owo uroczyste otwarcie AG kończy się takim cokolwiek zgrzytliwym apelem do władz: wszystko pięknie, ładnie, panowie, ale może byśmy najpierw zbudowali jakiś elegancki gmach, żeby tych studentów było gdzie przyjmować, co nie? Pierwszy urzędujący rektor, Antoni Hoborski, który skądinąd patronuje dziś pięknej krakowskiej uliczce, wspinającej się spod Lasu Kosocickiego pod kosocicki fort i kościół (choć niektórzy mieszkańcy wolą, nie wiedzieć czemu,



czcić na tabliczkach niejakiego „Hoborowskiego”), musi działać. Kolejni rektorzy podobnie. Czasu dużo nie ma, a bryza wolności nie będzie wiała wiecznie. Budujecie? Budujemy!

No dobra, budować można, tylko kto da na to kasę? Jasne, pod frakami i w dandysowskich krawatkach łącznie kładziecie kamienie węgielne pod budowę gmachu – jest czerwiec 1923 roku – ale ledwo rozpoczętą budowę wstrzymuje zakręcony kurek z funduszami ministerstwa. I to ma być ten dynamizm, to ma być ten entuzjastyczny rozwój narodowego potencjału, to ma być ten dumny pomnik wystawiany wolnemu państwu? Wszak projekt leży i kurzy się w szufladce od 1913 roku. Sławomir Odrzywolski i Adam Ballenstedt wygrali

← Inauguracja roku akademickiego 1927/1928 Akademii Górniczej w Krakowie w auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1927. NAC
 ↑ Wystrój auli w Akademii Górniczej, wrzesień 1935. NAC



ogłoszony wówczas konkurs architektoniczny projektem, który nie miał szans na szybką realizację, bo wojna. Teraz, razem z jurorem konkursu, Wacławem Krzyżanowskim, Odrzywolski kieruje pracami, a one, te prace, to raczej jak wańka-wstańka: a to z kurka cieknie i można robić, a to sucho co najmniej jak na Pustyni Błędowskiej i robić nie można. A projekt, proszę ja was, majestatowi akademii będzie czynił zadość z nawiązką.

I tak, rok po roku, metr po metrze, ciuła się kolejne partie budynku. W 1929 roku udostępniono go na potrzeby zajęć

↑ Fotografia fragmentu modelu gmachu zaprojektowanego dla Akademii – wejście główne, grudzień 1926. NAC

dydaktycznych, choć nie był jeszcze wykończony, budowę sfinalizowano dopiero sześć lat później. Ale gdy sfinalizowano, no, to nie ma się co oszukiwać, robił wrażenie. Co subtelniejsi krakowscy mieszczenie pospadali z krzesel (co mniej subtelni – z zydl). Monumentalność bryły nie jest li tylko ułudą: z kubaturą 110 tysięcy metrów sześciennych to jeden z największych gmachów II RP. Miażdży – rzeklibyście, zaorane – pochwalilibyście, ale być może znalazłby się wśród was ktoś deczko bardziej elokwentny, kto zauważyłby ciekawy mariaż okazałego w formie, symetrycznego klasycyzmu – spójrzcie tylko na joński portyk i elewację frontową – z modernizmem pozostałych elewacji, znacznie uboższych w zdobienia, choć wcale proporcjonalnych i harmonijnych.



↑ Karol Hukan obok wykonanej przez siebie rzeźby geniuszu, mającej zdobić gmach Akademii Górniczej w Krakowie, 1932. NAC



Kawał domu: nie da się ukryć. Ale po kiego diabła ukrywać, skoro stawia się właśnie po to, by przykuwał uwagę i wyznaczał nowe kierunki? Toż to prawdziwy pałac niepodległości, któremu salutować należy i na baczość przed nim stać. W nosie nie dłubać i nie spluwać bez troski niczym chiński przechodzień w oparach smogu. Tu chodzi o krwiobieg miasta, miasta większego niż kiedykolwiek, międzywojennej metropolii przeciętej węzłem Alej Trzech Wieszców, które to pojawiają się w latach trzydziestych. Budynek Akademii Górniczej ma być ich centralnym punktem. Prestiż, drogie, elegancja, drodzy, architektoniczna wizytówka miasta, co tam jeszcze chcecie. Modernistyczne Muzeum Narodowe i Biblioteka Jagiellońska, dalej zabudowania ulicy Oleandry i okolic placu Inwalidów z kamienicami profesorskimi wyznaczają nowe apogea projektowania i raz-dwa wzmacniają aspiracje: precz z chałupami i niedoróbkami. Adolf Szyszko-Bohusz i Józef Gałęzowski mieli architektoniczną renomę, mieli talent, mieli przełożenie na realne zagospodarowanie terenu i mieli nosa (a nawet dwa nosy, ściślej rzecz ujmując): dziś od Alej i ich przedłużeń na południe i północ rozpoczyna się życie Krakowa. I nawet jeśli będziecie pomstować na flejowatą namiastkę zieleni w roli pasa oddzielającego spalino-genne korytarze, nawet jeśli nie uda wam się pokonać podczas jednej zmiany świateł więcej niż paru kroków po zebrze, nawet jeśli posnujecie sobie marzenia o zepchnięciu ruchu w cichobieżne tunele dla zmotoryzowanych kretów, to i tak z podkulonymi ogonami wracacie na Aleje jak do ziemi obiecanej, bo przecież żyć bez nich nie możecie, w korkach tu spędzacie pół roku, to tu znacie każdą koleinę i każdą muldę, wszystkich rozdawaczy ulotek traktujcie jak jedną wielką rodzinę, przetwarzającą się między okutymi w futro benzo(a)-pirenu kamienicami i gmachami takimi jak ten.

Wszyscy jak jeden mąż, jak jedna żona i jak jedni szwagrowie ze świekrami na spółkę, znacie główny budynek AGH z wytatuowaną datą powstania uczelni na froncie – jak na czole nestora rodu – stojący sobie niewzruszenie niby mauzoleum przy równie niewzruszonych Alejach Trzech Wieszców. Ważycie sobie lekce wielkie gmaszysko. Przyzwyczajiliście się, że górnicy z hutnikami, połączeni w dwóch parach, od zawsze tańczą swój zapracowany taniec z kilofem i wytopionym metalem w kadzi. We dwoje przez znoje, powiecie, między młotem a kowadłem, dodacie, i zgoda, i piątka, i żółwik. Również od zawsze święta Barbara przygląda się ich trudom – i trudom waszym w blaszanych pudełkach – z bezpiecznej wysokości, zasiadłszy nad wejściem głównym, przy czym od zawsze nie wiecie, czy nie jest to może królowa Jadwiga, Matka Boska, a może nawet Maria Skłodowska-Curie w dziwnym toczku. Przez myśl wam nie przejdzie, że to nie antyczne posągi; i górnicy, i hutnicy, i Barbara nie



↑ Budynek Akademii Górniczej w Krakowie, październik 1935. NAC
→ Jan Raszka w swojej pracowni przed rzeźbą przedstawiającą górników, ustawioną przy wejściu głównym do gmachu Akademii wraz z bliźniaczą rzeźbą hutników, 1935. NAC



są tymi samymi postaciami, które ustawiono tu niegdyś, zaś owo niegdyś to nie była epoka triceratopsów i brontozaurów.

Pierwsza Barbara, projektu Stefana Zbigniewicza, wdrapała się na dach tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, w sierpniu 1939 roku. Zrzucili ją parę miesięcy później Niemcy, pewnie w odwecie za Wandę. Na nic miedziana i złocona blacha, ręcznie kuta, na nic drewniane modele, z wewrą przygotowywane przez rzeźbiarza, na nic zadumane oblicze świętej, nasuwające na myśl Mimblę z *Muminków*. Przedwieczna Barbara towarzyszy AGH od 1999 roku, kiedy to jej miedziową, sześciometrową osobę poświęcił ojciec święty Jan Paweł II i nic nie stało na przeszkodzie, by zaopiekowała się akademicką bracią. Choć nie wiadomo, czy przyjęto by ją na studia – pierwsze studiujące kobiety pojawiły się w 1921 roku, choć obowiązywał dla nich ośmioosobowy *numerus clausus*. Górnicy i hutnicy, którzy pojawili się dzięki Janowi Raszce w 1935 roku, znikli dwie dekady później i po kolejnych dwóch dekadach przyszli znowu. Monumentalność monumentalnością, majestat majestatem, ale ile tu życia! A Barbara też w środku gmachu, na półpiętrze, witrażowo, i równie ruchliwie: po drugiej wojnie światowej dzieło wywieziono, lecz odnalazło się po latach ukrywania przez jezuitów, i wróciło do gmachu. Może nawet samo. Teraz

do towarzystwa ma dinozaura – obecnie w trakcie odnowy, hm, biologicznej – sporo minerałów i skał, interaktywną galerię, herby miast, portrety rektorów w auli i zachowane z oryginalnego wyposażenia drewniane gabloty i szafy. No i ten westybul z arkadowymi krużgankami, wspinałe klatki schodowe. Tego nie zobaczycie z poziomu jezdnii, tu trzeba się zapuścić ma dłużej.

Nie zobaczycie też wewnętrznych dziedzińców, które są rewersem majestatu i przypominają raczej bombonierkę – o czym dobrze wie Forrest Gump: nigdy nie wiadomo, na co się trafi. Przede wszystkim: gdzie się trafi, bo wśród kilkunastu wejść, drzwi i drzwiczek łatwo się zagubić i przepaść na lata, jak to się niegdyś przytrafiło jednemu z magistrantów, który szukał promotora. Odnaleziono go po kilku latach w kopalni. Bo wiecie, system rozbudowanych skrzydeł i niekończących się korytarzy wyprowadza was w końcu pod ziemię, gdzie w towarzystwie gigantycznych świdrów czai się najprawdziwsza kopalnia z węglem, wyrobiskami, chodnikami, hełmami i innymi akcesoriami, które kojarzycie z filmów Kazimierza Kutza. Są kombajny do wgrzyzania się w ściany, ładowarki zasięrzutne, wywrotki bocznosypowe i czas, żeby przemyśleć swoje życie. Za załomem czai się na was Skarbnik, duch z kagankiem, któremu i święta Barbara nie jest w stanie spojrzeć w oczy, bo ciemno, choć oko wykol.

Tymczasem pod dachem nieomal kryją się wszystkie skarby, które wymknęły się kopalnianemu demonowi. W Muzeum AGH znajdziecie prototypy wielu urządzeń, makiet kombinatów metalurgicznych, zabytkowe uniformy i stroje galowe, a także najbardziej skomplikowane aparaty, w tym aparat telefoniczny z tarczą, którego obsługa spędza sen z powiek odwiedzających to miejsce wycieczek gimnazjalnych. Wsiąka się tu na całe godziny: jeśli macie zamiar spędzać czas w korku, to lepiej wpadnijcie tu i spróbujcie swoich sił za kierownicą bolidu zbudowanego przez studentów na międzyuczelniane zawody. Być jak Robert Kubica nie jest łatwo: to zabawa dla tych, co nie grzeszą wzrostem drągala. W kokpicie czujecie się uwięzieni jak w klatce, no i nie ma co zrobić z nogami. Potem muszą was wyciągać cztery osoby.

↑ Głowa św. Barbary w pracowni Stefana Zbigniewicza, 1939(?). Ze zbiorów Muzeum AGH

W nowoczesnym towarzystwie modeli helikopterów i gokartów nie pamiętacie, że w międzywojniu stawiano raczej na to, co w ziemi i z ziemi, a to też była nowoczesność i z nowoczesności duma. Dumą byli też tacy międzywojenni nowocześni profesorowie jak Walery Goetel, po kolei: twórca sozologii, nauki o ochronie środowiska naturalnego, geolog i paleontolog, badacz budowy geologicznej Tatr i inicjator powołania Tatrzańskiego Parku Narodowego (jego imię nosi schronisko na Hali Ornak), polityk i etnograf, globtroter i krajoznawca, a przy tym wieloletni dziekan Wydziału Górniczego AG, prorektor i rektor uczelni oraz – prywatnie – mąż bratanicy Marii Skłodowskiej-Curie i dobry znajomy profesora Odonu Bujwida, a właściwie jego dzieci, jak na zawołanego wioślarza przystało. Jak się miało takiego faceta w szkole,

to nie mogło ze szkołą być źle i źle być nie może. Nawet jeśli niemieccy okupanci robili sobie w niej nikczemne posiadówki, to przecież biegu ku nowoczesności nie dało się zatrzymać.

Kiedy ochłoniecie już z wrażeń w trzewiach monumentalnej bryły i wyściubicie nos zza zielono-czarno-czerwonej flagi AGH (bo ziemia i przyroda, bo węgiel i trud, bo ogień i gorąco), okaże się, że to, co braliście za monolit i harmonię, w gruncie rzeczy proponuje wam historię żywą i wielokształtną, a nie hieratyczną i nudną. Nawet wy, którzy chcielibyście miarkę patosu, rozmachu chcielibyście, czegoś konkretnego w miejsce zabiedzonych duktów, chybliwych kamieniczek i placów grzęznących w błocie. Miasta męznego, co punktem być może odniesienia dla nauki, dla przemysłu, dla pracy. Co pęknąć nim można z dumy.



Grupa lekarzy szpitala św. Łazarza na sali operacyjnej, pośrodku w ręku Alfred Obaliński, po przeciwnej stronie łóżka stoi Maksymilian Rutkowski, 1897–1898, fot. J. Sebald. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa



WESELE PRZY SMĘTNEJ

DWOREK RUTKOWSKICH
W KRAKOWIE-BRONOWICACH



Chcielibyście opowieści o dwóch braciach, jednym wirtuozie defilującym z nosem w chmurach, drugim kapkę skromniejszym, co nad profetyczne uniesienia przedkłada sumienną pracę i ufność w zdobycze nauki. A może o dwóch siostrach, z których jedna w kwieciste szaty przyodziana, koralami błyskająca i promiennym uśmiechem, druga zaś ukryta w laboratorium i z kwiecistością pod mikroskopem raczej flirtująca? O rodzinach, co z pnia jednego wyrosły, a teraz boczą się na siebie po przeciwnych stronach barykady? Historii takich na pęczki znajdziecie pod pierzyną krakowskości, gdzie barykadą także i rzeka tnąca miasto na dumne połówki, i kościelne wieże rywalizujące na Rynku, i Błonia, od dawien dawna zatrudnione w roli arbitra między zwaśnionymi plemionami o totemicznych szalikach. Ale za barykadę, dla czegożby nie, robić może też ruchliwa szosa, która ciągnie spaliniową gąsienicę na zachód, w stronę zabierzowskich lasów i dolin jurajskich, gdzie spalin mniej, a więcej nietoperzy i cichych przełazów.

Cały wic w tym, że nie musicie wcale swej wrodzonej lub nabytej krakowskości porzucać. Wystarczy nie gnać ulicą

↑ Bronowicka chałupa, listopad 1932. NAC

→ Dworek Włodzimierza Tetmajera, listopad 1932. NAC

Walerego Eljasza-Radzikowskiego na złamanie karku, zwolnić wystarczy i nim się dotrze na Pasternik, spojrzeć w lewo, spojrzeć w prawo, spojrzeć przed siebie, niczym inżynier Mamon delectujący się rejsem po Wiśle. Ale że inżyniera Mamonia predylekcje do tego, co dobrze znane i wiele razy słyszane, są wam z gruntu niemiłe, to nie dajecie za wygraną i cichych przełazów oraz nietoperzy szukacie już tutaj, na rogatkach, wśród tajemniczych ogrodów i duktów. Łebki wam się kręcą niczym frygi, bo o waszą uwagę walczyć próbują głośne atrakcje zza wielce gustownych hałasoszczelnych ekranów po lewej oraz zza mgły lypiące ostępy, ścichapkę obśadzone zagajnikami po prawej ręce.

Po lewej, gdzie Bronowice Małe, lśni sławne z lektur źródło duszy polskiej, roztaczając przed wami opowieść zdobną w nimb tradycji i duchem niepodległości zionącą. Wśród drobnych jak ziarnka maku uliczek ukrywa się dom Włodzimierza Tetmajera, o którym każda z was słyszała i słyszał każdy, boć tu „nasza dzisiejsza wiejska Polska”, jako to: „huczne weselisko, buczące basy, piskanie skrzypiec, niesforny klarnet, hukania chłopów i bab i przygłuszający wszystką nutę jeden melodyjny szum i rumot tupotających tancerzy”. Był czas, gdy Stanisław Wyspiański, w zapiętym pod szyję tużurku, spędzał tu upojne, acz pełne zadumy chwile, oparty o futrynę drzwi, układając sobie z wesela Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny swoje własne *Wesele*, ba, wesele arcypolskie, ogólnonarodowe, na które można by zaprosić wszystkich współobywateli, gdyby tylko szło znaleźć izbę jaką, dziesiątki milionów gości godną pomieścić. Zabawa



zabawą, tańce tańcami, ale krasne suknie i obfite kierezyje kryją tęsknotę za niepodległością, która w 1900 roku tkwi co najwyżej okutana chochołem jak Eskimos anorakiem. Brakuje Mikołaja Trzaski, Ken Vandermark na urlopie, nawet starzy wirtuozi z Bennym Goodmanem na czele bezradni: nie ma komu zadąć na złotym rogu, choćby to był i róg obfitości, sypiący przysmakami wolnej Rzeczypospolitej niczym tyta maszketami. Dość powiedzieć, że i Wyspiański, i Tetmajerowie, i młoda para, i weselników krąg, i duchy rozmaite tudzież widziadła, wszyscy wraz pomieścili się w Rydlówce, choć ta Rydlówką jeszcze nie była. Mieszczą się w chacie bronowickiej i dziś ich potomkowie wysypujący się z autokarów, by choć na moment odwieść na kolek czapkę z pawich piór, choć na sekundkę wyleźć spod władczej mocy kaduceusza.

Ale przecież to wszystko wiecie, ba, recytujecie z pamięci obudzeni w środku nocy. Bronowice Małe macie obcykane jak mało co, wabią was ponętne kształty tej uroczej kuzynki, nęci bogactwo ciotki z zagranicy: jeśliście jeszcze na barykadzie, co w szosę wyjazdową się przeobraziła, to lewe oko ma używanie, bez pucu. W każdej historii tego typu jest jednak tak, że uboga kuzynka, o której myślicie z wyższością jako o szarej myszce, okazuje się prawdziwym skarbem, diamentem w koronie rodziny, że zdziwaczała ciotka z czereďą kotów na utrzymaniu jest w rzeczywistości najciekawszą i najmądrzejszą rozmówczynią, a jej koty nic, tylko palą fajki i grają w bakarata. Z początku nieśmiało, potem coraz śmiej dajecie zielone światło oku prawemu, jesteście niczym sola lub kilka innych fładrokształtnych, których lewe oko

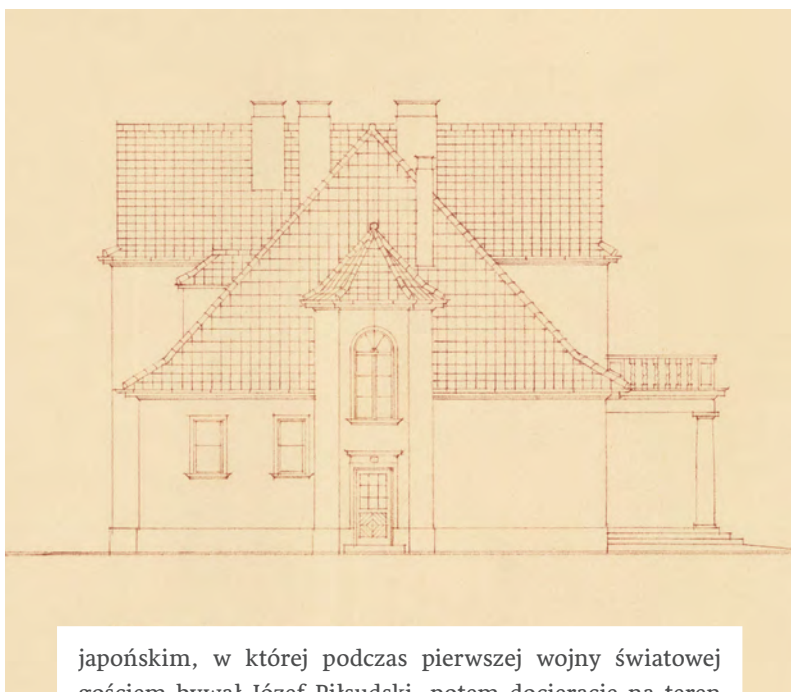
przesuwa się przez linię grzbietu na prawą stronę ciała. Dwojgiem oczu widzicie bowiem wyraźniej: Bronowice Wielkie, zapomniane rodzeństwo weselących się Bronowic Małych, śpią snem sprawiedliwych. Możecie je obudzić, ale stąpajcie na paluszkach.

Nawet jeśli na co dzień nie zauważacie obszaru wetkniętego między trasę zabierzowską, poligon graniczący z Modlniczką, Tonie, ulice Władysława Łokietka i Josepha Conrada, to nie znaczy, że nudzilibyście się tam jak pocieszne mopsy. Nawet jeśli na co dzień nie spacerujecie sobie zaułkami ulicy Ojcowskiej, gdzie puszcza pędy małomiejskość, z placami zabaw, sklepikami i domkami wyrastającymi jak na drożdżach jeden obok drugiego, to nie znaczy, że niespieszne przechadzki nic niewarte, bo warte, i to kwadryliony nawet, nie tryliony złotych polskich dukatów. Nawet jeśli kuli się za plecami utuczonych na paszy klasyka Bronowic Małych, ich Wielkie kuzynostwo nie chowa urazy; nie uświadczycie pomruku zazdrości wydobywającego się z kominów przy ulicy Budrysów, dusza resentmentu nie wskoczy wam na ramię w stro-miźnie ulicy Szarotki. No i nawet wtedy, gdy staniecie u zapomnianych wrót, niech was nie zwiedzie tabliczka z nazwą ulicy: to, że dostrzeżecie na niej wypłowiały napis „Smętna”, nie oznacza, że to terytorium wiecznej pluchy i produktów ubocznych sezonu grzewczego. Ani że to przytyk do weselnej aury, którą ekscytują się po sąsiedzku. Kartkę A4 z napisem „Wesoła”, którą przed laty ktoś z lokalsów zasłonił oficjalną tabliczkę, pozrywały wichry dziejów, ale przekornej natury tak łatwo się nie pokona.

Wyobraźcie sobie teraz, że ulica Smętna-Wesoła to wąwóz, którym podążacie bez strachu, bo światelko w tunelu to coś więcej niż ulubiona metafora negocjujących swoje apanaże polityków. Spokojnie. Latarnie od czasu do czasu wleją w wasze serca nadzieję jak gospodarz papkę w gęsie przełyki – choć, przyznacie sami, ta metafora jest jeszcze straszniejsza – mimo że na obu skarpach nieprzebyta gęstwa. Niczym wapienne ostańce srebrzą się wielkie, niedostępne, no, niedostępne na ogół, dla ogółu, gmachy. Po lewej macie najpierw nietoperzową willę Pod Gackami, zwaną pałacikiem

← Transformator elektryczny przy drodze prowadzącej na Katowice. Za płotem ukryty dworek Rutkowskich, listopad 1932. NAC



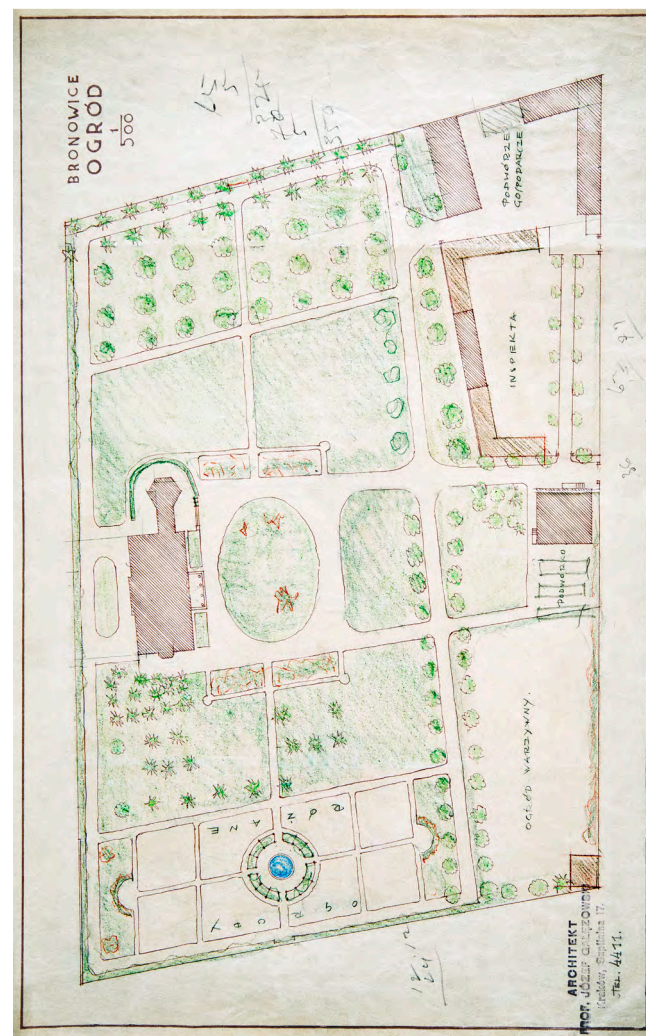


japońskim, w której podczas pierwszej wojny światowej gościem bywał Józef Piłsudski, potem docieracie na teren Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk. Obok nowego budynku Instytutu w parku umościł się neorenesansowo-neobarokowy pałac Fischerów-Benisów, zbudowany w końcu XIX wieku przez kupca Jana Władysława Fischera, a po niedługim czasie odsprzedany żonie prawnika i ekonomisty Artura Benisa – Helenie. Po drugiej wojnie krótko służył jako internat, a następnie trafił w badawcze ręce PAN.

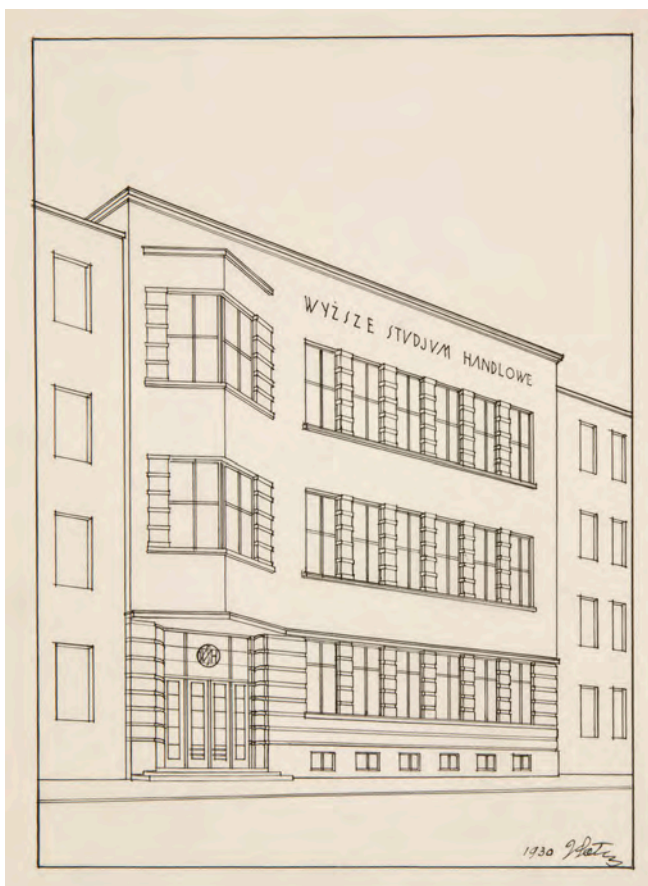
Wrony zrzucają wam na głowy orzechy, kowaliki ścigają się po pniach jak na torze Formuły 1, szczebioczą szczygły, kwiczą kwiczoły, nie wspominając o szpakach, które panoszą się po okolicy jak niegdysiejszy bronowicki sołtys Dytmar. Zapominacie o apatycznym Chochole w stylu emo, bo po drugiej stronie wyśnionego wąwozu ziszcza się na waszych oczach przepowiednia Wernyhory – „Chrzęszczą wielkie drzewa i trzaskają kuszcze”, a zza nich wyłania się elegancki pałacyk Rutkowskich, zbudowany w 1926 roku według projektu Józefa Gałęzowskiego. U lewostronnych sąsiadów w Rydlówce ledwo co słyszeć zew wolności, a tu wolność

↑ Projekt dworku autorstwa Józefa Gałęzowskiego, widok zachodni.
Z Archiwum Narodowego w Krakowie, ABM f. 732 a

już odbita w najlepsze, już dyktuje swoje warunki, już stawia dwór i rządówkę, już projektuje duży ogród. Puff! I oto dwór parterowy, z kolumnowym portykiem, pomysły zgodne z neoklasycznymi normami stylu dworkowego. Rodzima, szlachecka wolność w rodzimej, szlacheckiej formie. „Po co wolność?” – zapytałby Kazik Staszewski, a wy odrzeklibyście w sekundę: dla dworków takich jak ten, a raczej: dla takich lokatorów.



↑ Dworek chirurga prof. Maksymiliana Rutkowskiego w Bronowicach Wielkich. Plan sytuacyjny ogrodu z obrysem domu autorstwa Józefa Gałęzowskiego. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. K. Kowalik, MNK III-PL.-5459



↑ Batowice, projekt rozbudowy lecznicy dla nerwowo chorych autorstwa Józefa Gałęzowskiego, pawilon nr 2, elewacja tylna – północna, 1927. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. K. Kowalik, MNK III-PL.-6865

↑ Projekt budowy Wyższej Szkoły Handlowej przy ul. Sienkiewicza 5 autorstwa Józefa Gałęzowskiego, widok perspektywiczny, 1930 rok. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. K. Kowalik, MNK III-PL.-5347



Z talentów Gałęzowskiego, profesora i rektora krakowskiej ASP, projektanta między innymi monumentalnego Muzeum Rodu Estreicherów na Woli Justowskiej, a także licznych kamienic i budynków użyteczności publicznej, dworów i pałaców, na które natknąć się możecie w Krakowie i nie tylko, skorzystał bowiem Maksymilian Rutkowski (1867–1947), profesor medycyny i generał brygady Wojska Polskiego. Rutkowski to figura niebanalna, posłuchajcie sami: urodzony w Wielkiej Wsi, przy drodze na Olkusz, całe życie spędził w Krakowie, najpierw jako uczeń, potem student medycyny u najwybitniejszych urologów, lekarz w szpitalu św. Łazarza. Pierwszym krokiem niepodległości towarzyszył jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Katedry i Kliniki Chirurgicznej UJ, pionier leczenia gruźlicy, odtwarzania pęcherza moczowego przy użyciu jelita krętego biodrowego, a także rekonstrukcji przełyku, chirurg znany i uznany, pomników godzien (stoi choćby w Bielsku-Białej) i ulic (w Krakowie na Klinach Borkowskich). Przy tym – czytelnik i admirator prozy Josepha Conrada, co przecież też ważne, zwłaszcza że autor *Jądra ciemności* losy swe po śmierci związał właśnie z Bronowicami Wielkimi, patronując głównej arterii komunikacyjnej w okolicy.

↑ Personel szpitala św. Łazarza w Krakowie z prof. Maksymilianem Rutkowskim (siedzi na krześle pośrodku), międzywojnie. NAC



Grupa Rutkowskiego: Rutkowski czwarty od lewej w kapeluszu, obok Maria Epstein oraz pozostali członkowie grupy: Zofia Krukówna, Maria Wiszniewska, Janina Konopczewska, Jan Glatzel, Mieczysław Kosiński i Zygmunt Drobniiewicz. Z archiwum Zgromadzenia Sióstr Dominikanek Na Gródku

Na dodatek, co warto podkreślić, był inicjatorem grupy chirurgicznej, zwanej od jego nazwiska grupą Rutkowskiego, gwiazdozbioru wybitnych chirurgów i bohaterskich pielęgniarek działających w szpitalach polowych Legionów Polskich na frontach pierwszej wojny światowej, w Kongresówce, a nawet, przypuszczalnie, w Karpatach czy na Podolu. Jak piszą: „Jego czynne, chętne przygody usposobienie, a jeszcze więcej nieprzeparta dążność, aby nieść pomoc chirurgiczną walczącym Polakom i [...] niezwykła sprawność organizacyjna i wyróżniające wyniki lecznicze wkrótce rozsławiły nazwisko polskiego profesora wśród lekarzy wojskowych różnych narodowości”. Swoją renomę podtrzymywał



Personel szpitala św. Łazarza w Krakowie z Maksymilianem Rutkowskim (siedzi na krześle), międzywojnie. NAC

zresztą po wojnie, nie tylko jako profesor UJ, ale jako ordynator oddziału chirurgicznego szpitala św. Łazarza, który uchodził podówczas za „największy warsztat chirurgiczny, obłożony przeciętnie przez 400 chorych”. Nic więc dziwnego, że powierzono tę rolę Rutkowskiemu, „wielkiej miary klinicyście z zapałem i niespożytym zapasem sił”, który rozwinął infrastrukturę, rozbudował bibliotekę i założył jeden z najważniejszych w II RP ośrodków krwiodawstwa. Słowem człowiek instytucja, choć to właściwie dwa słowa, a raczej trzy, bo dodać należy: redaktor naczelny periodyku „Chirurgia Kliniczna” i członek Polskiej Akademii Umiejętności. To już cztery słowa, a właściwie wiele, wiele więcej.



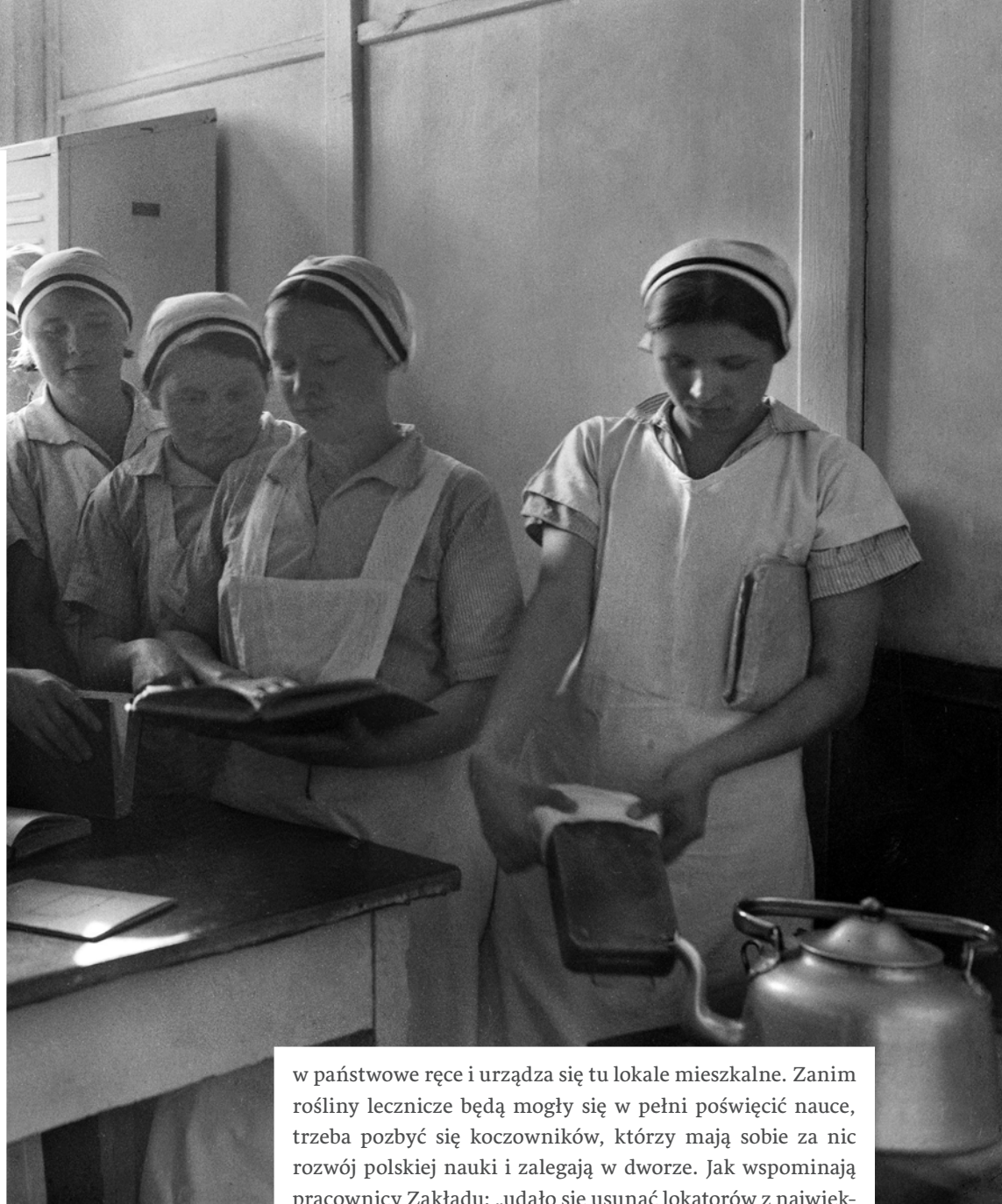
Grupa chirurgiczna Rutkowskiego: Pikulski, Górka, Maksymilian Rutkowski, Mary Cardezza, Glinojecka, Zygmunt Drobniiewicz, Michalski, na stole por. Sobolewski, rękopis Jana Fiszera „Pamiętnik Wielkiej Wojny”, 1914. Ze zbiorów Polskiej Akademii Umiejętności, PAUart, domena publiczna



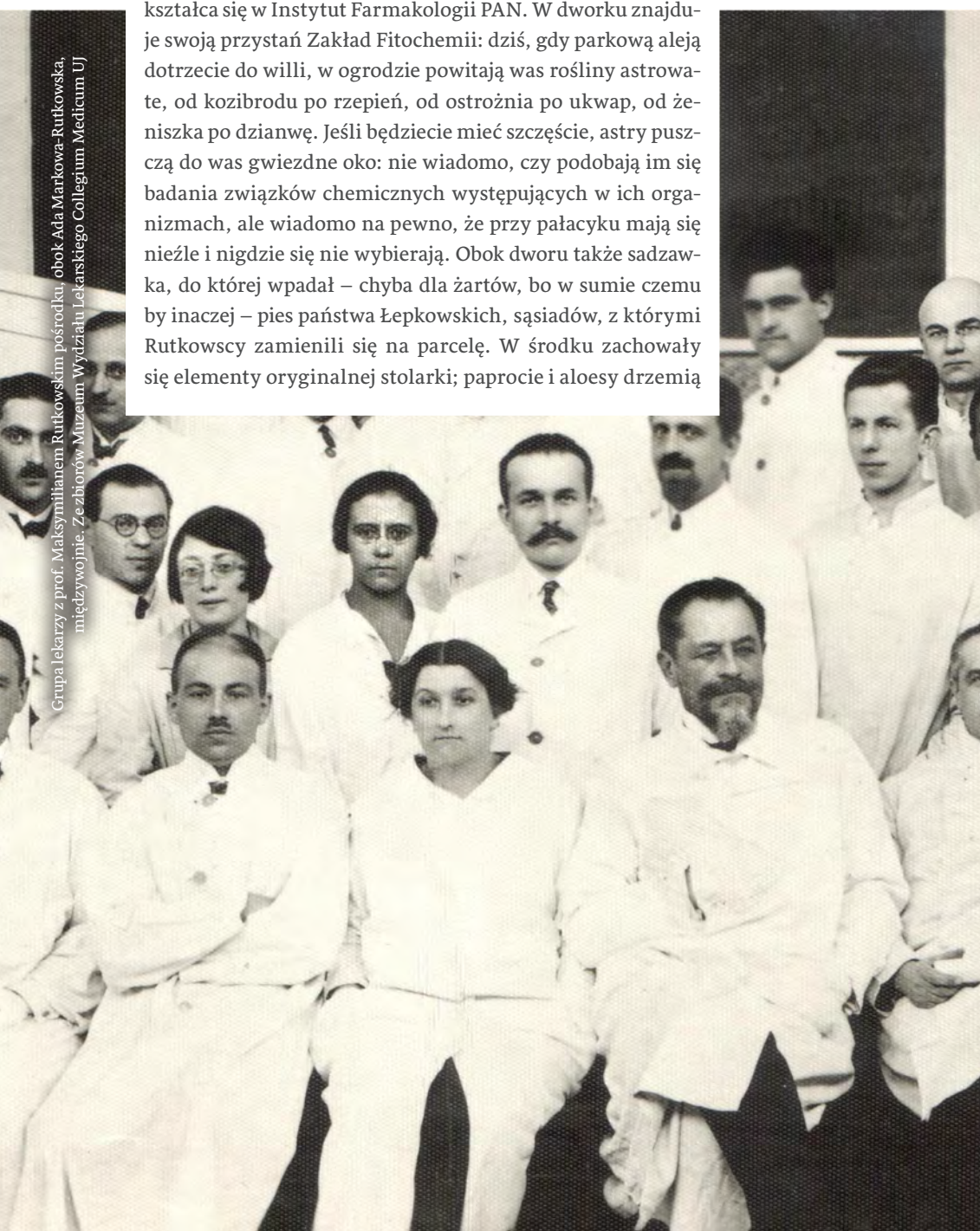
Lekarze szpitala św. Łazarza w Krakowie, drugi od lewej w środkowym rzędzie Maksymilian Rutkowski, ok. 1908, Zakład Fotograficzny Józefa Kuczyńskiego i Antoniego Gürtlera. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Profesora Rutkowskiego, to jasne, ale i jego żony, Ady Marii z Sarnów *primo voto* Markowej (1883–1963). Ha, wszak to nie tylko Lucjan Rydel i Jadwiga z Mikołajczyków zasłużyli na miano państwa młodych, to nie tylko im „serce wali młotem”, a „w głowie huczy, szumi”. Ada to postać równie ważna co mąż: przedwojenna socjalistka, kurierka PPS, ukończyła studia medyczne i w Zurychu, i w Krakowie. Pracowała w krakowskim szpitalu jako chirurg wojskowy, a nową Polskę powitała na stanowisku kierowniczk Szkoły Położnych, gdzie, po uzyskaniu profesury, urzędowała do wybuchu drugiej wojny światowej, wydatnie przyczyniając się do unowocześnienia działania szkoły. Ponadto szefowała towarzystwom ginekologicznym, ogłaszała publikacje krzewiące nowoczesne metody położnicze, była osobą nie mniej szanowaną w Krakowie niż mąż. Niech więc się schowa Radczyni z radą: „Wyście sobie, a my sobie. Każden sobie rzepkę skrobie”. Tymczasem w Bronowicach Wielkich inteligencja to nie zapatrzone w siebie bubki, lecz społecznicy i medycy na medal (zresztą orderów i wyróżnień Rutkowsy doczekali się pełnego trzosa). Oto wesele przy ulicy Smętnej, ponad trzydzieści lat później od tego za miedzą, w innej rzeczywistości: Bronowice administracyjnie należą już do Krakowa, a społeczności „panów i chłopów” zacierają się z każdym wybudowanym domem, z każdą wyremontowaną drogą, z Robotniczym Klubem Sportowym „Bronowicki” i z elektryfikacją ulic.

Po wojnie bronowickie tradycje badawcze będą pielęgnowane; obok Instytutu Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk, który zajmuje działkę bezpośrednio za obecnym rondem Ofiar Katynia, w dworku Rutkowskich, choć już bez udziału właścicieli, powstanie Stacja Badania Roślin Leczniczych Polskiej Akademii Umiejętności, która wkrótce przekształci się w Oddział Badania Roślin Leczniczych Zakładu Farmakologii PAN. Szef Zakładu, profesor Janusz Supniewski, pionier polskiej farmakologii o przedwojennym sznycie, na kierownika Oddziału wyznaczy profesora Marka Gatty-Kostyła, który wraz ze współpracownikami zagospodaruje dworek na cele badawcze, budując szklarnie i rekultywując ogród. Choć jest z tym problem: po wojnie willa przechodzi



w państwowe ręce i urzędują tu lokale mieszkalne. Zanim rośliny lecznicze będą mogły się w pełni poświęcić nauce, trzeba pozbyć się koczowników, którzy mają sobie za nic rozwój polskiej nauki i zalegają w dworze. Jak wspominają pracownicy Zakładu: „udało się usunąć lokatorów z największego pokoju. Ze względu na zajmowanie przez nich dalszych części budynku, do owego «zdobytego» pokoju trzeba było początkowo wchodzić po desce przez okno. Powoli przekształcał się on w pierwociny pracowni chemicznej (stół,

woda nie zawsze funkcjonująca, nieco później gaz, kolejno stół z dopływem i odpływem wody, z gniazdkiem elektrycznym, ale jeszcze bez wyciągu)”.


Kolejne lata to rozwój placówki, która w 1974 roku przekształca się w Instytut Farmakologii PAN. W dworku znajduje swoją przystań Zakład Fitochemii: dziś, gdy parkową aleją dotrzecie do willi, w ogrodzie powitają was rośliny astrowate, od kozibrodu po rzepień, od ostrożnia po ukwap, od żeniszka po dzianwę. Jeśli będziecie mieć szczęście, astry puszczą do was gwiazdne oko: nie wiadomo, czy podobają im się badania związków chemicznych występujących w ich organizmach, ale wiadomo na pewno, że przy pałacyku mają się nieźle i nigdzie się nie wybierają. Obok dworu także sadzawka, do której wpadał – chyba dla żartów, bo w sumie czemu by inaczej – pies państwa Łepkowskich, sąsiadów, z którymi Rutkowsy zamienili się na parcelę. W środku zachowały się elementy oryginalnej stolarki; paprocie i aloesy drzemią

w cieple. Trwa hodowla tkanek. Badania nad leczniczymi właściwościami substancji obecnych w roślinach pozwalają wykorzystać ich potencjał antymalaryczny. Lecz na syfilis, panie i panowie, niestety nie mogłyby nic poradzić choćby najpiękniejsze astry.

Chochoł, „słomiany paralus”, który mędził w Rydlówce po tym, jak wgramolił się na skrzynię, był łaskaw zauważyć: „To Lęk i Strach tak wzion / posłyszeli Ducha głos: / rozpion się nad nimi los”. Fakt, los rozpiął się nad Polską u zarania XX wieku srogi, choć zaczęło się od dochrapania się wolności. Wyspiański, najwybitniejszy z wybitnych, wolności się nie dochrapał. W 1907 roku zmarł na syfilis i pochowano go na Skałce. Zanim jednak wydał ostatnie tchnienie, leżał na śmiertelnym łożu w, jakkolwiek drwiąco to brzmi, Domu Zdrowia na rogu ulic Siemiradzkiego i Łobzowskiej. Los płała figle, wiecie to aż za dobrze, ale nie przypuszczacie nawet, że opiekunem autora *Wesela* jest nie kto inny jak doktor Maksymilian Rutkowski, współwłaściciel ośrodka. Jak donosi „Tygodnik Ilustrowany”: „W zakładzie dra Rutkowskiego Wyspiański uczył się stosunkowo dobrze. Rozpoczęło się specjalne leczenie, przez czas jakiś nic nie pozwalało przeczuwać bliskości katastrofy, tem bardziej że prof. Pareński, nieobecny w owych dniach w Krakowie, nie mógł zbadać stanu wewnętrznych narządów chorego. Dopiero w jakie pięć czy sześć dni po przybyciu do Krakowa uległ Wyspiański gwałtownym przypadłościom żołądkowym i kiszkowym”. Wyspiański prosi o kieliszek szampana, wypija też filiżankę czarnej kawy. Katastrofa jest bardzo blisko.

Kondukt żałobny przejdzie przez Rynek, co zresztą zostanie uwiecznione w dokumencie filmowym. Doktor Rutkowski, na dekadę przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, na dwie dekady przed przenosinami do Bronowic, odprowadzi ciało swojego pacjenta do miejsca wiecznego spoczynku, szepcząc pod nosem niczym funeralną mantrę: Chcielibyście opowieści o dwóch braciach, jednym wirtuozie defilującym z nosem w chmurach, drugim kapkę skromniejszym, co nad profetyczne uniesienia przedkłada sumienną pracę i ufność w zdobycze nauki.



KOMU BIJĄ DZWONY

KOŚCIÓŁ PW. NARODZENIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY
W RACŁAWICACH

Chcielibyście bajki pachnącej żywicą, co się rozgrywa za górami, za lasami, hen, gdzieś pod jurajską pieczęcią z wapiennych ostańców. Marzyłby się wam król, marzyła królowna, a i pażem wszak byście nie pogardzili. Tak to jednak z bajkami bywa, że straszą bardziej niż żmudna rzeczywistość. I naprawdę nie o to chodzi, że król to z cukru jest, paż z piernika, a jedynie z marcepana królowna. Pomyślcie: oto dolina Czubrówki, która za chwilę zmieni się w Raclawkę, oto Powroźnikowa Skała ze wspinaczami i krzakami głogu, a w samym środku przycupnął sobie kościółek parafialny, niby chatka na kurzej stopce. Z jednej strony wiecie, że miejsce święte i owiane drewnianym nimbem gotyku, a z drugiej wolicie zmrużyć oczy i poszukać pod powiekami skrzeczącej Baby Jagi. Kruki z pagórów nasłuchują waszych lęków, choć pewnie wołałyby pogonić jakieś dziewice. Chochliki z gnomami śpią na waleta w Jaskini Raclawickiej, gdzie woda, zimno i cztery gatunki nietoperzy. Strzegą pamięci tych, którzy byli zbyt odważni i w wieczne zapuścili się korytarze. A może po prostu zbyt ufali znanej śpiewce: „i żyli długo i szczęśliwie”.

Raclawic ci u nas dostatek, w Małopolsce szczególnie, z tymi od Tadeusza Kościuszki na czele. Ale dobrze mnie zrozumcie: takie Raclawice jak te, o których tu mowa, są tylko jedne jedyne. Zahaczone o Wyżynę Olkuską niczym o skalny występ, wtórują paczółtowskiemu golfistom, wędrowcom urzeczonym świetlistymi wąwozami Doliny Raclawki i tułaczom na jednośladach, co woleli skrótem popedałować wśród malowniczych łąk w stronę Zawady i Gorenica, o iglicach gminnej Przegini nie wspominając. Owszem, wsi ze starożytnymi odłupkami i skorupami glinianymi wydobywanymi z gleby nie jest mało. Takich, co prawu niemieckiemu zawdzięczają powstanie w XIV wieku, także sporo, jak i tych, których sołtysi mieli młyny, karczmy i gospodarstwa wolne od czynszów. I nawet jeśli dochodzące z żydowskiego szynku „awantury i okrzyki pijaków zakłócały nabożeństwa”, to przecież także nie było to niczym nadzwyczajnym. Za to nie o każdej wsi można napomknąć, jak zrobił to pewien kanonik kielecki dwa lata przed wybuchem wielkiej





wojny, że to arkadia, baśniowa kraina wyżłobiona pospołu przez Stwórcę i zjawiska krasowe: „Jakże wspaniała jest natura tego miejsca, jak widoczna wszechmoc Boża. Góry, doliny, rzeki, lasy, brzegi i skały wysokie. To jest obraz najznakomitszego malarza godny”.

Co racja, to racja, księżu dobrodzieju: kiedy nałykacie się już drogocennych kropel z wywierzyśk i wleziecie na wszystkie okoliczne ostańce, z których widoki lepsze niż ze szczytu Czomolungmy, trudno przecież wrócić między śmiertelnych. I znów to samo, znów pod powiekami śmigają wam konni Moskale oraz miejscowi szwarcujący okowitę i broń. Znów jeden z rosyjskich żołnierzy w pogoni za niesfornym skrytopijcą błądzi w stromych lasach i spada ze skały. Między drzewami wciąż znajdujecie tajemnicze kurhany. Ale to wcale nie jest bajka, możecie otworzyć oczy. Przez prawie sto lat, do 1914 roku, był to teren graniczny między zaborem rosyjskim i austriackim. Raclawice i Gorenice należały do Królestwa Polskiego, Paczółtowiec zaś do ziem Franciszka Józefa. Stąd posterunki rosyjskich żołnierzy. I życiorysy przecięte linią usypanych w lasach i na polach kopców, które zaczęły się zrastać dopiero po wybuchu wojny. Zrastać albo i nie zrastać, w końcu to prawda, a prawda jest przecież bardziej bajkowa od niejednej bajki.

Polegujecie sobie z rękami założonymi na mchach i kosaćcach. Wdychacie wilgoć z krasowych lejów i wież. Nie wiecie nawet, kiedy przychodzi do was wąsate lichy i wygrywa do ucha wojenne fanfary. To Józef Piłsudski, idący ze strzelcami od Krzeszowic na Miechów 7 sierpnia 1914 roku i torujący szlak kolejnym kompaniom. No, może nie tyle idący, co otuchy dodający żołnierzom, raz po raz wpadający

z niezapowiedzianą wizytą, dobrym duchem będący. Grunt, że granicę sforsowano, strażników rosyjskich pogoniono, niektórych wzięto do niewoli, żeby posiedzieli sobie na ziarnku grochu. Krasnale podszeptywały wyjścia awaryjne, jak to z pieniędzmi ukrytymi w Nowej Górze, którymi można by się było wykupić, ale nikt nie uwierzył. Choć tu i ówdzie widziano kopiących. Wprawdzie zamiast skarbu raclawiczanie wykopali słup graniczny, ale i tak byli zadowoleni. Polscy i austriaccy żołnierze mniej: „Ludność nie przyjęła nas z obiecany entuzjazmem, obojętna, nawet niechętna. Kupić trudno było. Krzyk i skargi przed komendantem kobiety, że jej za gęs zapłacili tylko dwa złote i wiele innych pretensji”. Oj, bidny wojak. To nie dziewczynka z zapalnikami, co to, to nie. Wolność, panie, trudna rada. Zwłaszcza że nie wiadomo, z czym to się je, jak smakować te delikatesy, skoro czasu nie ma, dym i huk: wieś ostrzeliwana z obu stron. Biją Rosjan, płoną jedna w drugą chałupy i lasy, a proboszczowi zabrano kilka koni.

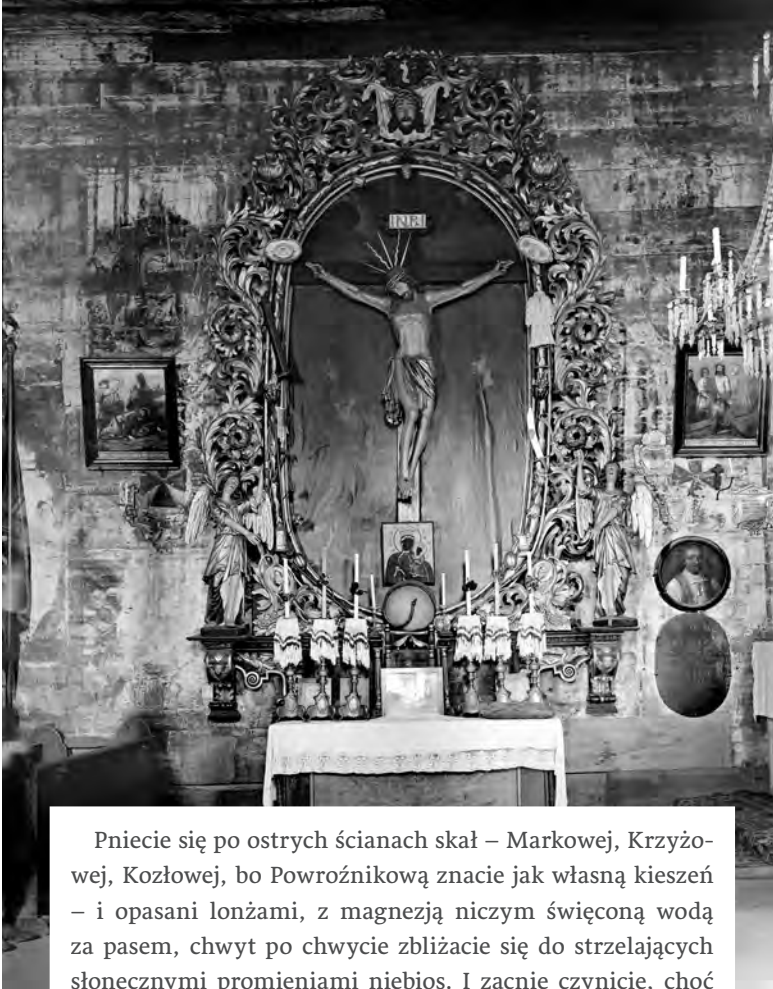
Konie końmi, ale stawka jest większa. Idzie o dzwony. W październiku 1916 roku mieszkańcy Raclawic ukryli kościelne dzwony, obawiając się, że Austriacy będą chcieli je skonfiskować i przetopić na broń, jak to się stało w Paczółtowicach. Wielu z nich uwięziono i brutalnie przesłuchiwało. Nie pisnęli słówka, ale na wszelki wypadek dzwony były ze trzy razy przenoszone z miejsca na miejsce. Magiczny kafar działał cuda, quasi-ludwisarskie taśmociągi woziły dzwony tam i z powrotem, nadludzkie siły wstępowały w zwykłych mieszkańców chroniących dobytku przed przeszukiwaniami. Waligóra z Wyrwidębem czekali w pogotowiu, obgryzając pazury. Po nic. Dzwony zakopano tak skutecznie, że potem długo nie dało się ich odnaleźć. Jeden z drugim opowiadali, że wyrosły z nich majestatyczne dęby czy lipy, inni widzieli, jakoby dzwony się urwały z uwięzi i potoczyły niczym kule śniegowe do Czubrówki, a nurt zabrał je do Rudawy, Wisły i hen do Bałtyku. No, chyba że po drodze pożarł je wieloryb-celebryta z gazety, wygrzewający się na mazowieckiej łasze. Ale to całkiem inna bajka. Teraz dzwony, odnowione przed ponad dekadą, siedzą sobie w dzwonnicy jak szpaki w dziupli.

↑ Uczestnicy akcji ukrycia dzwonów przed ich konfiskatą przez żołnierzy austriackich w 1916 roku. Według kroniki parafialnej uczestniczyło w niej 49 osób, fot. z 1954. Kronika parafialna kościoła w Raclawicach Olkuskich

Szukacie skarbów w lessowych parowach, z rzeszotem śledzicie nurt Czubrówki, ale zamiast dzwonów ze szczerego złota trafić wam się może najwyżej jakiś Żabi Król z żelaznym Henrykiem do pary. Skarbów to w ludziach szukajcie, nie w rzeczce. Bo musicie przyznać, że tacy mieszkańcy to skarb sam w sobie: odwagi im staje i uporu w działaniu. Jak wtedy, gdy 18 lutego 1918 roku zmanifestowali swój sprzeciw wobec decyzji państw centralnych, które oddały ziemię chełmską Ukrainie. Gdzie ziemia chełmska, a gdzie Raclawice! A jednak, duch w narodzie nie ginie, więc należy do ducha strzelać, i do ciała zatem też, nawet do ciała pięciu, jak zrobił to podczas demonstracji pod kościołem pewien austriacki żołnierz, którego świerzbił karabin. Za karę przemienił się w obrzydliwą żabnicę i przepadł hadko wśród rozłogów, ziejąc siarką i mnąc pod mięsistym wyrostkiem na kształt haczykowatego nosa najstraszliwsze przekleństwa. Potem chyba gdzieś tam z zaświatów nasał na wieś epidemię tyfusu, a i epidemia ospy z 1915 roku to na pewno też jego sprawka. Mieszkańców chowano na cmentarzu parafialnym, austriackich żołnierzy w osobnych mogiłach, po łąkach i lasach. Na wzgórzu z Łysą Skałą do tej pory straszą jak upiór w operze ich widziadła w cesarsko-królewskich mundurach trącające się kuflami z pienistym napojem środkowoeuropejskich bogów.



No i szkoła, panie, panowie, kaganiec oświaty w wolnym kraju! Głód, karty chlebowe dla mieszkańców, rolnicy zakładają ruchy spółdzielcze, ale głód wiedzy wcale nie mniejszy! Wojna trwa jeszcze w najlepsze – choć właściwie wojna nigdy nie trwa w najlepsze, co najwyżej w najgorsze może – a rok szkolny 1917/1918 otwiera się zgodnie z planem. Zaświadczają o tym zachowane dzienniki lekcyjne sprzed stu lat, odporniejsze na wirusy niż współczesne dzienniki elektroniczne i inne platformy edukacyjne, unicestwiane byle pożarkiem w serwerowni. Skądinąd, w trzech domach, użyczonych na potrzeby szkoły, aż iskrzyło i dymiło od krzewienia polskości, nie mówiąc o krzewieniu tabliczki mnożenia i kolorowych plam zdobiących tę czy inną mapę; raczej inną, bo z mapami tak jest, że rzadko kiedy grzeszą nadmierną aktualnością. Jak donosiła „Kronika Powiatu Olkuskiego”, przy każdej okazji wpajano dzieciom „poczucie godności narodowej, zamięłowania do tradycji i przeszłości historycznej”. Starszym niby też wpajano, choć im to chyba nie było trzeba powtarzać dwa razy. 4 i 5 maja 1918 roku zorganizowano uroczystości z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja: „Uroczystość ta wycisnęła niezatarte piętno w sercach ludu”, donosi gazeta. Ba! Całe Raclawice deklamowały, słuchały, jednoczyły się. Tylko Kopciuszka nie było, bo zabalował.



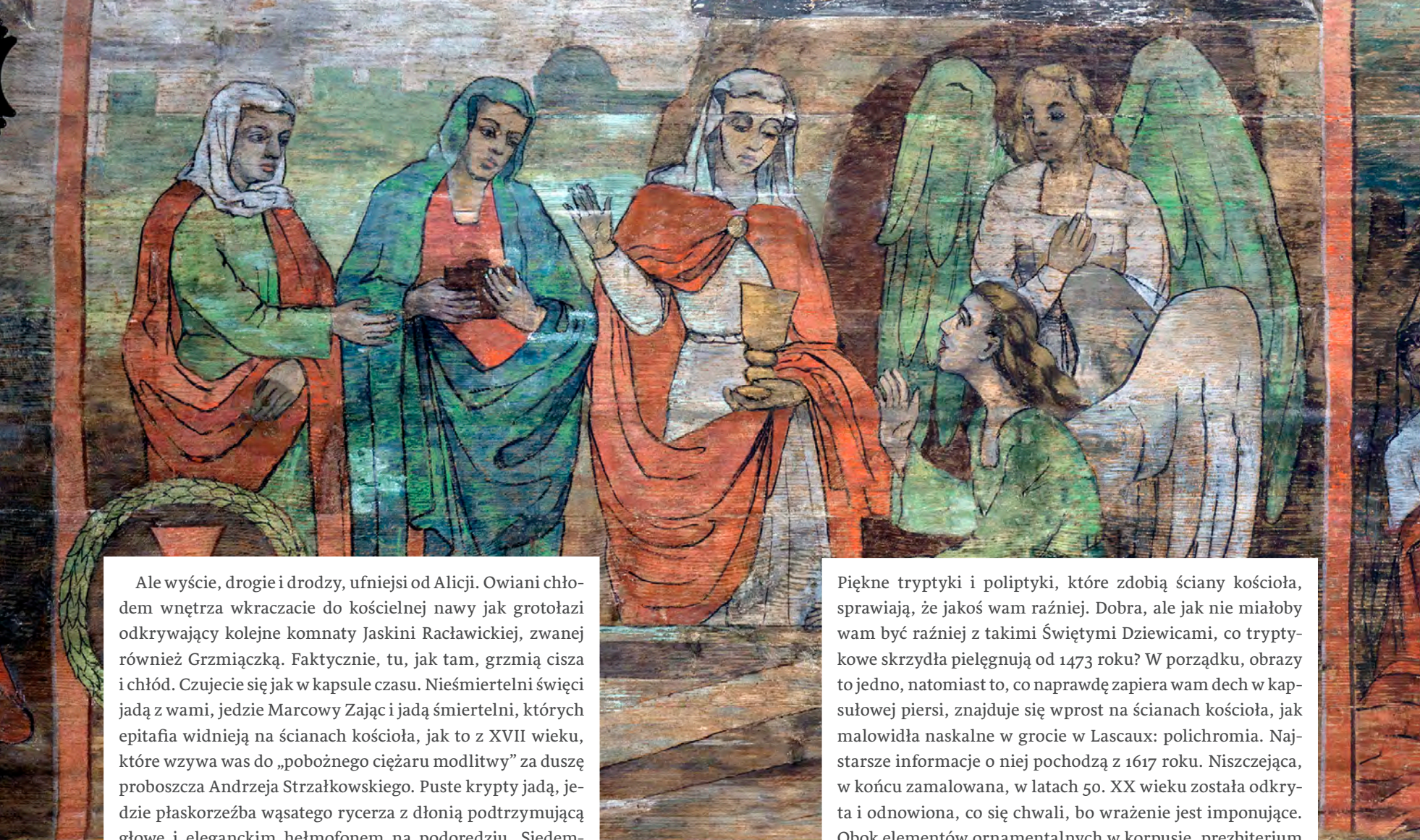
Pniecie się po ostrych ścianach skał – Markowej, Krzyżowej, Kozłowej, bo Powroźnikową znacie jak własną kieszeń – i opasani lonżami, z magnezją niczym święconą wodą za pasem, chwyt po chwycie zbliżacie się do strzelających słonecznymi promieniami niebios. I zacień czynicie, choć zacień jeszcze i równie dziarsko byłoby wspiąć się po innych zgoła stopniach z kamienia, stopniach kościelnych. Kiedy jurajskie rozleniwienie wśród reliktów kultury oryńskiackiej już wam przejdzie i dadzą wam spokój sosnowe duszki, stańcież twarzą w twarz z domkiem na kurzej stopce. No ale Baba Jaga! Dość już, nicponie: Babie Jadze bana wlepcie, nie nudźcie już, bo nie pora. Kiedy otworzycie zalepione żywicą oczy, ukaże się wam przepiękny drewniany kościół, zbudowany, jak wskazują wykonane w ostatnich latach badania drewna, najprawdopodobniej w 1516 roku. Późnogotycka świątynia uchowała się w prawie niezmienionej architekturze, oparła się wichrom dziejów, zębom czasu, wezbranym wodom Czubrowki i to jest bajka prawdziwa, najprawdziwsza, bajka o patronacie, ha, matronacie raczej, Najświętszej Maryi Panny, roztoczonym ze wzgórza na całe Raclawice, od Krupek

po Las Żarski. Kościół stoi, jak stał, stara wieża dzwonnicza stoi, jak stała, choć ona to nawet starsza i wcześniejszemu kościołowi pewnie służyła.

Konstrukcja kościoła w Raclawicach została wzniesiona głównie z jedliny, starsza o ponad sto lat wieża jest dębowa. Cuda współczesnej dendrochronologii, pozwalające profesorowi Markowi Krąpcowi z AGH na stwierdzenie, że drewno jodłowe z korpusu kościoła pozyskano „w okresie przerwy wegetacyjnej od jesieni 1515 do wiosny 1516 AD. Wykorzystano również krótko sezonowane drewno z 1513 AD”, dorównują nieomal cudom artystycznego kunsztu, jakie skrywają ponad sześćsetletnie belki. Belki będące niezmierzonym dokumentem epoki: podczas jednej z renowacji odkryto imiona wyryte w drewnie w łacińskiej postaci. Przypuszcza się, że Martinus Iosephus Katazynski i Albertus to sygnatury budowniczych, którzy antycypowali swoje „tu byłem” pokrewnym „tu ryłem”. Belki to jedno, ale to, co obramowują, czego zazdrośnie strzegą przez ciekawskimi, zasługuje na odrębną opowieść. Alicjo, źle żeś zrobiła, pchając się do króliczej nory, wskazując w lustro jak do basenu w akwaparku. Widzisz, słodziutka: po drugiej stronie jodłowych belek roztoczyłaby się przed tobą kraina czarów nieporównywalnie czarowniejsza od wszystkich innych razem wziętych.



↑ Prezbiterium kościoła w Raclawicach Olkuskich przed 1914 rokiem, fot. Kazimierz Broniewski. Ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie
→ Ołtarz Ukrzyżowania na ścianie północnej kościoła w Raclawicach Olkuskich, przed 1914 rokiem, fot. Kazimierz Broniewski. Ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie



Ale wyście, drogie i drodzy, ufniejsi od Alicji. Owiani chłodem wnętrza wkraczacie do kościelnej nawy jak grotolazi odkrywający kolejne komnaty Jaskini Raclawickiej, zwanej również Grzmiączką. Faktycznie, tu, jak tam, grzmią cisza i chłód. Czujecie się jak w kapsule czasu. Nieśmiertelni święci jadą z wami, jedzie Marcowy Zając i jadą śmiertelni, których epitafia widnieją na ścianach kościoła, jak to z XVII wieku, które wzywa was do „pobożnego ciężaru modlitwy” za duszę proboszcza Andrzeja Strzałkowskiego. Puste krypty jadą, jedzie płaskorzeźba wąsatego rycerza z dłonią podtrzymującą głowę i eleganckim hełmofonem na podporządku. Siedemnastowieczne rzeźby Chrystusa na krzyżu też się zmieściły, podobnie jak późniejsze krzyże, świeczniki, relikwiarz i skarbona. Cztery barokowe ołtarze, w tym ołtarz główny z łaskami słynącym obrazem Matki Bożej z Dzieciątkiem z połowy XVII wieku, są jak dziób i rufy, jeśli waszą kapsułę można by nazwać okrętem. Skoro „nawa”, to okręt, nie może tu być pomyłki.

Drewniane figurki z lipowego drewna, pochodzące przypuszczalnie z wyposażenia poprzedniego kościoła, z wami nie jadą, bo siedzą sobie wygodnie w krakowskich muzeach.

Piękne tryptyki i poliptyki, które zdobią ściany kościoła, sprawiają, że jakoś wam rażniej. Dobra, ale jak nie miałyby wam być rażniej z takimi Świętymi Dziewicami, co tryptykowe skrzydła pielęgnują od 1473 roku? W porządku, obrazy to jedno, natomiast to, co naprawdę zapiera wam dech w kapsułowej piersi, znajduje się wprost na ścianach kościoła, jak malowidła naskalne w grocie w Lascaux: polichromia. Najstarsze informacje o niej pochodzą z 1617 roku. Niszcząc, w końcu zamalowana, w latach 50. XX wieku została odkryta i odnowiona, co się chwali, bo wrażenie jest imponujące. Obok elementów ornamentalnych w korpusie, prezbiterium oraz na cokole, zalecających się do was zielenią i rudością roślin i niby-geometrycznych deseni, kapsuła czasu pokryta jest malunkami figuralnymi. W prezbiterium oglądacie prawdziwie nowoczesny komiks. Bajkę w obrazkach, co przybyła do was z zaświatów. Sceny maryjne, portrety ewangelistów, sceny chrystologiczne, które zdobiją cały kościół – wszystkie zamknięte w prostokątne kwatery do złudzenia przypominające komiksowe okienka. Moglibyście podróżować wśród kolorowych malunków stąd do wieczności, ale nie ma co wpadać w zachwyty, bo skromność lepiej widziana jest

wszak od ostentacji, zwłaszcza w takim miejscu, nawet jeśli Kot z Cheshire miałby na ten temat inne zdanie.

Speleologiczne zacięcie każe wam spoglądać pod nogi w poszukiwaniu stalagmitów, ale żeby docenić to, co wyrasta ponad inne figury, musicie zadrzeć wzrok: pochodząca z czasu budowy kościoła Grupa Ukrzyżowania patrzy na was z belki biegnącej nad nawą główną. Chrystus, Matka Boska Bolesna, Maria Magdalena i Jan Ewangelista schronili się przed ziemskim przyciąganiem u sklepienia, skąd mają niezły ogląd na barwne dekoracje chóru i ambony. Kapsuła pędzi z nimi, pędzi z wami przez wieki i wcale nie chce się zatrzymać. Niemniej pamiętajcie, że do waszej dyspozycji pozostaje parę wyjść ewakuacyjnych, portali zwieńczonych „oślimi grzbietami”, zdobnymi obramieniami przypominającymi odwrócone złote nawiasy albo którąś z awangardowych kreacji Szalonego Kapelusznika. Hej, a może to raczej jedyny ząb Baby Jagi?

W końcu wychodzicie z grotty, z kapsuły, z krainy czarów i spod boskiego komiksu. Nic nie trwa wiecznie i wasza eskapada też dobiega końca. Na końcu takiej bajkowej opowieści zwykł się czaić morał. Omiatacie wzrokiem jurajski krajobraz, niespiesznie szperacie w skale. Czasami wydłubiecie jakąś pamiątkę po jednej czy drugiej wojnie, na kartofli-sku wykopiecie części radzieckiego czołgu, monety starej uświadczycie czy skorupy. Macie przecież niestrudzonych pasjonatów historii, którzy dbają o pamięć Raclawic i okolicznych sołectw, piszą książki, fotografują, gromadzą cenne zbiory. A jednak łapie was jakaś niesprecyzowana tęsknota za wolnością od morału. Chcielibyście bajki pachnącej żywicą, co się rozgrywa za górami, za lasami, hen, gdzieś pod jurajską pieczęcią z wapiennych ostańców. Marzyłby się wam król, marzyła królowa, a i paziem wszak byście nie pogardzili. Tak to jednak z bajkami bywa, że straszą bardziej niż żmudna rzeczywistość.





NA ZAPIECKU
PIEC KRĘGOWY W PŁAZIE

Chcielibyście żarliwej utopii, w której wszyscy żyją zgodnie niczym jedna wielka rodzina, razem pracują i odpoczywają, wyjadają pod kocem ciasteczka z blaszanych pudełek, wywijają na parkiecie, dokarmiają sarny i borsuki z lasu, uśmiechnięci machają z okien i „hodują oswojone godziny” (jako rzeczce wieszcz Herbert). Cóż. Z tym hodowaniem to jest tak, że niestety „jedna z tych godzin będzie twą ostatnią”, o czym przypomina wam jak walnięcie obuchem sentencja umieszczona pod zegarem w centrum Płazy. A w lesie to częściej niż na futrzaki możecie się natknąć na jakąś Czarną Chatę czy Czerwony Pokój. Nie miejcie złudzeń: życie to nie feeria wieczystych przyjemności w tropikalnym raju. Pięćset lat od wydania *Utopii* Thomasa More’a i ćwierć wieku od premiery *Miasteczka Twin Peaks* wiemy o tym aż nadto. Choć, Bogiem a prawdą, kiedy spacerujecie po Wapienniku, oddalonym zaledwie o parę chwil od płożańskiego chronometru firmy *memento mori*, sama wam się zatrzaskuje napa nostalgii. Wystarczy, że zerkniecie na stary piec wapienniczy, wielgachny i grubaśny jak cielsko pletwala, ukryty pod drewnianą obudową jak pod pękającą w szwach derką, i już wam cieplej na sercu, w duszy goręcej.

Oczywiście, More by się obraził na twórców tej przemysłowo-rustykalnej arkadii. Gdzieżby mu do głowy przyszło stawianie pieca-pletwala w środku jurajskich lasów, ciągnięcie kolejowych torów rozczapierzonych jak linie życia, grzebanie w wapiennych skałach. Wszak męczarnie toto, znoje ponad ludzkie siły. Zachciało wam się pracować? To sobie najwyżej wydziergajcie wełniane pończochy, z kijkiem pogońcie po błotach. A tu, panie, inaczej myśleli: przy drodze z Chrzanowa – wiecie, tam, gdzie Kościelec i szpital – w stronę rozłożonej na pagórach Płazy i dalej, Wygiełzowa ze skansenem i Babic z zamkiem Lipowiec, nakreślono nowe osiedle. Miasto-ogród to brzmi dumnie, może to miano nieco na wyrost, mając w pamięci Podkowę Leśną, tarnowskie Mościce czy Giszowiec w Katowicach, ale bez wątpienia coś jest na rzeczy.



→ Na tle pieca kręgowego w Płazie, drugi od lewej inż. Władysław Detko, obok dyrektora Wapiennika Piotr Chrząsik, druga połowa lat 40. XX wieku. Własność Z. Chrząsika, kopia ze zbiorów S. Garlickiego



Pewne jest jedno: akcja toczy się pośrodku iglastego lasu Dębiechowa, pełnego dzików, grzybów i minerałów, w miejscu określanym jako „bezludne”, choć do końca bezludne to ono nie było, bo, gdy się przyjrzyć dziewiętnastowiecznym mapom, można wyczytać niemal zatarte kształty młyna wodnego, studni, a także owczarni. Ta ostatnia przetrwała nie tylko na obsypujących się kartach, lecz również w miejscowej legendzie. Mówi ona o wielkiej wodzie, która wcale nie miała zamiaru zapukać, za to raz-dwa zabrała wszystkie owce, wszystkich pasterzy i wszystkie zabudowania (ciekawe, czy zabrałyby i lamy, gdyby lamy stróżowały przy owcach, jak to się dzieje w Australii czy obu Amerykach; a lamy, proszę państwa, pilnują bardzo uważnie i są agresywne wobec kojotów, hien, zatem niewykluczone, że byłyby również i wobec wielkiej wody, czym zmieniłyby losy tych okolic). W każdym razie prehistoria tego miejsca nie obfituje w nadmiar danych; poruszacie się po omacku, odcyfrowując symbole tajemnicze niczym wskazówki, którymi kierował się doppelgänger agenta Coopera. Jasne, że to nie Twin Peaks, Laury Palmer tu chyba nie widziano ani gadającego imbryka nadnaturalnej wielkości, Pieńkowej Damy raczej też nie. Tylko wilki (mówiło się tu o Wilczym Dole) i kopce graniczne między wsiami, które, z małym wyjątkiem pod Regulicami, do dzisiaj jednak nie przetrwały.

↑ Młyn w Płazie, druga połowa XIX wieku, rysunek Walerego Eljasza-Radzi-
kowskiego. Archiwum Narodowe w Krakowie, B III 200 2
→ Reklama Wapiennika w Płazie z 1893 roku. „Czas”, nr 76

Tyle prehistoria z austriackich map i pism, tyle wspomnie-
nia najstarszych obywateli. Właściwa przygoda zaczyna
się, gdy zawieją z lekka zefiry wolności. Zefiry, dobre sobie,
uśmiechacie się pod wąsem, wąsacze, tudzież tajemniczo,
Giocondy, toż to rewolucja pełną gębą, pełną parą, buch-
-buch! Oto w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku powstaje
pomysł założenia w lesie Dębiechowa kamieniołomu wapi-
nia oraz postawienia pieca, w którym można by go ładnie po-
wypalać. Skąd zainteresowanie akurat tym miejscem? Musi-
cie wiedzieć, że Płaza i okolice Chrzanowa słynęły z odsłoneń
kamienia wapiennego. Zachowało się tu sporo reliktowych
łomów i lochów, rękodzielniczych wyrobisk surowca, w któ-
rych koedukacyjnie spędzano upojne popołudnia, a gdzie te-
raz, niczym w sztucznych grotach, moszczą się salamandry
i pohukujące duchy. Zachowały się nawet okoliczne ślady
prymitywnych pieców wapiennych, oznaczonych na ma-
pach jako K.O., co się tłumaczy wcale nie jako nokaut, wcale
nie jako kaowiec, lecz jako Kalkofen, co akuratną niemczy-
zną rozwiewa wszelkie wątpliwości. Piec wapienny, proszę
czytelników. Wprawdzie pierwsze piece i łomy powstawały
parę kilometrów dalej, nie zmienia to jednak decyzji tuzów
findesieclowego krakowskiego kapitalizmu: kamieniołom
wapienia ma tu być i piec kręgowy tu ma stanąć, w akompa-
niamencie beczących z zaświatów owiec.





Józef Stanisław Retinger i Gustaw Baruch, do usług. Pierwszy z nich, doktor praw po Uniwersytecie Jagiellońskim, na przełomie wieków walnie dopomógł Morskiemu Oku w pozostaniu we władaniu Austriaków, a następnie Polaków – na niekorzyść Węgrów, którzy mieli chrapkę na tę, obecnie ledwie widoczną zza rzeszy ciekawskich wwożonych faśiagami, perłę w koronie Tatr. Syn, Józef Hieronim Retinger, robi karierę na warszawskich salonach jako przyboczny premiera i naczelnego wodza Rzeczypospolitej Władysława Sikorskiego, ale kariera Wapiennika to dzieło Józefa Stanisława, który w 1890 roku nabywa drogą kupna dobra ziemskie w Płazie i puszcza w ruch wapienniczą maszynę. Swoją drogą, nie może jej zbyt długo doglądać, w 1897 roku opuszcza bowiem ziemskie padoły. Gustaw Baruch natomiast to znany krakowski – zaraz, poprawnie powiedzieć: podgórski – przedsiębiorca, właściciel cegielni i kaflarni, a także pierwszej piekarni parowej w Podgórzu. Do tego wieloletni radny Podgórza, postać podówczas szanowana i lubiana. Panowie w trymiga zadzierzgują wspólny interes: dobra Retingera, z Dębiechową i okolicznymi wzgórzami na czele, okazują się łąkowym kąskiem dla obrotnych biznesmenów doby przemysłowego boomu. Coś, co wydawałoby się utopią, zamienia

↑ Józef Stanisław Retinger, fotografia wykonana pod koniec XIX wieku. Archiwum Narodowe w Krakowie



się w najbardziej rzeczywistą z rzeczywistości, bo rzeczywistości macie na pęczki, a przecież niektóre, jak ta z Czarnej Chaty, nie mają do zaoferowania nic poza drzewem o mięsnych głowach, twierdzącym, że jest ramieniem.

Opracowania geologiczne nie mogą kłamać. Macie do czynienia z górą „89 morgów wynoszącą, na kilka pięter wysoką, zawierającą pierwotny kamień wapienny tak zwany muszlowy”, no i już zacieracie ręce, „że ten kamień kwalifikuje się do produkcji wapna, jak żaden inny, a mianowicie żaden z okolic Krakowa”, jak donosiło w późniejszej relacji „Czasopismo Towarzystwa Technicznego Krakowskiego” (numer z 1892 roku). Dalej, przygodo! Wapień pierwsza klasa, nic, tylko kopać i wypalać: 13 maja 1890 roku zostaje wmurowany i poświęcony kamień węgielny pod budowę zakładu – kamieniołomu, pieca i całej potrzebnej infrastruktury wraz z kolejnymi przedsięwzięciami, w tym osadzonym w zieleni osiedlem mieszkalnym dla administracji i pracowników fizycznych. To już nie „miejsce bezludne w lesie”, to dumny Wapiennik.

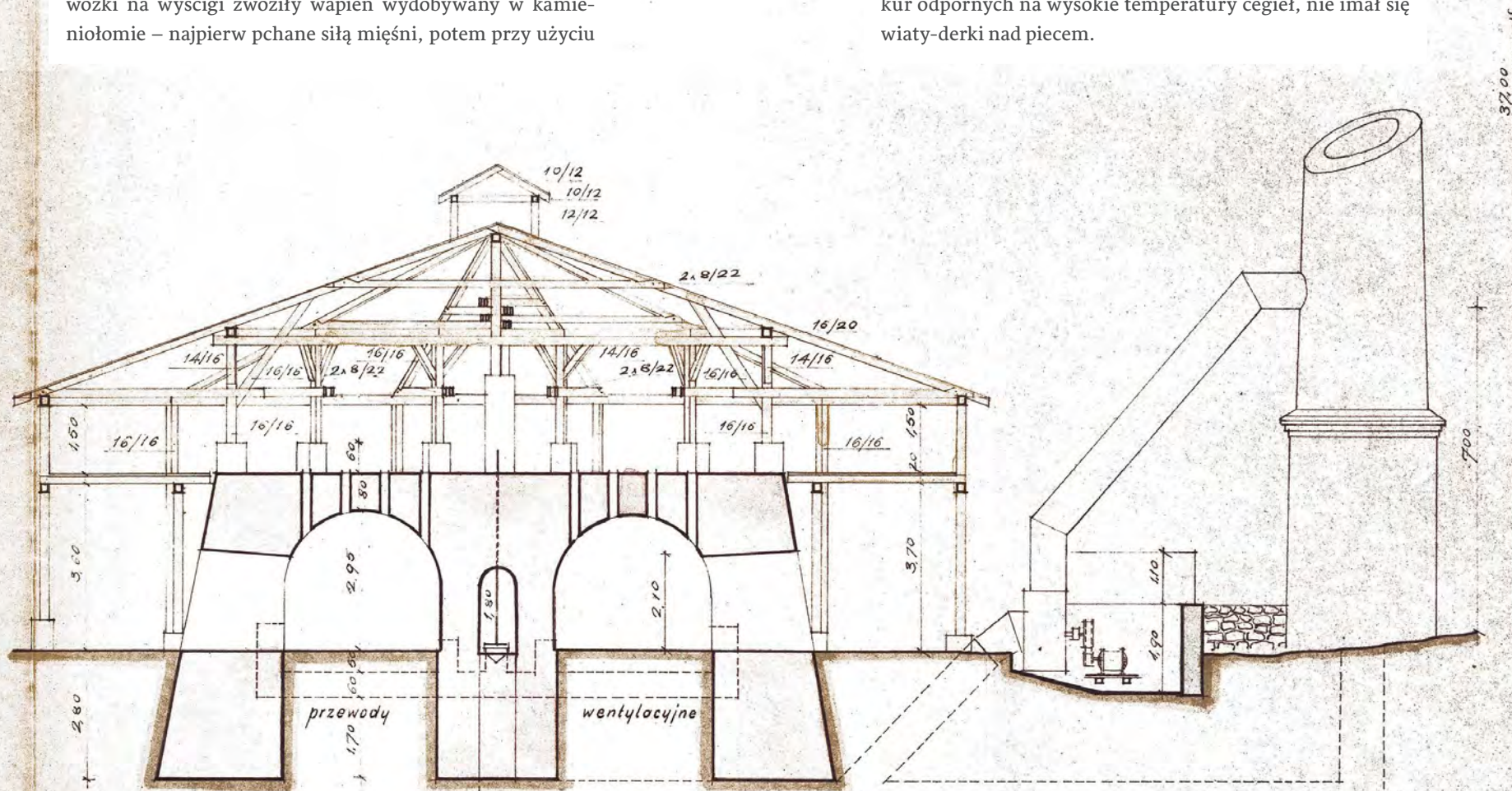
↑ Adam Boznański z córką Olgą, przed 1906. Ze zbiorów Polskiej Akademii Umiejętności, PAUart, domena publiczna

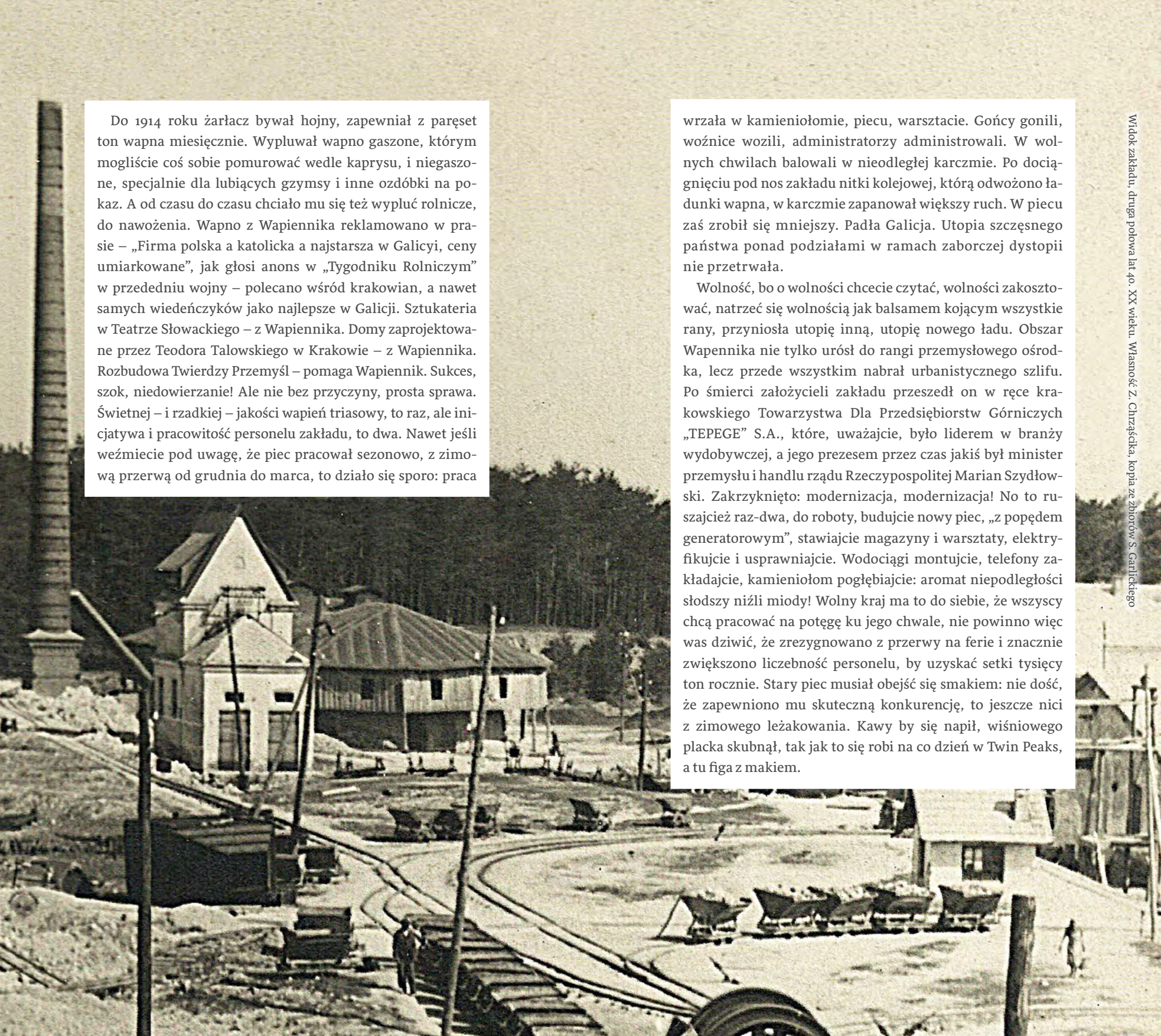
Pamiętacie czołówkę Lynchowego serialu? Przemysłowe gmaszyska pośrodku niekończących się puszc. A więc jednak. Laury Palmer brak, ale mimo to możemy się poczuć niczym w polskim Twin Peaks, i to w przededniu rewolucji. Bezdyskusyjnie rewolucyjny piec stał się duszą Wapiennika. Zbudowany w kilka miesięcy przez ekipę, którą dowodził inżynier Adam Boznański, ojciec Olgi, jednej z najwybitniejszych polskich malarek, w mig przyciąga oko obłym cielskiem. Ale rewolucyjny zapał pieca nie polegał tylko na charakterystycznym kształcie; to nowatorska dla galicyjskich tradycji pieców polowych technika czyni go tak zacnym. Opatentowany przez niemieckiego konstruktora Fryderyka Hoffmanna piec kręgowy różnił się od starych modeli tym, że kamień sypano nie od góry, lecz wkładano go od dołu, wprost do komór ciągnących się po obwodzie budowli.

Tak samo wyglądało to w sercu Wapiennika. Żelazne wózki na wyścigi zwoziły wapień wydobywany w kamieniołomie – najpierw pchane siłą mięśni, potem przy użyciu

stale wydłużanego systemu szyn. Wiecznie głodne komory pieca (sztuk szesnaście) pożerały kolejne porcje kamienia, po czym zamurowywano je i przez wąskie otwory wrzucano od góry – z wysokości pierwszego piętra – węgiel lub koks, który wjeżdżał tak wysoko po sprytnie wykombinowanych pochylniach. Gorące powietrze cyrkulowało po obwodzie, rażąc żarem kolejne komory z wapieniem. Potem wybierano wypalone wapno. Specjalne kominy odprowadzały dym spalin. Cykl załadunku i wyładunku kamienia dla jednej komory trwał okrągłe dziesięć dni. No, nie każdy ma lekko. W trzech słowach: krew, pot i łzy. Wyobraźcie sobie atletów pracujących w straszliwym ukropie, spacerujących tam i z powrotem ponad piekielnymi czeluściami żarłaczami, upychającego mu do przetyku węglowe posiłki, którzy muszą mieć na nogach drewniane trepy z grubymi koturnami, by się ich kur czerwony nie imał. Nie imał się kur odpornych na wysokie temperatury cegieł, nie imał się wiaty-derki nad piecem.

Przekrój pionowy pieca typu Hoffmann, 1919. Z Archiwum Zakładowego Wapiennika, kopia ze zbiorów S. Galińskiego





Do 1914 roku żarłacz bywał hojny, zapewniał z paręset ton wapna miesięcznie. Wypluwał wapno gaszone, którym mogliście coś sobie pomurować wedle kaprysu, i niegaszone, specjalnie dla lubiących gzymsy i inne ozdóbki na pokaz. A od czasu do czasu chciało mu się też wypluć rolnicze, do nawożenia. Wapno z Wapiennika reklamowano w prasie – „Firma polska a katolicka a najstarsza w Galicyi, ceny umiarkowane”, jak głosi anons w „Tygodniku Rolniczym” w przededniu wojny – polecano wśród krakowian, a nawet samych wiedeńczyków jako najlepsze w Galicji. Sztukateria w Teatrze Słowackiego – z Wapiennika. Domy zaprojektowane przez Teodora Talowskiego w Krakowie – z Wapiennika. Rozbudowa Twierdzy Przemyśl – pomaga Wapiennik. Sukces, szok, niedowierzanie! Ale nie bez przyczyny, prosta sprawa. Świetnej – i rzadkiej – jakości wapień triasowy, to raz, ale inicjatywa i pracowitość personelu zakładu, to dwa. Nawet jeśli weźmiecie pod uwagę, że piec pracował sezonowo, z zimą przerwą od grudnia do marca, to działo się sporo: praca

wrzała w kamieniołomie, piecu, warsztacie. Gońcy gonili, woźnice wozili, administratorzy administrowali. W wolnych chwilach balowali w nieodległej karczmie. Po dociągnięciu pod nos zakładu nitki kolejowej, którą odwożono ładunki wapna, w karczmie zapanował większy ruch. W piecu zaś zrobił się mniejszy. Padła Galicja. Utopia szczęsnego państwa ponad podziałami w ramach zaborczej dystopii nie przetrwała.

Wolność, bo o wolności chcecie czytać, wolności zakosztować, natrzeć się wolnością jak balsamem kojącym wszystkie rany, przyniosła utopię inną, utopię nowego ładu. Obszar Wapiennika nie tylko urósł do rangi przemysłowego ośrodka, lecz przede wszystkim nabrał urbanistycznego szlif. Po śmierci założycieli zakładu przeszedł on w ręce krakowskiego Towarzystwa Dla Przedsiębiorstw Górniczych „TEPEGE” S.A., które, uważajcie, było liderem w branży wydobywczej, a jego prezesem przez czas jakiś był minister przemysłu i handlu rządu Rzeczypospolitej Marian Szydlowski. Zakrzyknięto: modernizacja, modernizacja! No to ruszajcież raz-dwa, do roboty, budujcie nowy piec, „z popędem generatorowym”, stawiajcie magazyny i warsztaty, elektryfikujcie i usprawniajcie. Wodociągi montujcie, telefony zakładajcie, kamieniołom pogłębiajcie: aromat niepodległości słodszy niżli miody! Wolny kraj ma to do siebie, że wszyscy chcą pracować na potęgę ku jego chwale, nie powinno więc was dziwić, że zrezygnowano z przerwy na ferie i znacznie zwiększono liczebność personelu, by uzyskać setki tysięcy ton rocznie. Stary piec musiał obejść się smakiem: nie dość, że zapewniono mu skuteczną konkurencję, to jeszcze nici z zimowego leżakowania. Kawy by się napił, wiśniowego placka skubnął, tak jak to się robi na co dzień w Twin Peaks, a tu figa z makiem.



Okres prosperity przypada na lata dwudzieste, wszyscy noszą głowy wysoko, przechadzają się w rytm pomruków pieca po ogrodach zielonego osiedla, mijając eleganckie dwupiętrowe kamienice z narożnymi wieżyczkami i schludne budynki pracownicze. Wille wzorowane na renesansowych pyszniły się zdobieniami czy loggiami i wyznaczały oś spacerowych alejek i skwerów. Główna droga przebiegająca przez Wapiennik była ubitym traktem, z mizernym ruchem, co wykorzystywano do szaleńczych zjazdów na nartach i sankach. Działała kantyna ze słoniną, chlebem i kawą, w przydomowych ogródkach uprawiano kolorowe rośliny. Kolejni chętni do pracy zjeżdżają z całej Małopolski. Wapiennik tętni życiem, co jakiś czas zagląda nawet Jan Naturski, przez pewien czas dyrektor TEPEGE i inicjator rozbudowy Wapiennika, szpanując swoim cadillakiem. Jedna bajka, macie na końcu języka i tężejcie w zachwycie.

Ale potem jest jak we wszystkich historiach rodem z oleodrukowych wizerunków amerykańskich miasteczek w stylu tego z Blue Velvet: w gęstej trawie piszczy spleciony w obślizgłym uścisku tłum robali. Karta się odwraca. Ogólnoświatowy kryzys powoduje, że zapotrzebowanie na wapno spada. Dopiero co postawiony piec szybowy zostaje rozebrany i odnajduje swoje przeznaczenie jako ceglany budulec na kościół w podchrzanowskim Balinie. Wypał powoli zamiera: idzie wojna – która da trochę zarobić, ale to zupełnie inne opowiadanie – i sprawy mają się ciut inaczej. Zamiast swojskiego Wapiennika zobaczylibyście niemiecki Kalkwerk i nie byłoby to tym samym, co w swoim spektaklu wyczytał z Thomasa Bernharda Krystian Lupa. Historia niepodległych zakładów

wapienniczych dobiega końca, choć przecież odrodzi się parę lat później i to w okolicznościach nad wyraz fortunnych, zapewniając piecowi kręgowemu zakosztowanie złotego wieku, aż po przejście na zasłużoną emeryturę w 1963 roku. Zgoda, ale będzie to już inny kraj, wolny, ale i zniewolony zarazem, o czym wiecie i do czego wracać chyba potrzeby nie macie.

Więc czym prędzej przenosicie się do piecowego tu i teraz, zacierając dłonie, bo zimno. Wędrujecie korytarzami nieczynnego pieca jak zamkowymi lochami. Uważajcie tylko, żeby ktoś z przyzwyczajenia was nie zamurował. Nie, co pan gadasz, panie, przecież tu nie ma nikogo – ledwie jakiś gumofilc, butelka jakaś, nikłe wspomnienia dyskotek urządzanych w przyzakładowej świetlicy, spektakli przygotowywanych przez pracowników, którzy zamiast leżeć po fajrancie do góry brzuchem, woleli zakładać peruki i wystawiać Fredrę, lub koncertów dającej czału grupy Calcium, Bitelsów z Wapiennika. Niby nikogo nie ma, a legowisko lisa jest. Urządził sobie misterne gniazdo ze słomy tu, gdzie kiedyś żar nie przestawał rządzić choćby na moment. Podobnie na pierwszym piętrze, gdzie wśród zapomnianych archiwów zakładu i zakurzonych mebli stoją dostojne meble. Poza tym trochę rupieci i ptaków. Całość wygląda jak arendowana przez Woodsmanów stacja benzynowa z przyległościami, gdzie, jak to w onirycznej logice Lyncha, mieszczą się inne światy z drewna i zużytych ustrojstw.



↑ Zakładowe budynki mieszkalne nr 33 i 35 (drugi już nieistniejący), lata 40. XX wieku. Własność Z. Chrzęścika, kopia ze zbiorów S. Garlickiego
→ Zespół mandolinistów przy zakładzie w Wapienniku, koniec lat 50. XX wieku. Ze zbiorów S. Garlickiego

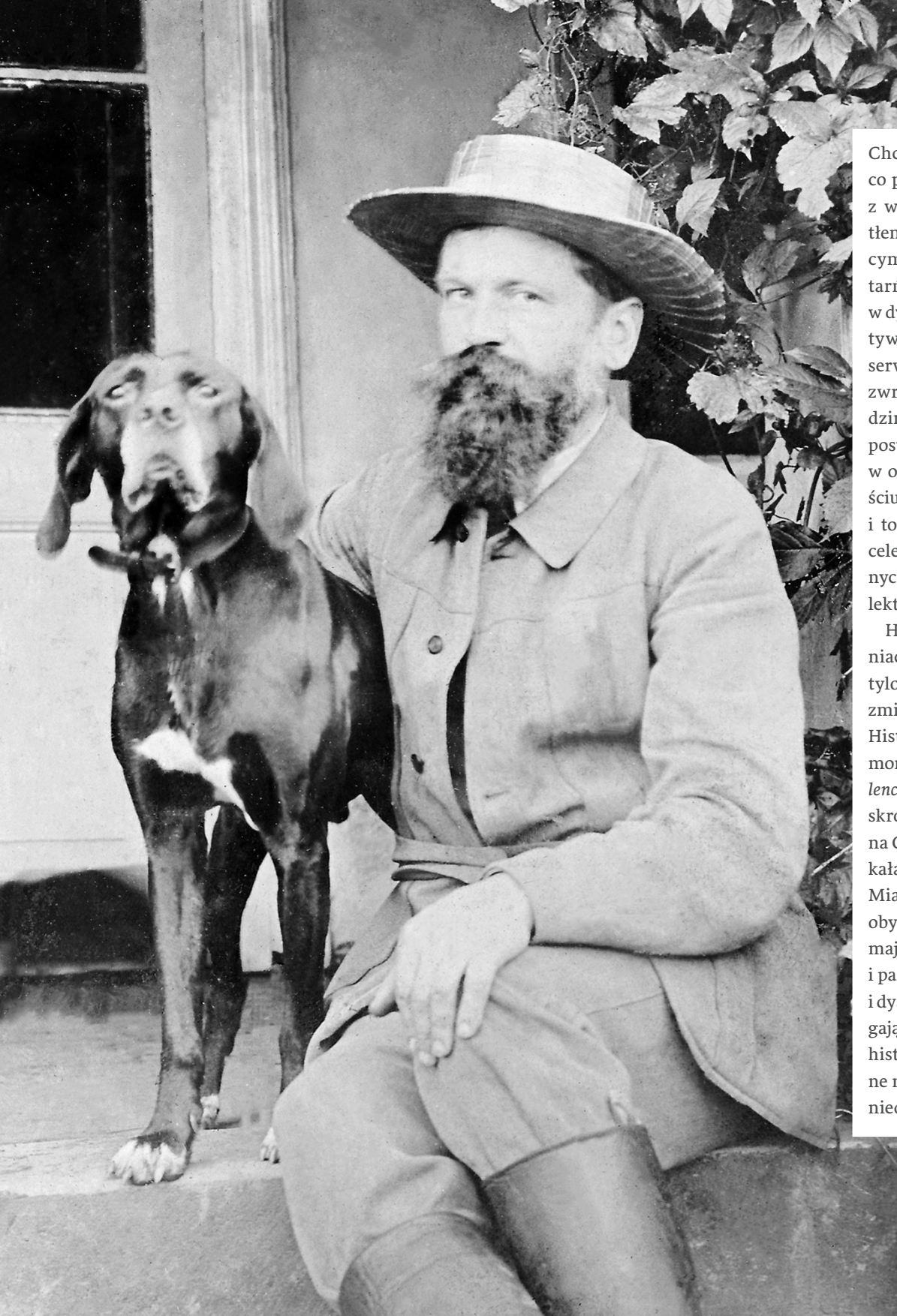
Nie zostało wiele z ogrodu. Ani z kamienic, zniszczonych w czasie renowacji. Ducha starego Wapiennika szukajcie na zapiecku, u Stanisława Garlickiego, rodem z Wapiennika, który na drugim piętrze swojego domu prowadzi muzeum przechowujące pamięć o osiedlu i zakładzie, gdzie pracowali jego rodzice i dziadkowie. Rodzinne historie was łapią za serce, bez pudła. Ale też ronicie łezkę nad wielorybami wyrzucanymi raz na czas przez fale niegościnnego oceanu. Urońcie zatem i nad cielskiem pieca kręgowego typu Hoffmann, śpiącym kamiennym snem w Wapienniku. Chcielibyście żarliwej utopii, w której wszyscy żyją zgodnie niczym jedna wielka rodzina, razem pracują i odpoczywają, wyjadają pod kocem ciasteczka z blaszanych pudełek, wywijają na parkiecie, dokarmiają sarny i borsuki z lasu, uśmiechnięci machają z okien i „hodują oswojone godziny” (jako rzecz wieszcz Herbert). Cóż. Z tym hodowaniem to jest tak, że niestety „jedna z tych godzin będzie twą ostatnią”, o czym przypomina wam jak walnięcie obuchem sentencja umieszczona pod zegarem w centrum Plazy.



Czyn społeczny na terenie Wapiennika, obok budynku portierni, lata 60.–70. XX wieku.
Własność E. Łęnyk, kopia ze zbiorów S. Garlickiego



BAKCYLE POSTĘPU
KAMIENICA BUJWIDÓW
W KRAKOWIE



Chcielibyście historii miłosnej, prawdziwego romansu, co pąsem wam rozmasuje policzki, romansu krakowskiego, z wyższych sfer i o nobliwym zapleczu, z mieszczańskim tłem, z polityką u boku, z zazdrością i medycyną podążającymi w ślad za kolejnym sukcesem. Romansu w świetle latarni na Plantach, ale i pełnego niedopowiedzeń ukrywanych w dygestoriach. Romansu, który rozsadza gorsety konserwatywnych gustów i cylindry norm społecznych, choć w konserwatywnej ramie jest zamknięty. Który zamiast szalonych zwrotów akcji i namiętności kipiących z retort wybiera rodzinne zacisze. A przecież zmienia bezpowrotnie sposoby postrzegania kobiet w życiu publicznym i toruje im drogę w ostępach patriarchy, mimo że sam prywatnemu szczęściu nie pozwala o patriarchalnych złogach zapomnieć. No i to, co lubicie najbardziej: protagonistami są bowiem nie celebryci z bożej łaski, lecz pełnokrwisti bohaterowie o mocnych charakterach, wyprzedzający swoją epokę tężyzną intelektu i bakcylem postępu.

Historie miłosne to mają do siebie, że streścić w paru zdaniach ich nie streścicie. Nie mówiąc o takich, które owocują tyloma odkryciami, książkami, pracami, zasługami, że nie zmieścilibyście ich nawet w czeluściach dziury budżetowej. Historia Odon Bujwida i Kazimiery Bujwidowej z domu Klimontowicz to właśnie taka historia: nowoczesna *par excellence*, wielkoformatowa i zasługująca na wiele więcej niż skromna, choć wspaniale położona i zabudowana, uliczka na Grzegórkach, której patronem jest on; ona zaś nie doczekała się choćby zaułka, skweru choćby bądź w parku alejki. Miasto, jeśli myślicie o parytecie w doborze autorytetów dla obywateli, nierychliwe. Wciąż nobliwi panowie w surdutach mają się o niebo lepiej niż rewolucyjnie nastawione panie i panny, nawet jeśli ich wkład w rozwój miasta równie ważki i dyskusjom niepodlegający. A może w tym szkopuł, że podlegający? Może raz na czas warto, wiecie sami dobrze, odsłonić historie obrośnięte kurzem, patyną czasu okryte, przyklepane niby-konsensusem i śpiące w dobrotliwych legendach jak niedźwiedzie w gawrach?

Odon Bujwid w słomkowym kapeluszu z psem, ok. 1900. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida

Kiedy przechadzacie się przez włości Wesołej, tej części Krakowa, którą zbyt często omiatacie wzrokiem jako nie dość ciekawą, nie bójmy się słów, po macoszemu traktujecie, bo jest dla was zapowiedzią jedynie, trailerem metropolitalnej wielkości objętej zielono-gawronim uściskiem Plant, po kiego diabła zwalniać kroku przy ulicy Kopernika, rozglądać się po ululanych kamienicach przy Ariańskiej czy Topolowej, przy Rakowickiej, usianej krostkami sklepików i restauracyjek, przystawać w zadumie? Ech, miłe, ach, mili, srodze grzeszycie. Nie chcecie pograsować sobie z braćmi kurkowymi po Parku Strzeleckim, eksmuzeum Lenina w Pałacu

Mańkowskich budzi w was awersję częściej niż słuszne zaciekawienie, baron Götz-Okocimski chlipie w zaświatach, bo twierdzicie, że Browar Kraków z pałacykiem, słodownią i innymi dobrociami sztuki i techniki nie wart waszej uwagi, o licznie gnieźdzących się w okolicy kościołach, Ogrodzie Botanicznym i klinikach Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego nie wspominając, bo tam mór, choć przecież i wiewiórki przynoszące pacjentom orzeszkowe antybiotyki, i dzięcioły zielone starannie wydłubujące smakołyki z mrowisk, i paru mięsistych biegaczy w obcisłych porciętach, przemierzających zakamarki Wesołej, by dobrze zrobić rzeźbie swych spoconych ciał.



Lekarze i pacjenci na oddziale chirurgicznym w klinice przy ul. Kopernika (przy pacjencie siedzi Jadwiga Bujwidówna), 1914.
Ze zbiorów Muzeum im. Odona Bujwida



I nawet gdy na szalę rzucić fakt niezbywalny, węgielny kamień waszej stołeczno-królewskiej tożsamości, a mianowicie to, żeście z Wesołej wszak rodem, albowiem matki i ojcowie witali was na świecie w gmachu przy ulicy Kopernika, to jakże chętnie to wypieracie i jadąc tramwajem arterią tutejszą, ulicą Lubicz, odwracacie wzrok od tego, co po lewej, tego, co po prawej, dążąc w swoich myślach ku wypucowanej płycie Rynku. Lubicz to zresztą odpowiednie miejsce na początek wielu historii, także miłosnych, także tej z małżonkami Bujwidami w rolach głównych. Może i tak, choć zgrzebnie i szaro jakoś, myślicie, przez nieuwagę łypiąc na otoczone wysokim płotem suche połacie krzaczysk i badyli na działce dogorywającej przy Lubicz 36. Nie pamiętacie, a szkoda, że od ostatnich dekad XIX wieku przed waszymi antenatami roztaczały się tutaj, na prośbę hrabiego Piotra Moszyńskiego zaaranżowane przez mistrza ogrodnictwa z Opolszczyzny, imię Karola Freegego, eleganckie ogrody ze szklarniami, inspektami i wielobarwną roślinnością. Ale to nie ten fakt powinien was zaintrygować najłatwiej.

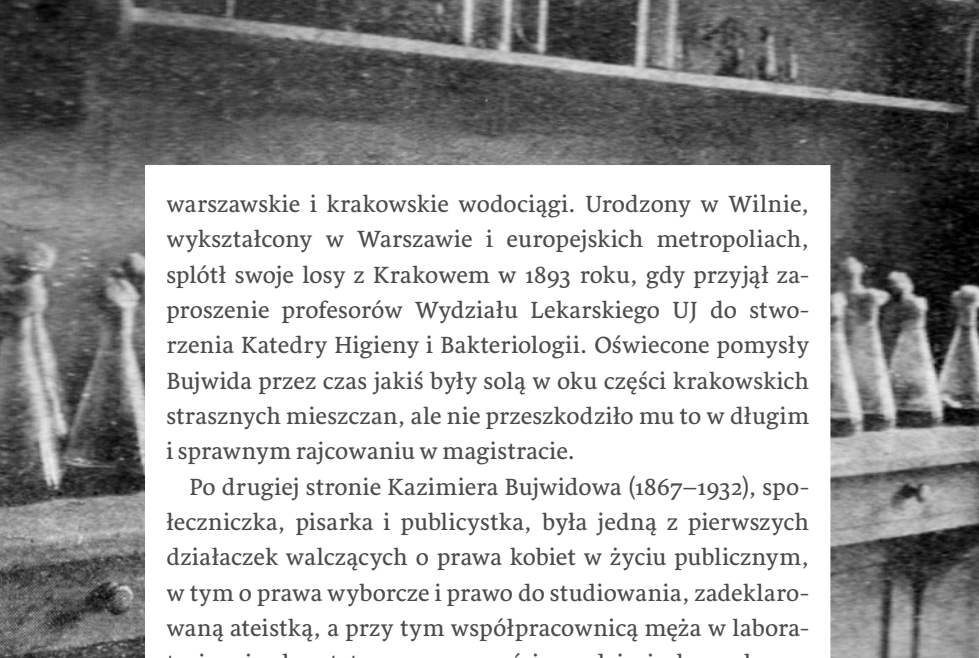
O dawną świetność Ogródów Freegego opiera się bowiem, od strony przystanku tramwajowego blisko ujęcia ulicy Rakowickiej, kamienica pod numerem 34, na którą pies z kulawą nogą mógłby nie mrugnąć, bo w marazmie zatopiona i smogach pyrkającego ruchu ulicznego, który chwilami w bezruch się przemienia, pyrkając wtedy zresztą jeszcze intensywniej. Przystańcie, wysiądźcie z pojazdu komunikacji miejskiej, zanim dotrze do zatłoczonego Dworca Głównego, spróbujcie dostrzec walory bycia pomiędzy – pomiędzy węzłowymi punktami przesiadkowymi

znaczonymi komercją i reklamową nijakością, pomiędzy wartkimi potokami pseudonowoczesności, pomiędzy Bardzo Ważnymi Celami i Projektami Waszego Życia. Zatopcie się w nowoczesność prawdziwą, wkraczając w meandry historii ukrywającej się za nieśmiałą tabliczką „Muzeum Odon Bujwida”. I porzućcie wszelkie nadzieje na szybkie wyjście; historie miłosne takie jak ta są zbyt skomplikowane, by machnąć na nie pletwą, tu trzeba odzyskać w sobie hart ducha i odświeżyć ambicje archeologiczne. To nie historia-muzeum, to historia-skarbiec z numizmatyczną, biblioteczną i medyczną kolekcją oraz szafami, kredensami i półkami pełnymi łapiących za serce zwrotów akcji.

Takie historie zaczynają się od iście encyklopedycznych notek, które być może mają swoje plusy. Jednak rozchodzi się o to, aby, jak mawiał klasyk, te plusy nie przysłoniły wam minusów. Innymi słowy: nie wahajcie się zaglądać pod kanapy i stoły, obwąchujcie każdą gablotę i szufladkę, nie prześlępcie kartki najcieńszej i byle znaczka z oberwanymi ząbkami. Po jednej stronie Odon – lub jeśli wolicie, Odo, bo i taką formę znajdziecie w użyciu – Bujwid (1857–1942), pionier bakterio-logii, profilaktyki lecznictwa, higieny i badań nad żywnością, uczeń Roberta Kocha i Ludwika Pasteura, twórca pierwszych w Kongresówce zakładów badań nad wścieklizną i cholerą. Oprócz pracy naukowej poświęcał się działalności społecznej i politycznej. Propagował wychowanie fizyczne jako przedmiot szkolny, kształtował prawidłowe nawyki młodzieży (kiedy wam mama mówi, żebyście się na garbili, to wiedźcie, że mówi to za nauką Odon Bujwida), współzakładał

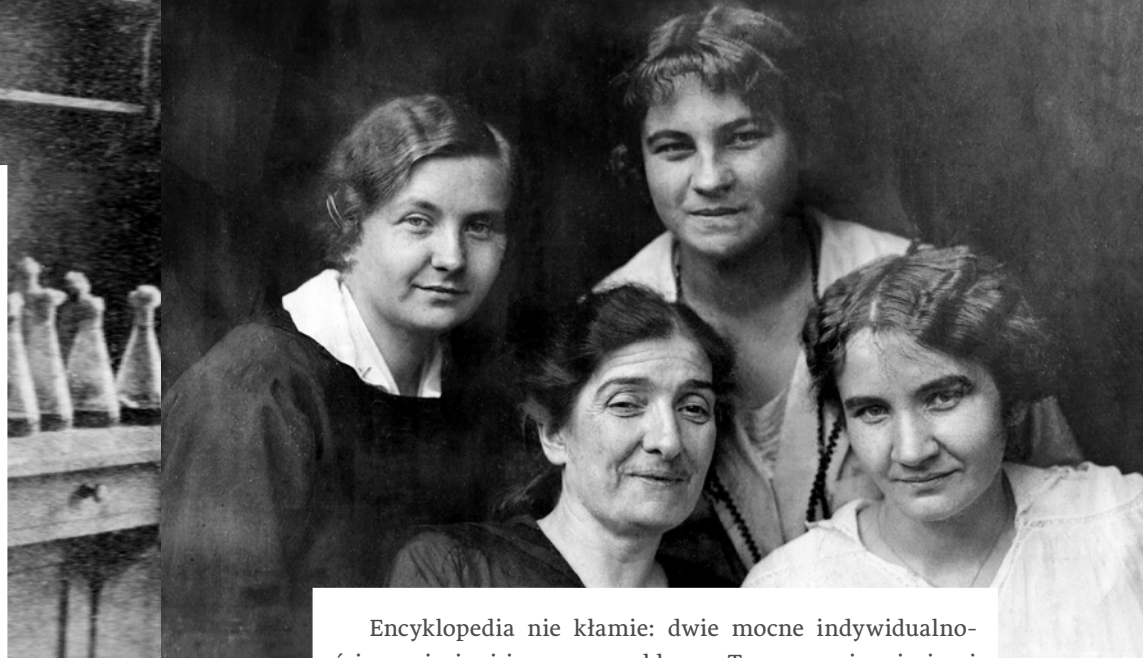


↑ Helena powozi, za nią siedzi Kazimiera i Zofia, towarzyszy im ktoś z dzieci, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida
→ Kazimiera Bujwidowa z przyjaciółmi, lata 80. XIX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida



warszawskie i krakowskie wodociągi. Urodzony w Wilnie, wykształcony w Warszawie i europejskich metropoliach, splótł swoje losy z Krakowem w 1893 roku, gdy przyjął zaproszenie profesorów Wydziału Lekarskiego UJ do stworzenia Katedry Higieny i Bakteriologii. Oświecone pomysły Bujwida przez czas jakiś były solą w oku części krakowskich strasznych mieszczan, ale nie przeszkodziło mu to w długim i sprawnym rajcowaniu w magistracie.

Po drugiej stronie Kazimiera Bujwidowa (1867–1932), społeczniczka, pisarka i publicystka, była jedną z pierwszych działaczek walczących o prawa kobiet w życiu publicznym, w tym o prawa wyborcze i prawo do studiowania, zadeklarowaną ateistką, a przy tym współpracownicą męża w laboratorium i pełnoetatową mamą sześciorga dzieci własnych oraz jeszcze kilkorga osieroconych przez przyjaciół. Warszawianka z rodziny o litewskich korzeniach (zresztą rodzina Odon także pochodziła z Litwy), w latach 80. i 90. XIX wieku była zaangażowana w działalność Uniwersytetu Latającego, konspiracyjnego ruchu samokształceniowego dla kobiet, które nie miały możliwości odbywania studiów uniwersyteckich. Ukończyła kursy w dziedzinie nauk biologicznych jako jedna z najzdolniejszych, obok Marii Skłodowskiej-Curie czy Marii Gorzechowskiej, uczennic. Wyszła za Odon Bujwida w 1886 roku i wraz z mężem przeniosła się do Krakowa, gdzie nie tylko pomagała mu w działalności naukowej i eksperymentalnej, ale – będąc twardą i odważną kobietą wśród, co tu kryć, wielu zacofanych i szowinistycznie ukierunkowanych samców – zdołała nie małym kosztem wyrąbać miasztu ścieżkę równouprawnienia.



Encyklopedia nie kłamie: dwie mocne indywidualności, powiecie, i ja wam przyklasnę. Tacy, co osiągnięciami niepodważalnymi mogą się pochwalić, trudno się godzą na co dzień, sarkniecie, i pewnie żdziebko racji będzie i w tym sądzie, choć bez twórczego napięcia dobra historia miłosna byłaby płaska jak naleśnik. Albo jak płytka z preparatem. A takich płytek w krakowskim laboratorium Bujwidów było na kopy. W Zakładach Produkcji Surowic i Szczepionek, otwartych w 1894 roku właśnie tu, przy Lubicz 34, pracy nie brakowało: surowica przeciwbłonicza i szczepionki przeciw wściekliznie czy durowi brzuszemu to nie żarty, tuberkulina – białko uzyskiwane z hodowli prątków gruźlicy – trwalsza niż pomnik ze spiżu. Zresztą rezultaty badań możecie oglądać do teraz w masywnych szafach i dygestoriach; trafić wam się może choćby plwocina Adama Asnyka, pobrana 9 czerwca 1897 roku. Skądinąd Asnyk pojawiał się u Bujwidów często już w okresie warszawskim, podobnie jak inni wielcy tych czasów, Konopnicka czy Skłodowska; teraz dołącza do nich postępowo nastawiona młodzież Krakowa i okolic. Wśród niej – córki i synowie Odon i Kazimiera (Kazimiera, Zofia, Jadwiga, Stanisław, Helena i Jan).

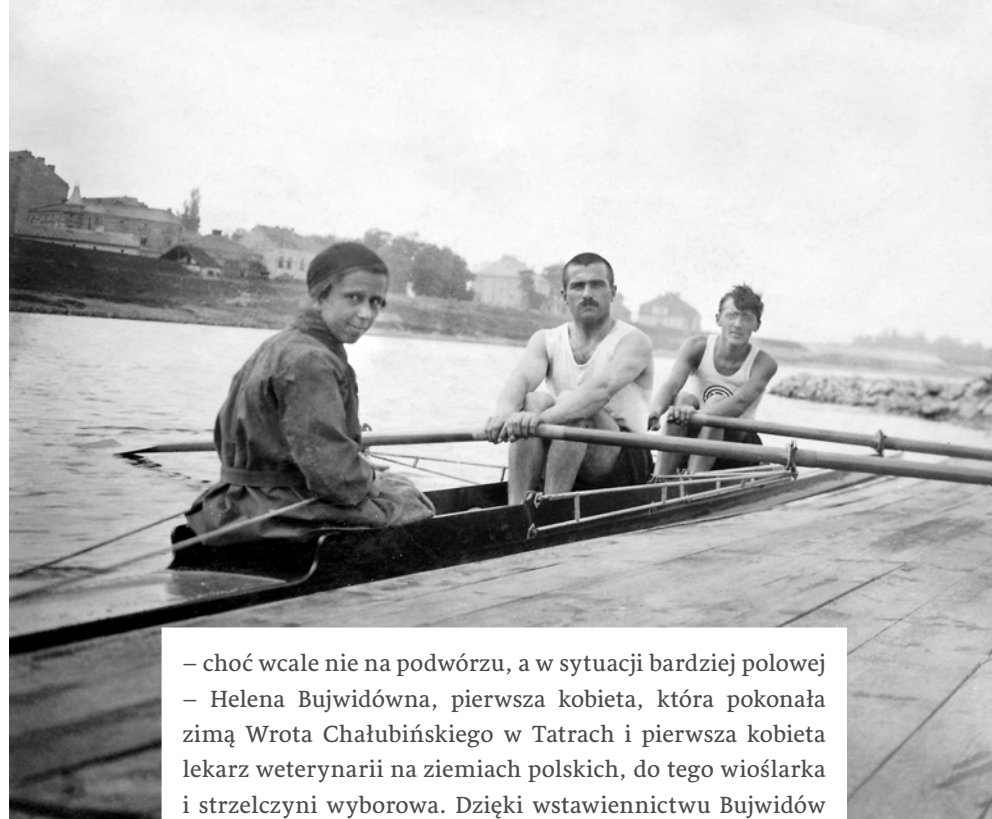
Trudno orzec, czy miłość wśród prątków i pałeczek kwitnie równie dziarsko co bakterie, ale jednego możecie być pewni: u progu nowego wieku, w przedsionku niepodległości, dom Bujwidów to centrum wszechświata; *axis mundi* znajduje się na Wesolej. Oczywiście wszechświata oświeconego,



← Odon Bujwid i jego asystenci przy koniu szczepnym, na stole aparatura medyczna, 1914. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida

↑ Jadwiga, Helena, Zofia Bujwidówny ze Stefanią Sempołowską, nauczycielką i działaczką oświatową, lata 1914–1918. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida

bez którego dzisiejsze swobody i ulgi byłyby wciąż podobne fatamorganie. Wolność, panie i panowie, smakowałyaby co najwyżej jak zgniły arbuz, gdyby nie idee rotariańskie, krzewione przez Odonę, gdyby nie propagowanie języka esperanto, stworzonego przez jego szkolnego kompana Ludwika Zamenhofs, gdyby nie wiele decyzji, działań, pomysłów na unowocześnienie życia współobywateli nadwiślańskiej metropolii. Patrzcież na ściany: wyobraźcie sobie wiszący tu portret profesora Bujwida pędzla Józefa Mehoffera, wykonany przez artystę węglem w sierpniu 1914 roku, tuż po wymarszu Kompanii Kadrowej. Bujwidowie dokładają do odzyskania niepodległości nie skromną cegielkę, dajcie spokój, a cały wagon cegieł, cegieł i pustaków hałdy. Zakłady produkują gigantyczne ilości szczepionek przeciw czerwonce i cholerze. Na podwórzu kamienicy, na które zaglądacie i rzutujecie sobie obrazy sprzed stulecia, odbywają się masowe szczepienia żołnierzy, także jeńców wojennych, w których bierze udział cała rodzina Bujwidów. Skądinąd na jednej z fotografii w mieszkaniu-muzeum żołnierza rosyjskiego szczeni



– choć wcale nie na podwórzu, a w sytuacji bardziej polowej – Helena Bujwidówna, pierwsza kobieta, która pokonała zimą Wrota Chałubińskiego w Tatrach i pierwsza kobieta lekarz weterynarii na ziemiach polskich, do tego wioślarka i strzelczyni wyborowa. Dzięki wstawiennictwu Bujwidów z wojennej zawieruchy udaje się wyciągnąć kwiat polskiej nauki, w tym Rudolfa Weigla, autora szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, czy Władysława Szafera, słynnego botanika i rektora UJ.

Wiele. Ale to i tak nic w porównaniu z pracą u podstaw, jaką w pierwszych dekadach minionego stulecia wykonała Kazimiera. Współtworzyła program galicyjskiego Towarzystwa Szkół Ludowych, organizacji dbającej o rozwój oświaty wśród ludu, założyła czytelnice dla kobiet i młodzieży, doprowadziła do otwarcia pierwszego na ziemiach polskich gimnazjum dla dziewcząt z programem, wymogami i statusem edukacyjnym równymi gimnazjom męskim, a także do usankcjonowania prawa do studiów dla kobiet na przełomie wieków, a następnie – do równouprawnienia studentów i studentek. Działała na forum galicyjskim i krakowskim, angażowała się w kampanię wyborczą Marii Dulębianki, pierwszej kobiety kandydującej do Sejmu Krajowego. Wystąpiła z Kościoła i jawnie krytykowała wpływy duchownych na codzienne życie miasta, co powodowało liczne konflikty z otoczeniem. Mało wam?

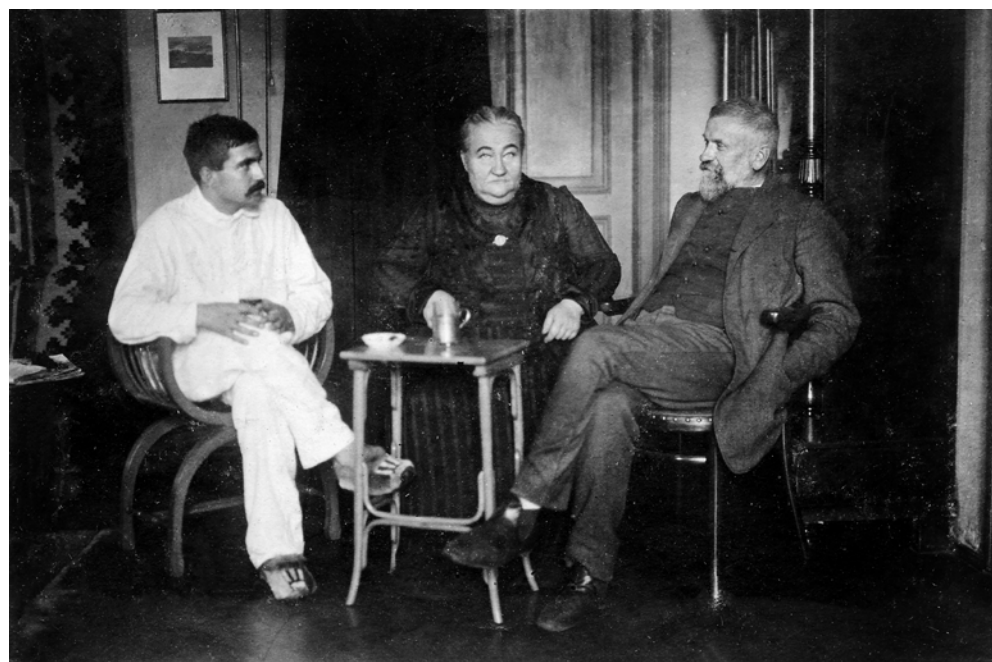
← Helena Bujwidówna na koniu na podwórzu kamienicy przy ul. Lubicz, ok. 1918. Ze zbiorów Muzeum im. Odonę Bujwida
 ↑ Jan Bujwid podczas treningu wioślarskiego na Wiśle, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odonę Bujwida



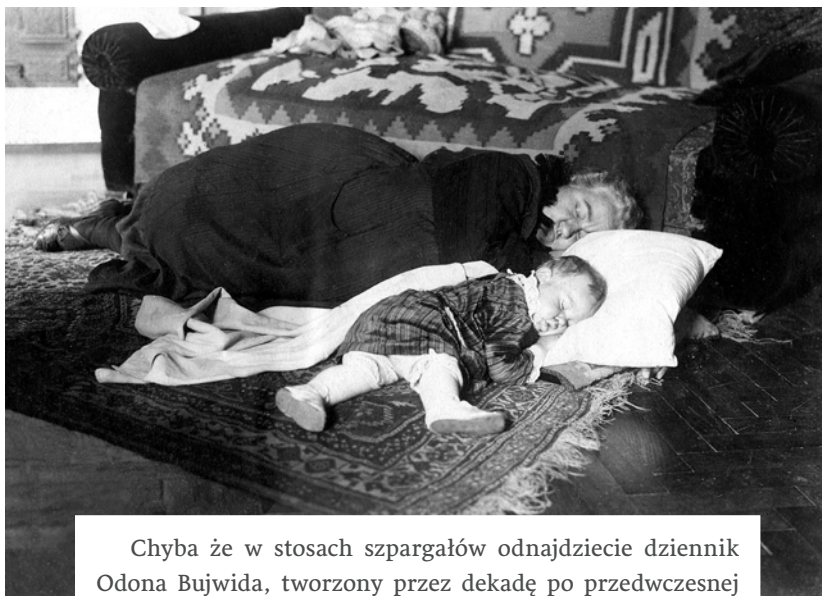
Skoro wciąż mało, to macie: napisała stosy książek i broszur opowiadających się za emancypacją kobiet, postępowymi metodami wychowywania dzieci i edukacji, w tym słynne dzieło *U źródeł kwestii kobiecej* z 1910 roku. Nową Rzeczpospolitą przywitała *Deklaracją programową kobiet wobec nadchodzących wyborów do Sejmu Ustawodawczego*, manifestem, który brzmiał mocno i mocno brzmi do dziś: mówi się tu o zgodnym współżyciu różnych narodowości w ramach państwa polskiego, o niezależnej władzy sądowniczej i odpowiedzialnej władzy wykonawczej, o bezpłatnej, obowiązkowej i koedukacyjnej szkole, o ochronie dzieci, kobiet, niepełnosprawnych i ubogich. Deklaracja ta, ogłoszona na przełomie lat 1918 i 1919, jest w pewnym sensie podsumowaniem aktywności społecznej Kazimierzy. Jej cena okazała się spora. Przewlekła choroba uniemożliwiła Bujwidowej działalność w okresie międzywojennym, ale jej rewolucyjne odezwy trafiły na podatny grunt. Córki nie dość, że skończyły studia, to jeszcze organizowały się w ruchu przeciwko reliktom akademickiego androcentryzmu.

To te same dziewczyny, które na jednym ze zdjęć z Bujwidowych zbiorów szaleją hippicznie, na innym – pozują z rowerami, jakby robiły sobie tylko drobną przerwę na łyk wody między kolejnymi sesjami treningu przed Tour de France. Fotografie ukazują jeszcze jedno oblicze miłosnych perypetii Odon i Kazimierzy – oblicze bardziej sielskie, bukolicznie

nieomal. Z synem Janem prowadzili bowiem w swoich majątkach eksperymentalną uprawę ziemi, hodowlę krów rasy czerwonej oraz pstrągów. Praca, i owszem, ale także łagodne spacery po łąkach, zabawy z psem, spędzanie czasu na świeżym powietrzu. Walka o wolność, równouprawnienie i krzewienie oświaty to nie tylko praca, to także niezbędny relaks. Wiecie, idee *anima sana in corpore sano* to nie przelewki, tu trzeba świecić przykładem. Międzywojenne podróże po całym świecie z misją esperantystyczną to też wysiłek fizyczny; dobrze przynajmniej, że po nieporozumieniach z kolegami z UJ Odon przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Wertujecie pierwodruki broszur, zachwycacie się rozległością horyzontów obojga małżonków, myślicie wśród zachowanych pamiątek, w tym oryginalnego wyposażenia mieszkania Bujwidów – wełnianego kilimu, starej kanapy, przy której, jak zdradza fotografia, śpi Kazimiera z wnuczką, biurka z tysiącem szuflad, szufladek i szufladziątek, wielu par okularów, przez które na pewno można było zobaczyć złośliwe oczka hasających bakterii. Miłosne historie zakłute w rzeczach powieść wam więcej o ludziach niż najcieplejsze słowa.



↑ Siostry Bujwidówny z koleżankami podczas zawodów rowerowych, początek XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida
→ Jan, Kazimiera i Odon Bujwidowie w gabinecie profesora, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida



Chyba że w stosach szpargałów odnajdziecie dziennik Odonu Bujwida, tworzony przez dekadę po przedwczesnej śmierci Kazimierzy. Tytuł wydanych drukiem zapisków mówi sam za siebie: *Osamotnienie*. Listy do zmarłej ukochanej to znakomity dokument epoki: mówimy o latach trzydziestych, a więc końcu wolnej Polski. Ale przede wszystkim to dokument utraty i świadectwo wielkiej miłości, choć miłości pełnej innych miłości, miłości załamującej się i niepewnej. Czytacie te pełne żalu passusy, słysząc wyłącznie jeden głos, głos Odonu, i nie możecie pozbyć się myśli o tym, że najpiękniejsza nawet baśń o wspólnocie, równych prawach i postępowych postulatach kończy się w ramionach innej: „Zacząłem siebie zapytywać, czy ja Ciebie naprawdę kochałem, czy tylko Ciebie jedną? Na pewno nie, ale pomimo to nie byłem nigdy z żadną ludzką istotą związany tyloma niemi jak z Tobą. Gdy przebiegam myślą całe moje życie, widzę kilka, może kilkanaście kobiet, które [...] podobały mi się może bardziej od Ciebie i zostawiły dotychczas nie zatarte wrażenie pomimo tylu najmielszych lat przeżytych z Tobą”. Zamykacie książkę, patrzycie teraz na oddychające w leniwym rytmie przedmioty. Podchodzicie do okna i obserwujecie, jak do stojącego na przystanku tramwaju podbiega mężczyzna. Motorniczy nie widzi go, zamyka drzwi i odjeżdża.

↑ Kazimiera Bujwidowa z wnuczką śpią przy kanapie w swoim mieszkaniu przy ul. Lubicz, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odonu Bujwida
→ Kazimiera Bujwidowa w ostatnich latach swojego życia w majątku w Czastawiu. Ze zbiorów Muzeum im. Odonu Bujwida



Chcielibyście historii miłosnej, prawdziwego romansu, co pąsem wam rozmasuje policzki, romansu krakowskiego, z wyższych sfer i o nobliwym zapleczu, z mieszczańskim tłem, z polityką u boku, z zazdrością i medycyną podążającymi w ślad za kolejnym sukcesem. Romansu w świetle latarni na Plantach, ale i pełnego niedopowiedzeń ukrywanych w dygestoriach. Romansu, który rozsadza gorsety konserwatywnych gustów i cylindry norm społecznych, choć w konserwatywnej ramie jest zamknięty.

Kolaz – w tle dwór rodziny Żabów, na pierwszym planie właściciel dworu, Franciszek Feliks Żaba z psem Tropem, w głębi matka Franciszka, Anna z domu Oczosalska. Ze zbiorów prywatnych



NADDUNAJECKA SAGA
KOŚCIÓŁ PW. PODWYŻSZENIA
KRZYŻA ŚWIĘTEGO I DWÓR ŻABÓW
W ZBYLITOWSKIEJ GÓRZE

Chcielibyście wsi sielskiej, anielskiej. Takiej nie ma. Jest wieś cicha i oddychająca ziemią, przycupnięta przezornie na uboczu, ukrywająca mroczne sekrety i dająca psią radość ze zwisającymi uszami. Nie wolno wam prześlepić wąskich ulic z brązowymi i zielonymi chałupkami. Nie wolno wam zapomnieć, że gdzieś między Tarnowem i nie-Tarnowem, w kuluarach metropolitalno-tirowego zgiełku macie Zbylitowską Górę, czy, żeby nie przesadzać z oficjałkami, Górę, tak po prostu. Chcielibyście wsi z ni to ryneczkiem, ni placikiem takim, co wyrwie was z bolidów billboardowych reklam i gokartów pastelozy. Góra niknie za mgłą, drewniane domki gnieżdżą się na skarpie nad Dunajcem, który oplata was oparami melancholii. Góro, pędzimy na złamanie karku, przez małopolskie wyżyny z niepołomickimi lasami, bocheńską solą i brzeskim browarem, przez zapomniane przysiółki ze świętym Stanisławem, przez nieszczęsne Biadoliny i Zgłobice z kościołem-statkiem, co zamiast dzwonu syrenę mieć powinien i wzywać na nabożeństwa w mesie.

Wiecie, jest zupełnie jak w tym świstaczym śnie: trzy razy szukacie bramy do wsi, bładzicie przy akompaniamencie burczących żołądków i skrzeczenia perliczek, stukacie kijem do nieistniejących wrót. Majaczą wam rozlewiska Dunajca, kafary nurzają się w żwirowniach, żurawie niczym marabuty, marabuty niczym wielkouche gacki, co torpedują komary malowniczym wieczorem, za pan brat z mewami wyrrywającymi sobie bułkę, z trzcina pełną tajemnic i wiatru. W końcu meldujecie się na placu św. Floriana, parkingiem i ławeczkami oznajmującym swą centralność. Zatrzymujecie się chwilę nad globusem, który wyrzył wam wszystko w granicie: oto Zbylitowska Góra, oto Polska, oto Europa, oto kula ziemiska w różnych odcieniach szarości. Zbylitowska Góro, *here we come*.

Góro, dopędziliśmy cię wehikułem niepodległości, czasu, który, choć wolny, w istocie przyspiesza i gna na zabój, żeby zaszyć się wśród „właściwej wsi i pięciu wólek”, jak elegancko



podpowiadają słowniki geograficzne z przełomu XIX i XX stulecia. Żeby na prawym brzegu Dunajca przywitać się z rzymskimi katolikami, izraelitami, a nawet „socynianami, zwanymi braćmi polskimi”, którzy wespół w zespół zmagają się z gorzkimi owocami pierwszej wojny światowej. Jeszcze huk artylerii nie przebrzmiał, jeszcze nie ustał szcęk bagnetów, a pola kornie znikły pod naporem zabłoconych buciorów, poorane okopami i lejami, stłamszone dziejową koniecznością. Jeśliście wzięli szpadel choćby, choćby czerwone taczki z wiersza Williama Carlosa Williamsa, i kawałek drelichu, wesprzyjcie górzan przy odbudowie kościoła, który ścierpiął straszliwą, straszliwą mękę.

↑ Widok zniszczonej w wyniku działań wojennych plebanii kościoła w Zbylitowskiej Górze, widoczny ówczesny proboszcz parafii, Roman Lepiarz, ok. 1915 roku. Ze zbiorów parafii kościoła w Zbylitowskiej Górze



Wesprzyjcie panie nobliwe, wesprzyjcie panowie dostojni, wesprzyj i ty, krzepka młodzieży, górczan odciążyc chyżo bieżcie. Kościół ustrzelony, a nic nikomu nie winien, jak ten indyk w niedzielę, jak bażanciątko zawieruszone wśród leniwych pól. Kościół strzaskany przez Austriaków, co dobrać się próbowali do Rosjan po drugiej stronie Dunajca, kościół XV wiek pamiętający i Mikołaja Zbylitowskiego, właściciela wsi i fundatora, kościół murowany i drewniany nieco też. Jedynie fragmenty nawy i prezbiterium uchowały się z ognia przeraźliwie samobieżnych haubic i moździerz. Nic więc dziwnego, że już w listopadzie 1917 roku pisma z proboszczówki ślano, by „kościół restaurować z zachowaniem części ocalałych”, bo „mury strzaskanego coraz bardziej spustoszonego kościoła psują się od deszczu i wichrów”. To wersja ładniejsza, bo sami widzicie łzami ócz, że z gruzów budowli zieje ordynarna pustka.

Nie wahajcie się ni milisekundy, załączcie kosztorys odbudowy, ustalcie go na sumę 129 tysięcy koron, czy coś koło tego. Kuria i inżynierowie z Namiestnictwa nie będą robić przeszkód, jak ich przyciśnięcie słuszną racją i krzepkim ramieniem w waciaku. Zresztą, czego tu się czepiać, skoro projekt podpisany ręką samego Ludwika Wojtyczki, tego, co w Krakowie poustawiał kamienice przy Rynku Głównym

i w okolicach, Zakład Witraży im. S. Żeleńskiego nakreślił, Dom Śląski, i dodajcie do tego domy dla profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, w tym słynną „trumnę” przy alei Słowackiego, a w Katowicach, o, nie ma żartów, w Katowicach zaplanował gmazysko Sejmu Śląskiego, najpotężniejszy w dziedzinie kubatury budynek międzywojnia w Polsce.

Nastawcie zatem cebule na wiosnę 1918 roku i przystąpcie do prac, żeby po ledwie kilku latach kościół witać narodzony na nowo, prężący się dumnie, na rzeczpospolitej skarpie, wśród rzeczpospolitych drzew i krzewów, nowością lśniący i bielą, i jednonawowym ceglanym szkieletem, jak wapienny ostaniec na skraju cywilizacji. No i jeśli macie trochę więcej czasu, to możecie poczekać parę dziesięcioleci na mistrza Jerzego Nowosielskiego, który w latach 1956–1957 przybędzie do kościoła w Zbylitowskiej Górze z projektem polichromii i z dziarskimi współpracownikami, żeby tchnąć artystycznego ducha we włości Ducha Świętego. Artystyczny duch





nie taki znów trwały, więc chrystologiczne cykle malowideł z prezbiterium zamalowano w latach dziewięćdziesiątych. Żeście nie protestowali, bo woleliście chrapać smacznie pod kołdrą, jeść prince polo, słuchać Moniki Borys na festiwalu w Opolu i drapać się po brzuchu, no to macie. I nie mówcie, że wasz głos nic nie znaczy, bo znaczy. A najlepiej w ogóle, jeśli ten głos współbrzmi z głosem mądrych księży, co wiedzą, że Nowosielskiego przemalowywać nie wypada, bo grzech przeciw Bogu, grzech przeciw Sztuce i przeciw zdrowemu rozsądkowi też grzech, i zamalowywać nie pozwalają. Za tych, co pozwolili, zmówcie zatem zdrowaśkę. Albo i dwie.

No to zważcie szczęście wasze, że co nieco się uratowało i macie okazję popodziwiać. Co nieco, panie, to mało powiedziane. Czternaście stacji Drogi Krzyżowej spoczywa na ścianach nawy. Polichromia, odnowiona w ostatnich dekadach, robi na was wielkie wrażenie, bo po Nowosielsku minimalistyczna i surowa, ale przecież w oszczędnym wnętrzu nagle sami czujecie się jak na pustyni, gdzie suchy wiatr wypycha wam piasek do ust. Bo wydmowy beż tła, stłumiony brąz krzyża i ostra czerwień szaty Jezusa w dolnej części

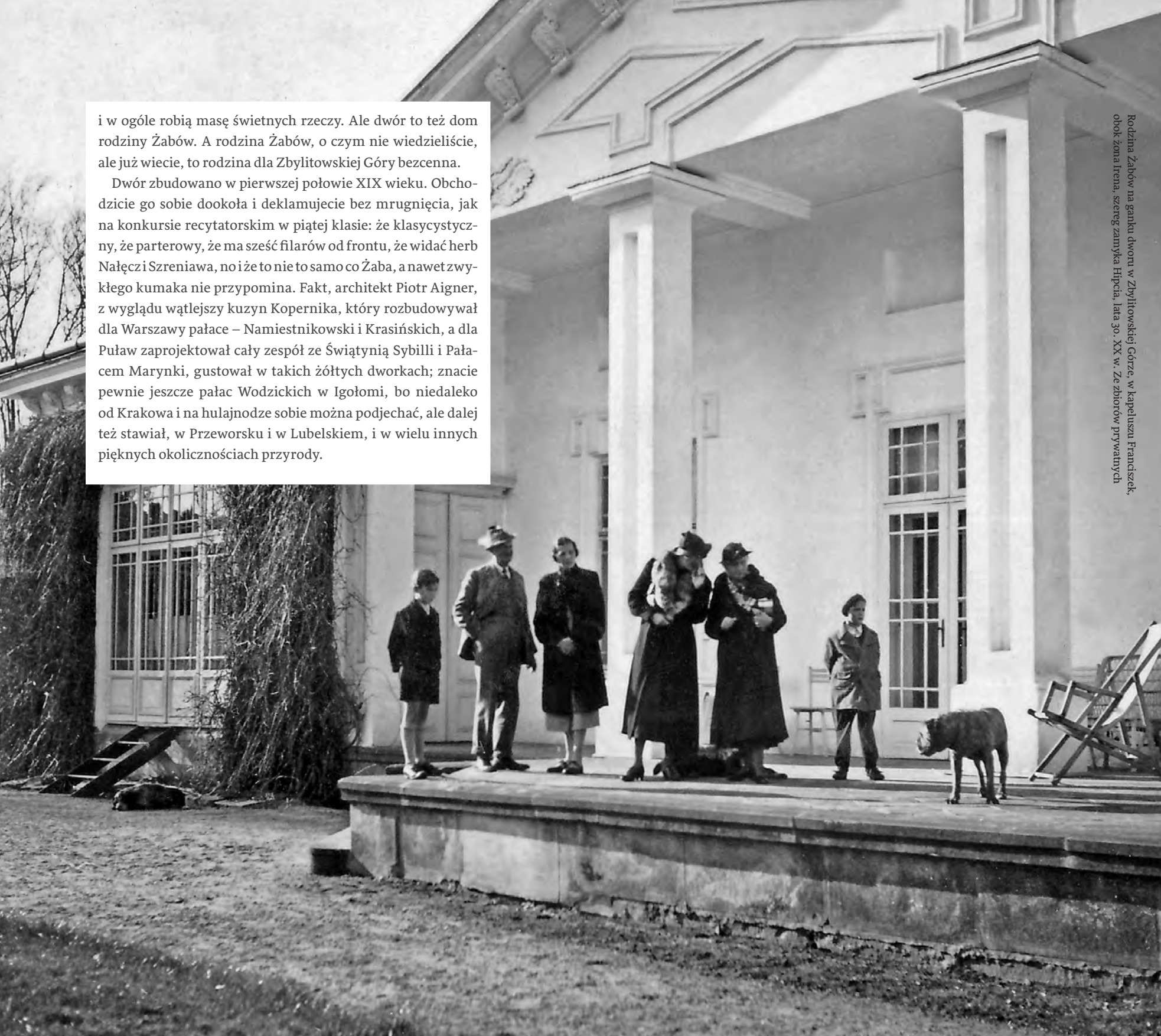


malowidła kontrastują z czystą bielą części górnej, że dech zapiera. Cappuccino w pasywnym nimbie, powiedzielibyście, ale byłby to zbyt łacny prześlizg nad skupionymi w najprostszych pozach postaciami o smutnych obliczach. Kolejne stacje nie są od siebie oddzielone, jeden obraz przechodzi płynnie w kolejny, bardziej płynnie nawet niż na filmowej taśmie, a wy cichniecie w sobie, bo majestat ascezy, bo tajemnica zbawienia, bo rudość, co wciąga i puścić nie chce.

Jak puści, bo w życiu tak jest, że kiedyś puszcza, choćbyście nie chcieli jedna z drugim, to w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku idźcie sobie na żółciaki do parafialnego parku, pocznijcie sobie pod sędziwą lipą, siadźcie na ławeczce i popatrzcież: hen, po drugiej stronie ulicy, macie park większy jeszcze, park prawdziwie parkowy, a pośrodku dwór, dwór najprawdziwszy, całkiem żółty i fajny, w którym pełno dzieciaków, koni i włochatych psisk. Zespół rezydencjonalny, bo tak powinno się mówić, ale nikt tak nie mówi prócz paru dobrodusznym nudziarzy, obejmuje jeszcze oranżerię i oficynę ze stajnią. Teraz rządzą tu małolaty ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, które grają w nogę, jeżdżą konno, biegają tam i z powrotem, fantazyjnie rysują i malują,

i w ogóle robią masę świetnych rzeczy. Ale dwór to też dom rodziny Żabów. A rodzina Żabów, o czym nie wiedzieliście, ale już wiecie, to rodzina dla Zbylitowskiej Góry bezcenna.

Dwór zbudowano w pierwszej połowie XIX wieku. Obchodźcie go sobie dookoła i deklamujecie bez mrugnienia, jak na konkursie recytatorskim w piątej klasie: że klasycystyczny, że parterowy, że ma sześć filarów od frontu, że widać herb Nałęcz i Szreniawa, no i że to nie to samo co Żaba, a nawet zwykłego kumaka nie przypomina. Fakt, architekt Piotr Aigner, z wyglądu wzięty kuzyn Kopernika, który rozbudowywał dla Warszawy pałace – Namiestnikowski i Krasińskich, a dla Puław zaprojektował cały zespół ze Świątynią Sybilli i Pałacem Marynki, gustował w takich żółtych dworach; znacie pewnie jeszcze pałac Wodzickich w Igołomi, bo niedaleko od Krakowa i na hulajnodze sobie można podjechać, ale dalej też stawiał, w Przeworsku i w Lubelskiem, i w wielu innych pięknych okolicznościach przyrody.



Rodzina Żabów na ganku dworu w Zbylitowskiej Górze, w kapeluszu Franciszek, obok żona Irena, szereg zamyka Hipcia, lata 30. XX w. Ze zbiorów prywatnych

Początkowo mieszkali tu Moszczeńscy, ale w 1863 roku dwór trafił w ręce rodu Żabów herbu Kościesza, którzy mocno wrosli w zbylitowską ziemię, zadomowili się w naddunajskim krajobrazie i dopiero wieńcząca drugą wojnę światową reforma rolna pozbawiła ich majątku. A byli to, wiecie, Żabowie nie byle jacy, Żabowie wywodzący się z Litwy, z tradycjami wojskowymi i patriotycznymi, z życiorysami barwniejszymi niż pióra ary. Siedźcie sobie zatem na ławce, rzućcie sójce orzeszków i zamieńcie się we wzrok, bo to naddunajeczka saga jak się patrzy.

Taki na przykład Napoleon Feliks Żaba (1803–1885), senior rodu, literat, podróżnik, wolnomularz, zdążył w swoim życiu być rektorem uniwersytetu w Buenos Aires, działać w Hotelu Lambert, redagować edynburskie pismo polonijne „The Polish Exile”, wydać parę tomów wierszy i opracowanie krytyczne dotyczące polskiej historii i literatury, tłumaczyć na polski Puszkina i propagować na całym świecie mnemotechniczną metodę nauczania. A w młodości publikował intrygujący periodyk „Chwila Spoczynku” prezentujący polską literaturę i paryską modę; było to jeszcze zanim poślubił szkocką szlachciankę Annę MacLeod. No i jeszcze miał równie słynnego brata, Augusta Kościesza-Żabę, dyplomatę i orientalistę, badacza kultury Kurdów. W 1881 roku Napoleon Feliks osiadł w Górze u syna Stanisława, pierwszego dziedzica Góry.

Stanisław, oficer armii brytyjskiej, bankowiec, zasłynął z pasji fotograficznej. Wyemigrował do Paryża, a następnie do Londynu, by rozwijać sieć studiów fotograficznych. Z małżeństwa z hrabianką Marią Moszczeńską miał pięcioro dzieci. Dwoje jest warte szczególnej uwagi: Franciszek Kenneth Żaba, prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie, a następnie bankier w Wiedniu; to on opiekował się majątkiem w Zbylitowskiej Górze.

Roman Żaba (1864–1945) służył najpierw w c.k. armii, potem w Wojsku Polskim otrzymał stopień generała dywizji, jest autorem barwnych i wcale kontrowersyjnych wspomnień ze służby podczas pierwszej wojny światowej oraz lat spędzonych w wolnej Polsce. Skoroście wszyscy



poprzekręcali cebule na rok 1918, to ważcie te słowa: „Wojsko, jak je rozumiem, ma sens tylko w monarchii, musi być kastą. Wojsko ludowe, demokratyczne jest wstrętną rzeczą, spada do rzemiosła; gdy tymczasem wojsko, jakie było w Austrii, a przede wszystkim w Niemczech, pojmowane z punktu widzenia idealnego, ma wspaniałe zadanie wychowawcze. Aby to dobrze przeprowadzić, oficer musi być całkiem z innej



Przed wycieczką.

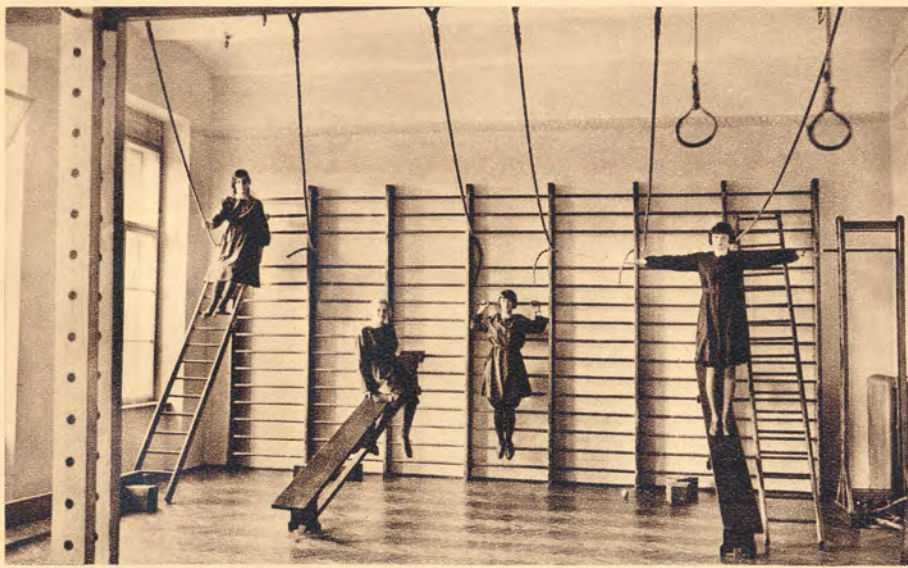
gliny jak szeregowiec. Musi być jak gentleman, a wtenczas żołnierz ma dla niego szacunek i wielkie przywiązanie. Dla oficerów pochodzących z tych samych sfer co on, a szczególnie dla oficerów, którzy byli podoficerami, szeregowy nigdy prawdziwego szacunku mieć nie będzie”. Polskich generałów i legionistów nazywał „towarzystwem, które się raczej nadaje do tragikomicznej operetki”, amatorami niezdolnymi do organizacji i administrowania wojskiem, „próżniakami, ignorantami i nicponiami”. Generał Roman Żaba mówi, jak jest!

Ech, tyleście się dowiedzieli o Romanie, że o Franciszku, owocu jego związku z Anną Oczosalską, wieloletnią prezeską Związku Sodalicii Inteligencji Żeńskiej w Polsce, nie będziecie już chcieli poczytać ni słówka, ni złamanej zgłoski nie skosztujecie, w zamian za to wybierzecie się na spacer po zbylitowskich okolicach domkowo-polnych i dotrzecie



Kuchnia Seminarjum.

↑ 7 Fotografie reklamujące szkołę dla dziewcząt prowadzoną przez siostry Najświętszego Serca Jezusa Sacré Cœur: dziewczęta jadą na wycieczkę, gotują, 1931. Leporello ze zbiorów Zgromadzenia Sacré Cœur



Sala Gimnastyczna.

Sala gimnastyczna pełna wysmukłych dziewcząt w pocie czoła wyprężających swe zakryte uniformami ciała przypomina wam o waszych brakach w dziedzinie fizycznej krzepy. Czym prędzej wracacie więc, w podskokach, slalomem, pokonując terenowe przeszkody, słuchając jednak paru zdań o dziarskim Franciszku Żabie, pseudonim „Kość” (1906–1982), ostatnim przedwojennym właścicielu Zbylitowskiej Góry. Franciszek, inżynier i oficer AK, po studiach na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego wrócił w rodzinne strony jako administrator gospodarstwa rolnego przy mościckich Zakładach Azotowych, a następnie komendant placówki AK w Mościcach. Podczas okupacji zorganizował ligę piłkarską dla pracowników zakładu, w której brali udział piłkarze Unii Tarnów działający również w ruchu oporu. Po wojnie, gdy Żabom odebrano i upaństwowiono majątek, Franciszek zajmował się badaniem i hodowlą buraków cukrowych oraz żyta, pracując w placówkach naukowych w Polsce i Brazylii.

Ech, ocieracie łezkę, saga dobiega końca; wprawdzie po latach rodzina Żabów odzyskała posiadłość, ale nie w tym rzecz: opowieści, które tak lubicie, muszą mieć swój smutny koniec. Nie ma zmiłuj. Parę kroków od kościoła i placu św. Floriana odnajdziecie malowniczy cmentarz, na którym stoi rodzinny grobowiec Żabów. Spoczywają

tu wszyscy Żabowie, wszystkie Żabiny i Żabianki. Imponujący pomnik nagrobny ma w sobie jednak coś skromnego, nostalgicznego, łączącego się w cichym szumie z nieodległymi bukami, klonami i sosnami. Cmentarz nie jest ogrodzony. Tuż za ostatnimi grobami, gdzie nad marnością losu ludzkiego płacze kamienna, omszała z udręki Matka Boska, rozciąga się małe poletko, a za nim mały dom z małym psem. Życie wkrada się bez przerwy w domenę tego, co, zdawałoby się, przeminęło, przemija i przemijać będzie. Nic z tego, wiewiórki i kuropatwy wiedzą swoje, przychodzą na cmentarz wprost z lasu Bucznia, gdzie w latach 1939–1944 wymordowano około dziesięciu tysięcy Polaków i polskich Żydów z tarnowskiego getta, w tym dzieci z sierocińca, które wpędzono do zbiorowego grobu i zabito granatem. Ustawiony po wojnie obelisk asystuje co jakiś czas przy odkrywaniu kolejnych mogił.

Chcielibyście wsi sielskiej, anielskiej. Takiej nie ma. Jest wieś cicha i oddychająca ziemią, przycupnięta przezornie na uboczu, ukrywająca mroczne sekrety i dająca psią radość ze zwisającymi uszami.



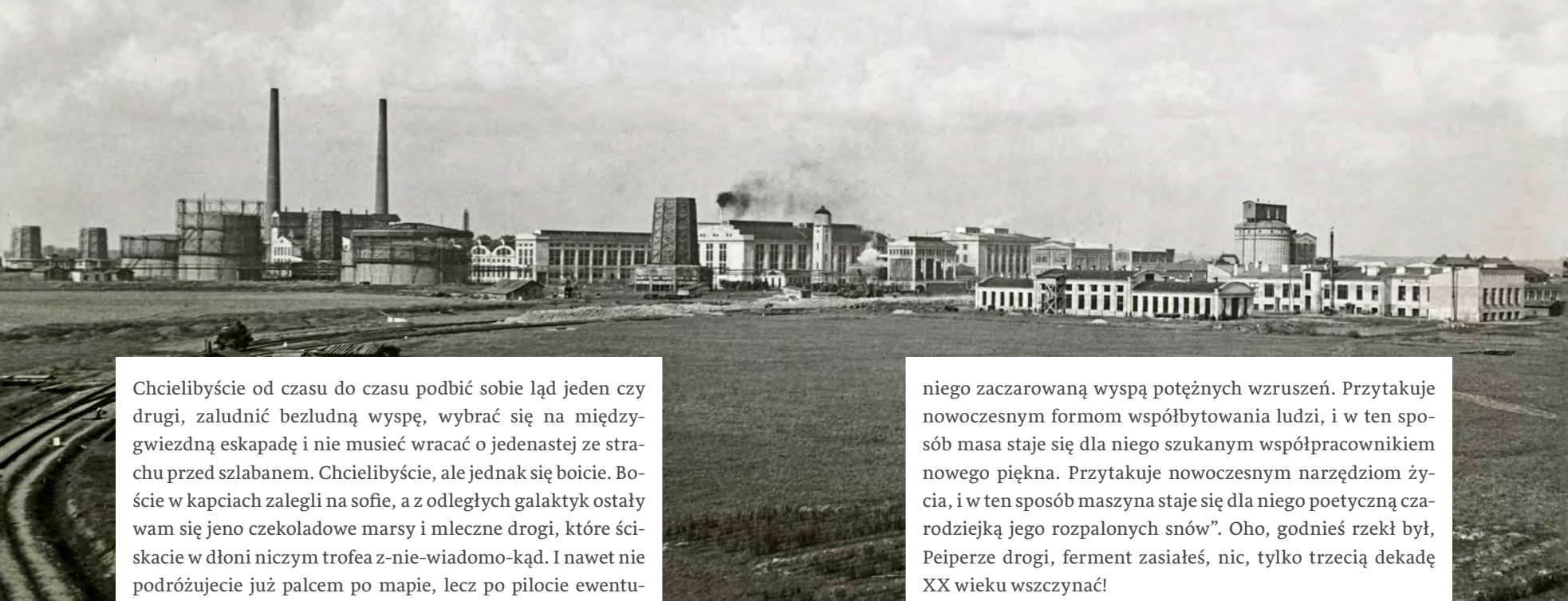
↑ Fotografia reklamująca szkołę dla dziewcząt prowadzoną przez siostry Najświętszego Serca Jezusa Sacré Cœur, 1931. Leporello ze zbiorów Zgromadzenia Sacré Cœur

→ Żona Franciszka Feliksa Żaby, Irena z Malczyków, przed dworem, lato 1934. Ze zbiorów prywatnych

Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach, wieże absorpcyjne kwasu azotowego, lata 30. XX wieku. NAC

MIASTO, MASA, MASZYNA

WILLA EUGENIUSZA KWIATKOWSKIEGO
W TARNOWIE-MOŚCICACH



Chcielibyście od czasu do czasu podbić sobie ląd jeden czy drugi, zaludnić bezludną wyspę, wybrać się na międzygwiazdną eskapadę i nie musieć wracać o jedenastej ze strachu przed szlabanem. Chcielibyście, ale jednak się boicie. Boście w kapciach zalegli na sofie, a z odległych galaktyk ostały wam się jeno czekoladowe marsy i mleczne drogi, które ścisłacie w dłoni niczym trofea z-nie-wiadomo-kąd. I nawet nie podróżujecie już palcem po mapie, lecz po pilocie ewentualnie, hulając po kanałach chyżo jak po cyber-Wenecji. Kosmiczne wizje dostępne wam tylko w fazie REM: oto uroki bycia zdobywcą flanelowej kołdry i supermiękkiej poduchy, co koi i raczy sukcesem nieważkiego konkwistadora. Niestety, jak głosi świecka tradycja, wielkie wizje to mają do siebie, że rzadko obracają się w rzeczywistość. Że skry krzeszą głównie na prezentacjach i wśród wielowymiarowych makiet. Że z dalekosiężnych planów rodzą się co najwyżej kalekosierniężne pawilony. I to z blachy falistej.

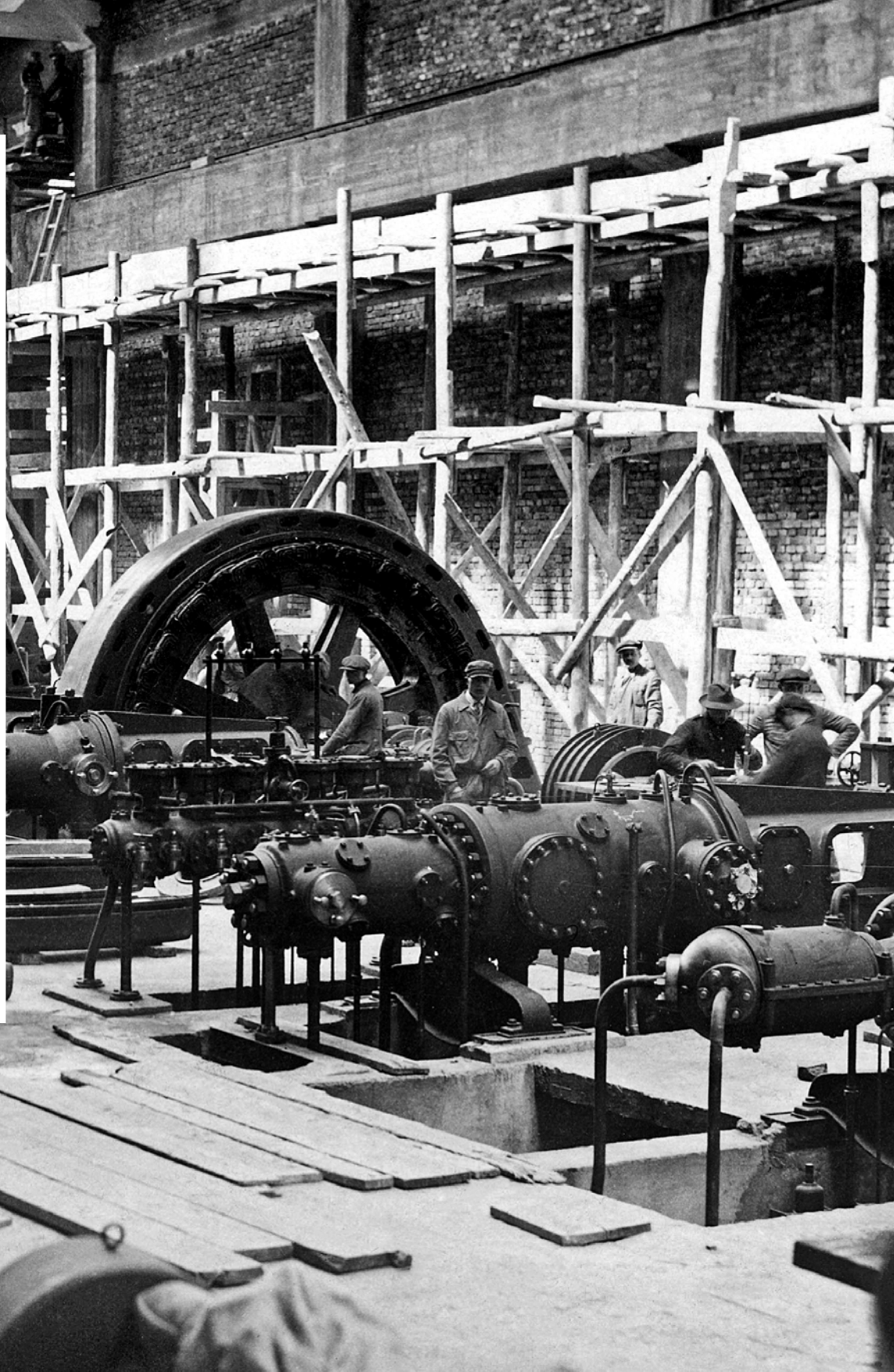
Twarde jednak z was sztuki: nie dajecie za wygraną, i elegancko! Coś by się postawiło, choćby i w szczerym polu, jakoś zdefiniowało nowy ład, który nadałby II Rzeczy-wszakże-popolitej blasku całkowicie niepospolitego, ba, wyznaczającego ambitne cele w awangardzie europejskości. Skoro wspomnieliście o awangardzie, to przecież macie niezgorszą podkładkę dla mocy kreacyjnych: w jednym ze swoich najważniejszych manifestów lider polskiej awangardy artystycznej i literackiej okresu międzywojnia Tadeusz Peiper, na kształt nowoczesnej Trójcy Świętej powołuje do życia triadę: „miasto, masa, maszyna”. W „epoce uścisku z terażniejszością – jak pisze – człowiek dzisiejszy przytakuje nowoczesnej scenie życia, i w ten sposób miasto staje się dla

niego zaczarowaną wyspą potężnych wzruszeń. Przytakuje nowoczesnym formom współbywania ludzi, i w ten sposób masa staje się dla niego szukany współpracownikiem nowego piękna. Przytakuje nowoczesnym narzędziom życia, i w ten sposób maszyna staje się dla niego poetyczną czarodziejką jego rozpalonych snów”. Oho, godnieś rzekł był, Peiperze drogi, ferment zasiałeś, nic, tylko trzecią dekadę XX wieku wszczynać!

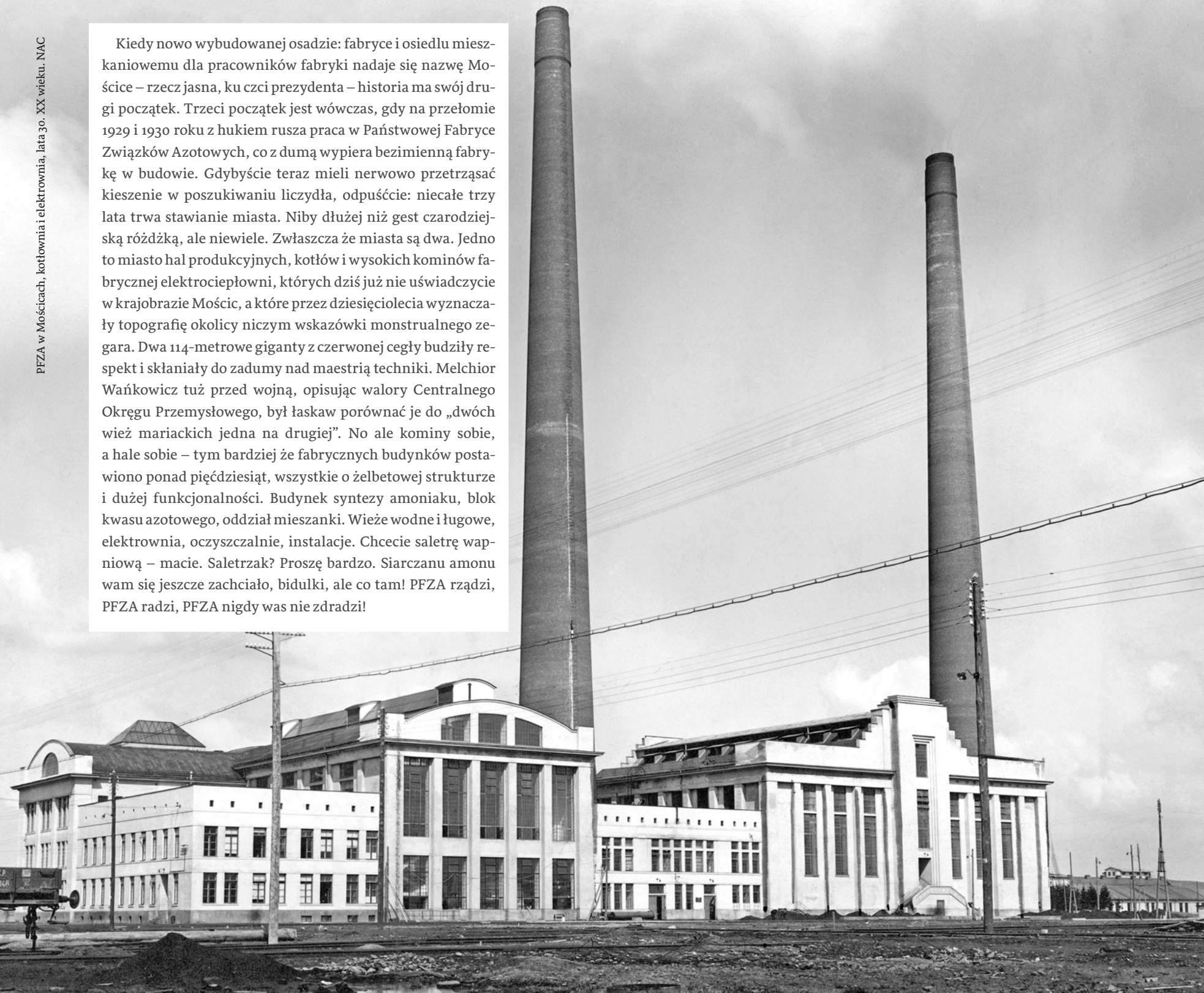
Postulaty zawarte w triadzie 3×M rozpalają wyobraźnię nie tylko czeredy nowatorsko usposobionych artystów, nie tylko paru krytyków, co zwykli wietrzyć kontrowersje między słowami, lecz i wielu polityków, kształconych, by roztaćcać ojczyźnie jak najszerze horyzonty. Sami przyznacie, że Peiperowskiemu wabikowi w stylu: „Miasto, masa, maszyna, i ich pochodne: szybkość, wynalazczość, nowość, potęga człowieka i epoki, zapasy z niebem, lot na stalowych skrzydłach, kąpiel w najświeższej wódce dnia, skok w teraz – stają się dla nas przedmiotem nieznanym uniesień”, niewiele można zarzucić. Brzmi tak, jak brzmieć powinna uroczysta odezwa do obywateli u progu porządnego boomu. Dla jednych zapasy z ekstraklasy, dla innych wódczane kąpiele, ludzkie rzeczy, powiecie, choć może i znajdują się wśród was tacy, co nad dyscypliny rodem z przydrożnego wyszynku przedłożą nieco bardziej elitarny – bo wymagania o wiele wyższe! – skok w teraz. Skok, panie, nie byle to jaki, żaden tam trójskok czy skok w dal, nie mówiąc o tym, że żadna tyka cię nie wspomůže. Tu trzeba niezłej techniki, by się wstrzelić z pomysłem. Jeśli się nie zawężmiecie, to czerwony autobus pomknie po ulicach bez was, no i bez skrupułów, radośnie rżąc wśród nowości w budowie. Tu trzeba zarazem dobrego

wybicia i dobrej strategii, i jeszcze wysoko ustawionej poprzeczki, żeby rywale przypadkiem nie chcieli się podczepić pod ewentualny – co tam ewentualny, nieuchronny przecież, nie bójmy się słów – sukces.

Ale zanim ten sukces się odrąbi, trzeba działać. Manifest jest, ale miasta nie ma, masa będzie, jak będzie miasto, a za maszynę na razie robi furmanka. Na mapie szkicuje urodny kwartał. To fabryka. I kwartałek urodniejszy jeszcze, choć wątlutki na pozór. To osiedle. Osiedle, ekhm, mówi się „miasto-ogród”, całkiem jak z Ebeneзера Howarda, brytyjskiego planisty i ojca założyciela idei łączącej dobra cywilizacyjne z dobrami natury, który prócz rozwijania talentów urbanistycznych propagował esperanto i może nawet, kto wie, podczas 8. Światowego Kongresu Esperanto w Krakowie spotkał się z Odonem Bujwidem. Tak czy inaczej osiedle ma tryskać polorem i polotem, żeby fabrycznym wyziewom wstyd było się tu pałętać. Na ołtarzu skoku w teraz rząd kładzie między innymi Świerczków i Dąbrówkę Infułąką, które mają zamienić się w azotowego kolosa. Historia nowego miasta zaczyna się 12 marca 1927 roku od podpisu Pierwszego Obywatela i zarazem Pierwszego Chemika RP Ignacego Mościckiego, kilka miesięcy później rozpoczyna się zaś budowa pod kierownictwem Tadeusza Zwisłockiego. Każde miejsce pod nowe miasto jest dobre, ale to, cztery kilometry od centrum powiatowego Tarnowa, dobrze skomunikowane z Krakowem, Lwowem i drogą na północ, w stronę stolicy, okazuje się najlepsze. Dunajec i Biała zapewnią wodę, profesorów i inżynierów ściągnie się z nobliwych akademii. Stawką są nawozy sztuczne, nie ma to tamto. Niepodległy kraj strofuje podskórnie: postęp potrzebuje przestrzeni. Maszyny potrzebują masy, masa – miasta.



Kiedy nowo wybudowanej osadzie: fabryce i osiedlu mieszkaniowemu dla pracowników fabryki nadaje się nazwę Mościce – rzecz jasna, ku czci prezydenta – historia ma swój drugi początek. Trzeci początek jest wówczas, gdy na przełomie 1929 i 1930 roku z hukiem rusza praca w Państwowej Fabryce Związków Azotowych, co z dumą wypiera bezimienną fabrykę w budowie. Gdybyście teraz mieli nerwowo przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu liczydła, odpuście: niecałe trzy lata trwa stawianie miasta. Niby dłużej niż gest czarodziej-ską różdżką, ale niewiele. Zwłaszcza że miasta są dwa. Jedno to miasto hal produkcyjnych, kotłów i wysokich kominów fabrycznej elektrociepłowni, których dziś już nie uświadczycie w krajobrazie Mościc, a które przez dziesięciolecia wyznaczały topografię okolicy niczym wskazówki monstrualnego zegara. Dwa 114-metrowe giganty z czerwonej cegły budziły respekt i skłaniały do zadumy nad maestrią techniki. Melchior Wańkowicz tuż przed wojną, opisując walory Centralnego Okręgu Przemysłowego, był łaskaw porównać je do „dwóch wież mariackich jedna na drugiej”. No ale kominy sobie, a hale sobie – tym bardziej że fabrycznych budynków postawiono ponad pięćdziesiąt, wszystkie o żelbetowej strukturze i dużej funkcjonalności. Budynek syntezy amoniaku, blok kwasu azotowego, oddział mieszkanki. Wieże wodne i ługowe, elektrownia, oczyszczalnie, instalacje. Chcecie saletrę wapniową – macie. Saletrzak? Proszę bardzo. Siarczaniu amonu wam się jeszcze zachciało, bidulki, ale co tam! PFZA rządzi, PFZA radzi, PFZA nigdy was nie zdradzi!





I maszyny! Bez maszyn, jak już wiecie, ani rusz. Jak na drożdżach rosły suwnice, przez pączkowanie rozmnażały się reaktory i elektrolizery, nieco mniej automatyczne niż dziś wagi atakowały ze wszystkich stron, urządzenia do absorpcji chlorowodoru i katalizatory wyskakiwały jak Filipowie z konopi. To ciągnące się kilometrami rurociągów miasto w niczym nie przypominało drewnianych chat i gumien z ubłoconymi prosiętami. Kto by o nich pamiętał, skoro „dokonało się wielkie dzieło państwowe. Na obszarze, który jeszcze dwa lata temu przedstawiał szmat pola, pokryty jednostajnie śnieżną powłoką, dziś pracuje olbrzymi kompleks budynków i instalacji fabrycznych, spiętrzonych i skomplikowanych, przecięty ulicami, siecią przewodów elektrycznych, parowych, wodnych, gazowych, kanalizacyjnych, wypełniony twórczą pracą ludzi i maszyn”, jak zaświadcza

↑ Eugeniusz Kwiatkowski, lata 30. XX wieku. NAC

→ Powitanie gości podczas otwarcia PFZA w Mościcach przez robotników.

Widoczni m.in. prezydent RP Ignacy Mościcki oraz minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski, styczeń 1930. NAC

u zarania 1930 roku nie kto inny jak Eugeniusz Kwiatkowski, minister przemysłu i handlu, który po śmierci szefa Zakładów Tadeusza Zwisłockiego obejmie nad nimi osobistą pieczę i w 1931 roku sprowadzi się do Mościc wraz z rodziną doglądać owego wielkiego dzieła. Miasto-fabryka pożre rolnicze krajobrazy i tylko łypać będzie azotowym okiem na drugie miasto.

Drugie miasto, oddzielone szeroką arterią od zabudowań fabryki, równie szybko zapomniało o swojej niedawnej przeszłości polno-pastwiskowej. Geometryczna siatka alej i uliczek, zadbane ogrody i parki, murowane wille dla inżynierów i urzędników, mniejsze domy dla wysoko wykwalifikowanego personelu i baraki dla robotników: oto Mościce końca trzeciej dekady XX wieku. Spacerując między wytwornymi rabatami na skwerach, łatwo można było zapomnieć o sąsiedztwie lewiatana o cielsku pełnym chemikaliów, gąszcz wysadzanych pysznymi drzewami przecnic o słodkich nazwach – od Jarzębinowej po Głogową – pochłaniał wasze myśli skuteczniej niż białe granulki siarczanu amonu. W tym mieście na maszyny nie było popytu; tu się rozsiała masa, która wychodziła naprzeciw „nowoczesnym formom współbywania”. Więc i przyfabryczny klub sportowy TS Mościce (przemianowany po wojnie na Zakładowy Klub Sportowy „Unia”), więc sklepy i miejsca rozrywki, więc szkoły i przychodnia. I spółdzielnie mieszkaniowe, które dyskontują sukcesy mościckiej utopii: w latach trzydziestych powstają kolejne osiedla po drugiej stronie torów kolejowych wiążących wschodnią Małopolskę z Krakowem. Małe domki z ogródkami uzupełniają wykwintny urok miasta-ogrodu





malowniczością rodem z Doliny Muminków. Wszyscy mówią sobie „dzień dobry”, są grzeczni i życzliwi, wśród drzew i krzewów odpoczywają po ciężkiej pracy. Prezydent Mościcki, częsty gość osiedla, porównał je w swej autobiografii do „wielkiego sanatorium”: „wszędzie panowała tu wzorowa czystość, a budynki tonęły wśród kwiecia [...]”. Odczuwało się tu potrzebę dostosowania piękna zewnętrznego do harmonii wewnętrznej zespołu pracującego”. Włóczykij snuł się po szachownicowych alejkach, Paszczak pracował w założonym przy PFZA gospodarstwie rolnym u boku pana Żaby ze Zbylitowskiej Góry, a brat Homka Tofta, który jadł ziemię, też szybko znalazł zatrudnienie na poletku doświadczalnym.

Perłą drugiego miasta była i jest centralnie umiejscowiona willa z zespołem parkowym. Postawiono ją jako dom dla dyrektora fabryki: z okien budynku widać bramę wjazdową i modernistyczny budynek administracyjny. Na początku lat trzydziestych widać było co najwyżej skromny piętrowy baraczek, w którym mieściły się biura. Ale wzroku nie można było oderwać. Wiecie, są momenty w życiu dyrektora – nawet takiego, co to dyrektorem jest z zawodu – że ma dość swojej hiperodpowiedzialnej roboty. Wolałby trzasnąć wszystkim

i wybyć na ekskursję gdzieś, gdzie delfiny przynoszą drinki z palemkami. Cóż. Na decyzje tego rodzaju trzeba coś było zaradzić. Wszak miasto to „zaczarowana wyspa potężnych wzruszeń”, nawet takie, w którym utopia równo przyciętych drzewek przysyłania żółte smużki wypływane z kotłów i komińców, a woń amoniaku maskowana jest aromatem tęczkowo-barwnych kwiatów.

Eugeniusz Kwiatkowski, który podczas swojego dyktowania rozgościł się w willi na tyle, że nazywacie ją teraz jego nazwiskiem, miał też do dyspozycji kort tenisowy, elegancie ścieżki parkowe wysypane białym kamieniem, kordegardę, w której mógł się schować podczas zabawy w chowanego, jeśli w chowanego się bawił z żoną i trojgiem dzieci, lub ze strachu przed Hatifnatami, którzy pojawiali się zawsze nie w porę. Mógł też schować się w konarach jednego z rosnących jak na drożdżach dębów lub między szpalerami cyprysików i ligustrów; sama willa bowiem – czy pałacyk, bo tej nazwy też się nie unika – nie ma zbyt wielu zakamarków, choć w jednopiętrowym budynku z poddaszem zadziwiająco dużo pomieszczeń większych i mniejszych, a gdzieś tam można się natknąć na oryginalne poręcze czy zdobienia. Peiper nie byłby chyba zachwycony neoklasycystycznymi naleciałościami na modernistycznej bryle willi zaprojektowanej przez Juliusza Kłosa. Ryzality z czterokolumnowymi portykami, gzymsiki i balustradki, drewniane okna i drzwi: chyba za dużo tego jak na gust awangardzisty, który prze ku nieznanemu.



↑ Willa Kwiatkowskiego jako Dom Chemika, lata 60. XX wieku.

Z Archiwum Grupy Azoty S.A.

→ Premier Józef Piłsudski podczas składania życzeń noworocznych prezydentowi Ignacemu Mościckiemu na Zamku Królewskim w Warszawie (czwarty od lewej Kwiatkowski), 1926–1930. NAC



Kwiatkowski awangardzistą był jednak w pracy, nie w estetyce. W salonie na parterze debatował i przyjmował gości, w gabinecie na piętrze kończył zaś swoje *opus magnum* o mocnym tytule *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, choć, jak sam zauważa, „w dość ciężkich warunkach obok obfitej pracy ściśle zawodowej”. Nie przeszkodziło to w celności spostrzeżeń: „Jeżeli chcemy żyć jako naród wolny i wolne społeczeństwo, jeżeli przyszłości naszej nie chcemy przygotowywać łańcuchów przeszłości, jeżeli chcemy zerwać z nędzą człowieka i nędzą państwa, to droga pozostała tylko jedna: kłaść na drugą szalę wagi polskie wartości, płynące z nas samych. Dysproporcje celów i środków zamienić na proporcję i równowagę”. Troska o spauperyzowane masy to jedno, innowacyjność, jak zasunęlibyście ze sznytem technokraty w nienagannym garniturze, to drugie, zew wolności, przebijający z każdego słowa, to trzecie i najsmutniejsze. Zwłaszcza że po wyprowadzce Kwiatkowskich i przeróbce willi na wytworny hotelik rozsiądzie się w nim niemiecki okupant, który do wolności będzie miał nieco luźniejszy stosunek.

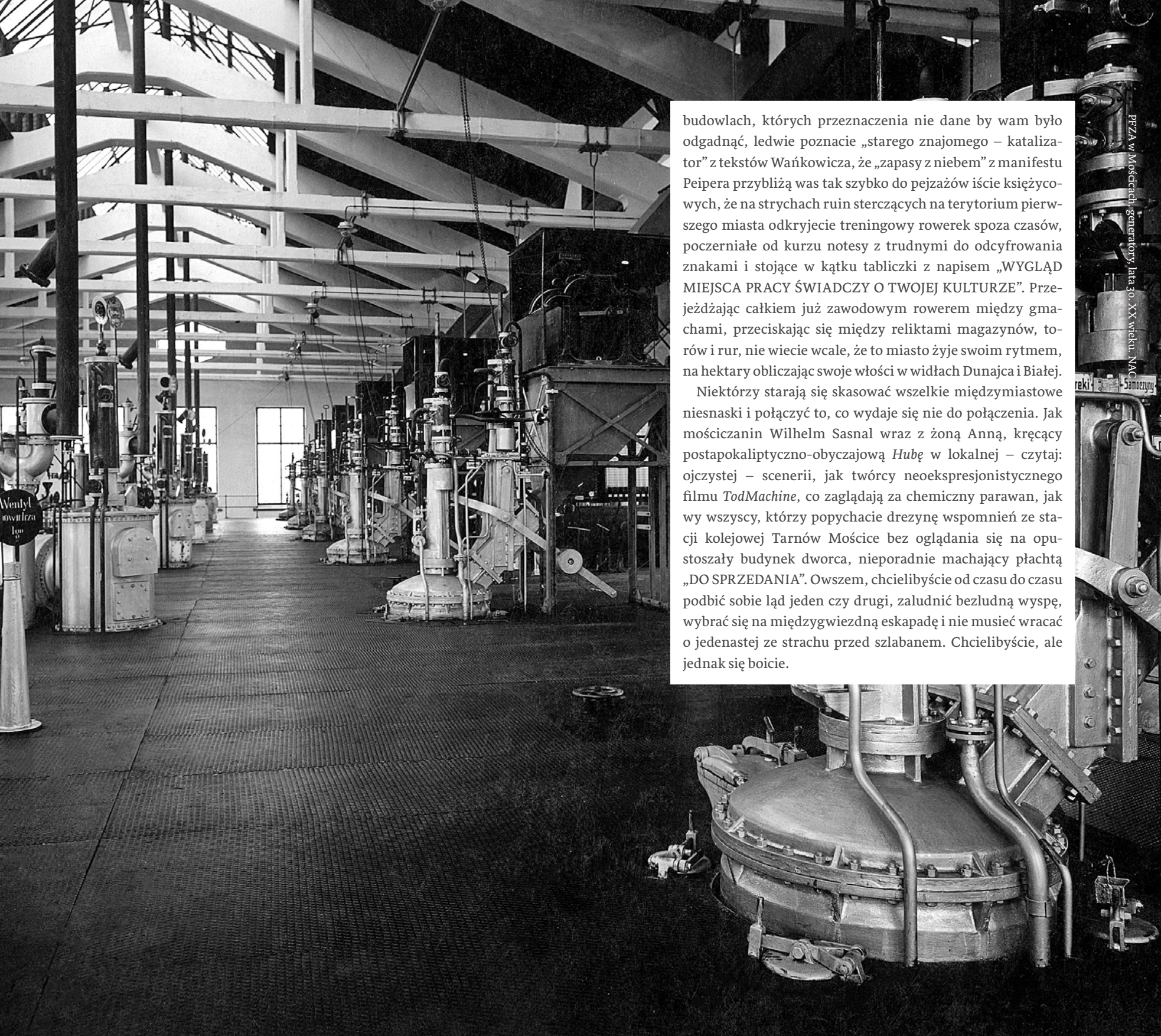
Pałacyk po wojnie będzie wiernym sługą harcówki, oddziałów PTTK i TKKF oraz mnóstwa innych podmiotów zachęconych gustowną architekturą i dookólną zielenią. Dziś, znów w azotowych barwach i pod godłem z jaskółką, coraz

↑ Minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski (w cylindrze) w nieustalonych okolicznościach, lata 30. XX wieku. NAC
→ Uprawy eksperymentalne z użyciem nawozów sztucznych, za folderem reklamowym: Zjednoczone Fabryki Związków Azotowych w Mościcach i w Chorzowie, lata 30. XX wieku. Biblioteka Narodowa, domena publiczna

śmielej zerka na pierwsze miasto, które kilku zachowanym halom z międzywojnia dobudowało nowoczesne towarzystwo. Peiperowska doktryna skoku w teraz okazuje się uniwersalna. Mościce ogrodowo-mieszkaniowe, które przedreptujecie tam i nazad, też nie przetrwały nienaruszone. Szeregi bloków, wygibasy męźnych żuźłowców i fantazyjne kształty Centrum Sztuki Mościce świadczą o niegasnącej potrzebie wynalazczości, o niezmiernych pokładach wyobraźni wśród planistów, ba, wizjonerów, mogłoby się wam wymysknąć. To już dzielnica Tarnowa, odległa i przyrośnięta do starszego brata jak Nikiszowiec i Giszowiec do Katowic, Szczakowa do Jaworzna czy Siersza do Trzebinia. Ale to miasto, które dobrze znacie, a jeśli nie znacie, to poznać w trymiga możecie.

Mościce fabryczno-azotowe są dla was tajemnicą. Zza powykręcanych płotów miga wam obietnica przygody, do której dostępu bronią wam strażnicy czyhający na wasze dowody i numery seryjne aparatów fotograficznych. I słusznie, bo kto wie, co byście skombinowali z taką saletrą? I wcale nie wiecie, że w hali turbin przyfabrycznej przedwojennej elektrociepłowni zachowały się elementy oryginalnego wyposażenia, że przedwieczne dymy buchają tam spod ziemi, że groźnie wyglądające aparaty nie schodzą ze zmiany niemal od stulecia, że w sterowni łpałyby na was mechanicznymi oczami stuletnie mierniki i zegary, że w starych halach, wydających ostatnie tchnienia, znaleźlibyście przedwojenne kafelki z sygnaturą w kształcie gwiazdy Dawida, że czulibyście się tu jak Stalker, Profesor i Pisarz w sekretnej Zonie z kadrów Tarkowskiego czy kart braci Strugackich, że w na pół opuszczonych





budowlach, których przeznaczenia nie dane by wam było odgadnąć, ledwie poznacie „starego znajomego – katalizator” z tekstów Wańkowicza, że „zapasy z niebem” z manifestu Peipera przybliżą was tak szybko do pejzażów istic księżycowych, że na strychach ruin sterczących na terytorium pierwszego miasta odkryjecie treningowy rowerek spoza czasów, pocerniałe od kurzu notesy z trudnymi do odcyfrowania znakami i stojące w kątku tabliczki z napisem „WYGLĄD MIEJSCA PRACY ŚWIADCZY O TWOJEJ KULTURZE”. Przejeżdżając całkiem już zawodowym rowerem między gmachami, przeciskając się między reliktnymi magazynów, torów i rur, nie wiecie wcale, że to miasto żyje swoim rytmem, na hektary obliczając swoje włości w widłach Dunajca i Białej.

Niektórzy starają się skasować wszelkie międzymiastowe niesnaski i połączyć to, co wydaje się nie do połączenia. Jak mościczanin Wilhelm Sasnal wraz z żoną Anną, kręcący postapokaliptyczno-obyczajową *Hubę* w lokalnej – czytaj: ojczystej – scenerii, jak twórcy neoekspresjonistycznego filmu *TodMachine*, co zaglądają za chemiczny parawan, jak wy wszyscy, którzy popychacie dreżynę wspomnień ze stacji kolejowej Tarnów Mościce bez oglądania się na opustoszały budynek dworca, nieporadnie machający płachtą „DO SPRZEDANIA”. Owszem, chcielibyście od czasu do czasu podbić sobie łód jeden czy drugi, zaludnić bezludną wyspę, wybrać się na międzygwiazdną eskapadę i nie musieć wracać o jedenastej ze strachu przed szlabanem. Chcielibyście, ale jednak się boicie.

Uroczystości z okazji dwudziestopięciolecia działalności politycznej Wincentego Witosa. Uczestnicy gromadzą się pośród zabudowań gospodarczych w Wierzchosławicach, 30 kwietnia 1933. NAC

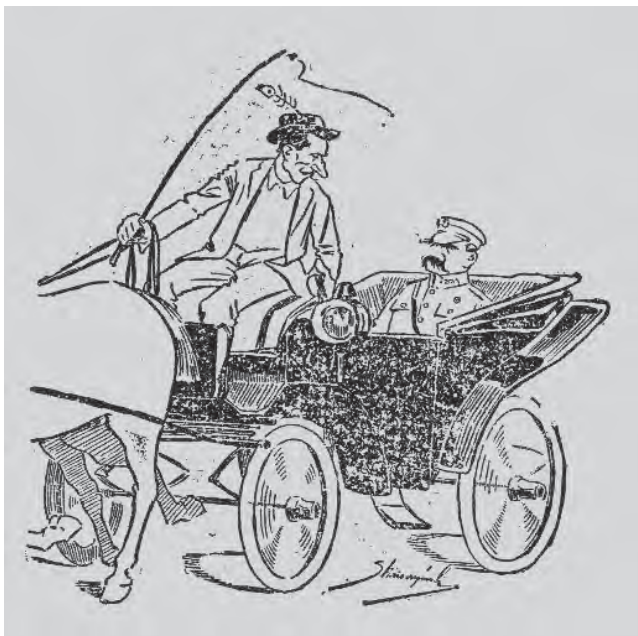
ŁUDOWY HETMAN
DOM RODZINNY I MUZEUM
WINCENTEGO WITOSA
W WIERZCHOSŁAWICACH

Chcielibyście kawałka porządnej historii. Takiej, że z chłopą król, że każdy buławę to nosi w plecaku, że z gumna na pałace. I już wam się świecą w oczach sejmowe sale, rauty, poncze i szable za pasem, najwyższe szczeble i tajemnice państwowe. Ale zapominacie o małej ojczyźnie, co wrasta pod paznokcie i szczoteczką żadną się jej nie wymyje. To jakby chip pachnący glebą i zziązanymi końmi. I nie zaszywacie go sobie, bo taki macie kaprys, tylko sam wam włazi pod skórę i czai się niczym Anioł Stróż, gotów do mądrej rady w czarną godzinę. Niektórzy zaś pamiętają o swojej ojcowiznie pamięcią słońca, delfina pamięcią, jak ten wójt z Wierchosławic, co to na posła wyszedł, ba, premierem był nawet i prezesem partii, a wójtowania się nie zrzekł, bo i dlaczegoż zrzec by się miał, skoro chwata?

Każdy by z was pragnął Wincentym Witosem побыć choć przez tydzień, przez miesiąc choć побыć, nie bójmy się słów, zbudować sobie rząd jeden, drugi, ho, ho, o trzecim nie wspominając. Architektka niepodległości nosić sztandar, za wizjonera uchodzić według Wyspiańskiego, dorobić się tytułów „Ojca Ojczyzny”, „mocarza ducha”, „symbolu wsi polskiej”, być „wielkim mężem stanu” koronowanym przez św. Jana Pawła II, załęgnać się w podręcznikach i na postumentach, popatronować sobie ulicom, szkołom i przedsiębiorstwom.



Za cukierkowo wam, za słodziutko, niczym pod kroplówką z kisielom? To macie też wariant hardcore'owy, dla zaawansowanych, co nad blaski życia przedkładają trudy: posiedźcie sobie długie noce ze szczurami wielkimi jak koty w twierdzy brzeskiej, łamcie sobie krzyże gromkimi oskarżeniami o majstrowanie zamachu stanu, uchodźcie do Czechosłowacji, której na mapie nie znajdziecie, więc tym gorzej dla was, a na deser sterczcie jak kołki pod karabinem gestapowców w okupowanym kraju. I w końcu, gdy demony wojny wrócą do butelki, zamiast świętować jej zaszpunktowanie, cierpiecie katusze śmiertelnej choroby na krakowskim Kazimierzu, u bonifratrów, co dziś mlekomatem kuszą i miodami od świętych pszczół.



↑ Posłowie PSL do austriackiej Rady Państwa. Od lewej: Antoni Bomba, Mikołaj Rej, Zygmunt Lasocki, Władysław Długosz, Wincenty Witos, Włodzimierz Tetmajer, Michał Jedynak, 1911. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach



Ha, rekonstrukcyjnych zbytków minie wam szał i na własnej skórze odczujecie jarzmo ziemi, co wprawdzie życie wam daje, życia wam nigdy nie skąpi, lecz i wzywa was niechybnie, o wiecznej warcie przypominając zawsze zbyt wcześnie i zbyt natrętnie. Niech to ponure memento będzie dla was przestrogą i na przekór wszystkiemu niech wstrzyknie w was galony entuzjazmu, oksefty pogody ducha, hektolitry sił vitalnych. Już to wskoczcie na dreżynę, a jeśli dreżyny nie macie, rower choć odkurczcie lub rykszę, nartorolek podługowate cielska wytoczcicie na jaw i prujcie wprost w tarnowskie klimaty, do Wierchosławic, gdzie piędź ziemi tak cenna jak zboże. Ale zanim translacji dokonacie o ten witosowski wektor, zahaczcie nogą w nogę ze sprzętem o Lasy Radłowskie, co cichaczem skradają się za Borzęcinem, skąd wszak wieszczę Sławomir Mrożek odjeżdżał do literackiej sławy, co ariergardę stanowią Radłowa z jego dworem, folwarkiem i kościołem o nieco gotyckim, nieco barokowym i nieco modernistycznym charakterze. Nie myślcie ani przez chwilę, że Lasy Radłowskie to pies, gaik byle jaki, bo grzechem przerażającym zgrzeszycie. Dajcie się wpuścić w maliny, w malinowe chruśniaki i łąki rajgrasowo-trzęślicowe, w siedliska borowe w wariacie sosnowo-dębowym, w wierzbowe zarośla, gdzie szafran spiski uśmiecha się sekretniej niż sama Gioconda. A jeśli podążycie za głosem sumienia i za głosem strumienia wśród starorzeczy Dunajca i Kisieliny, a nuż traficie ptasią piątkę w lotto: puszczyka uralskiego, rycyka, lelka, mucholówkę białoszyją tudzież bączka. A do szóstki dobierzecie sobie, dajmy na to, bobra, cierpliwie znoszącego waszą spoconą obecność nad którymś z ruczajów.

W lesie bywa cicho jak makiem zasiał, dróżki między kępami drzew i kilkoma uroczymi stawami, wijąc się niczym piskorze, wyprowadzają was na manowce metropolitalnych przyzwyczajęń. Furda skwerki i parczki miastowe, tu gramy o wielkiego szlema, wałęsamy się i wychodzić nie chcemy; ale przecież wójt Witos wzywa, marszczy wąsa, zew niepodległości nadciąga zza pni. Przedzieracie się przez ostępy i oto jesteście na Dwudniakach, w przysiółku gminnych Wierchosławic. To tu podówczas, przed stu laty, do czynów

↵ Karykatura – Witos powozi dorożkę z Marszałkiem, „Gazeta Poranna”, 8 lipca 1921. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

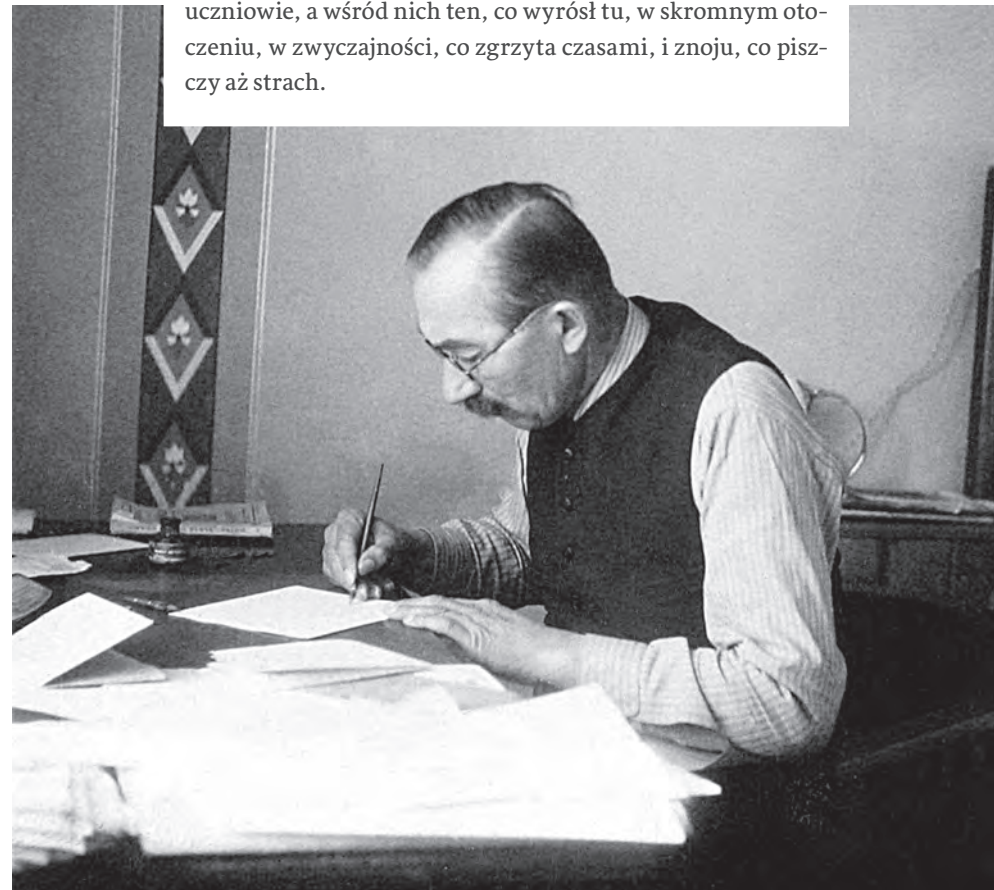


wielkich sposobił się przyszły ludowy hetman, Wincenty Witos, syn Wojciecha i Katarzyny ze Sroków. Rodzina była uboga, bo co to są „dwa morgi lichego gruntu”, o których mówi we wspomnieniach sam „genialny chłop”. Do tego trzeba było pięciolatкови pasać „ową jedyną ojcowską krowę”, zanim „jednej jesieni ojciec się uwziął, poreperował mi jakieś stare na tandecie kupione buty, kupił mi za parę szóstek mocno przechodzoną bluzę, przerobił ją na mnie i mimo zawołania matki, że krowa pozostanie bez opieki, polecił zaprowadzić mnie do szkoły”. W szkole wiejskiej ukończył zaledwie cztery klasy, później pracował z ojcem jako drwal. Ale nie były to lata stracone. Przeciwnie, lata płomiennych lektur i wychowania do patriotyzmu. Właśnie tam, na Dwudniakach, gdzie stawy i grzyby rosną w borze, skąd los zawezwie do służenia wielkiej, nowo odzyskanej ojczyźnie, by patosem podlać ten malowniczy świat małej ojczyzny u wrót 1918 roku.

↑ Witos w swojej stodole. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

→ Wincenty Witos odpowiada na listy chłopów z Polski. Rožňava, Czechosłowacja, 1937. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

Kiedy słuchacie, z jaką werwą opowiada przyszły trzykrotny premier rządu polskiego o zachwycie Rejem, Fryczem Modrzewskim, Żeromskim, Przybyszewskim, Tołstojem, Żołą, Mickiewiczem, Słowackim, to nawet „kilka książek zakazanych, przez francuskich przeważnie autorów napisanych” już nie robi takiego wrażenia. Dajcież dzisiaj dzieciakowi książkę do łapki – który wam się zachwyci Kochanowskim, który leżkę wątlą uрони nad Polem? A tu mocne postanowienie, bez jednej chwili zwątpienia: „Oświata to dla nas źródło złotodajne, to krynica życia”. Panowie, panie, oto prawdziwy znak hetmański: nie metalowa klamra z żurawim czy orlim piórem, nie mosiężna kula czy buńczuk, lecz oświata, nie ma to tamto. I na nic ci sztab cały hetmana godzien, na nic pisarz polny, na nic profos, pan od Temidy, do spółki z logistyką-brabanmajstrem, gdy „gorącej miłości swego kraju” nie wyniesiesz ze szkoły, gdy o ruchu planet i o wojnach greckich i rzymskich, i o położeniu Chin na mapie pojęcia mieć nie będziesz. I wy też nie snulibyście mglistych marzeń o niepodległej Polsce, gdyby nie mądrzy nauczyciele i mądrzy uczniowie, a wśród nich ten, co wyrósł tu, w skromnym otoczeniu, w zwyczajności, co zgrzyta czasami, i znoju, co piszczy aż strach.



Znad zalewu do Starego Domu macie rzut beretem, hm, nawet i piłką lekarską byście pewnie dorzucili. Stójcie i patrzcie: dwustuletnia chałupa kryta strzechą, izba przerobiona ze stajni, w sieni urzęduje krowa. Właściwie to nie urzęduje, bo teraz to oficjalny zabytek, nie można tak sobie w zabytku rządzić jak w obórcie, ale wystarczy, że założycie archaizujące okulary, powiedzmy jakieś prababcine binokle, i hop, raz-dwa wskakujecie z gracją szympansiątek w sam środek harmidru wytężonej pracy rolników z końca XIX wieku. I już wiecie, że drewnianą chatę Witosów, zbudowaną z poziomo ułożonych belek, oblepiono gliną i pobielono wapnem; choć pobielono to złe słowo: raczej pobłękitniono, uniebieszczono, zlazuirowano – wyjść macie do woli. A wejście jedno, w ścianie frontowej, co teraz po gruntownym remoncie, choć z użyciem wyłącznie tradycyjnych metod i narzędzi, jawi się jako drzwi do domku jednego ze Smerfów. W środku nie znajdziecie jednak ani soku ze smerfojagód, ani eliksiru długowieczności. Musicie zadowolić się murowanym piecem z okapem i studnią z żurawiem. Tylko uważajcie na jakiegoś Klakiera; sporo tu takich, pochowanych między elementami drewnianego wyposażenia – coś na kształt miniskansenu – i w ogrodzie oraz na zapiecku.

Strzecha gęsta jak broda Papy Smerfa, który w zamyśle miał być podobny do Karola Marksa. Witosowa fizjonomia nijak nie wpasowuje się w ten kanon męskiej urody: wąs, zązecz gładki, od krawata stronienie. Żeby coś więcej powęszyć w tym temacie, kierujecie się spacerem na wschód (dreżynę zostawiacie śpiącą na stacji w Bogumiłowicach). Paręset metrów dalej, tuż przy drodze łączącej centrum Wierzchosławic, no i dalej Wojnicz z jednej, tarnowskie Mościce z drugiej strony, z Radłowem i Żabnem, odnajdujecie Muzeum Wincentego Witosa. W rzeczywistości to zagroda obejmująca pięć budynków: dom mieszkalny, stajnię (budynek inwentarski), dwie stodoły i spichrz. Witos wybudował ją w latach 1905–1913 na ziemi z posagu swojej żony Katarzyny i gospodarował tu w przerwach od kariery galicyjsko-wiedeńskiego, a następnie warszawskiego męża stanu, liczonej łącznie z kilkuletnim pobytem w latach trzydziestych na przymusowej



emigracji na Morawach i Zaolziu, gdzie prócz kontestowania wyroku w procesie brzeskim i prowadzenia działań politycznych, z chęcią poddawał się szczodrośliwości górskiego powietrza i kuracjom ziołowym.

No i wójtował. Wójtował z powodzeniem przez ponad dwadzieścia lat i chyba mu się nie nudziło, skoro wybudował w Wierzchosławicach młyn i dom ludowy, zabrał się za meliorację i naprawę dróg, rozwinął, jak się patrzy, ruch spółdzielczy i kółka rolnicze. Jako lider nowo powołanej partii Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”, która od 1913 roku silnie zaznaczyła swoją obecność w galicyjskim Naczelnym Komitecie Narodowym, a następnie polskim sejmie, był postacią nietuzinkową i obiektem najwyższych pochwał płynących od rodu chłopskiego. W muzeum, które w Witosowym obejściu mieści się od 1971 roku, bez trudu traficie na sterty listów, pism, dokumentów i haftowanych chusteczek poświadczających to przywiązanie. Od polityków po zwykłych mieszkańców polskich wsi i miasteczek, od członków kół rolniczych po księży – wśród autorów panuje powszechna zgoda co do geniuszu „wielkiego przywódcy polskiego ludu” i wylewają się autentyczne emocje. Ale to nie wszystko. Kiedy spacerujecie sobie po budynku inwentarskim przerobionym na izbę muzealną i macie jak na dłoni bogate fotograficzne relacje z kolejnych etapów burzliwego życia Witosa, natychmiast uruchamia się prosty mechanizm skojarzeniowy, no, coś na kształt diabła z pudełka: oto przenosicie się raz jeszcze do zarania II RP, do kocich bruków, eleganckich etoli i stukających wniebogłosy dorożek. Wiele się zmieniło, gdzieś tam sobie to notujecie za pazuchą, oj, wiele, choć w parlamencie kłótni nie brakowało.

No tak, ale to w wielkim świecie. W mniejszym, tu, w Tarnowskim, w zagrodzie wójta, życie szło nieco innym torem. Drewniane budynki o konstrukcji zrębowej stoją jak stały sto lat temu, budziły się do suwerenności po to, by teraz być jej niezmiennym punktem odniesienia. Wchodzicie do domu, w którym mieszkała rodzina Witosów, choć jakoś się krygujecie, bo w końcu to tak, jakby zaglądnąć wodzowi pod pierzynę. Niby nic, ale nawet tych staruszkowych binokli nie



potrzeba. Wnętrza autentyczne, meble, sprzęty, kuchnia, piec chlebowy. Rzeczy osobiste. Znoszone buty i płaszcz. Pokój sypialny z tradycyjnie szerszym niż dłuższym łóżkiem. Jakies drobiazgi, obrazki i zdjęcia. Medale, order, krzyże. Historia domu, z jedyną córką Wincentego i Katarzyny Julią, która po śmierci mieszkała tu z rodziną, i jej córką, Joanną, kryje się w zakamarkach, pod ławami, w etażerkach i skrzyniach z ciężkimi wiekami. W skórzanej walizce z wygrawerowanymi inicjałami właściciela: W.W. (dla tych, co zmęczeni już i gorzej ciągną z kojarzeniem: nie chodzi o Wojciecha Waglewskiego ani o Wandę Wiłkomirską). W wyimkach ze starych gazet, których moc.

„Rysopis zbiegłego: wzrost wysoki, barczysty, duża twarz i głowa, grube rysy, brunet, uczesany z przedziałkiem na gładko, wąsy lekko podkręcone do góry, twarz golona, rzucający się w oczy duży nos, mocne łuki brwi, nosi się z chłopska, chodzi w butach, bez krawata, barwa oczu ciemna, przy czytaniu nosi okulary, pali papierosy” – głosi list gończy opublikowany po zakończonym w 1933 roku procesie brzeskim. Kombinujecie słusznie: trudno złapać – tak po prostu – kogoś, kto chodzi w butach. Sprawa przegrana. Nawet gdybyście chcieli dać znać prokuratorowi, co siedzi w Warszawie i czeka na jakąkolwiek wiadomość, to nic byście nie wskórali. Szukacie po domu, wychodzicie do rozległego ogrodu, przeganiacie z podwórza gawrony, sikorki spod stodoły, koło spichrza bawicie się w chowanego z kocurami i sztandarami ludowych partii i organizacji, ale Witosa ani widu, ani słychu.

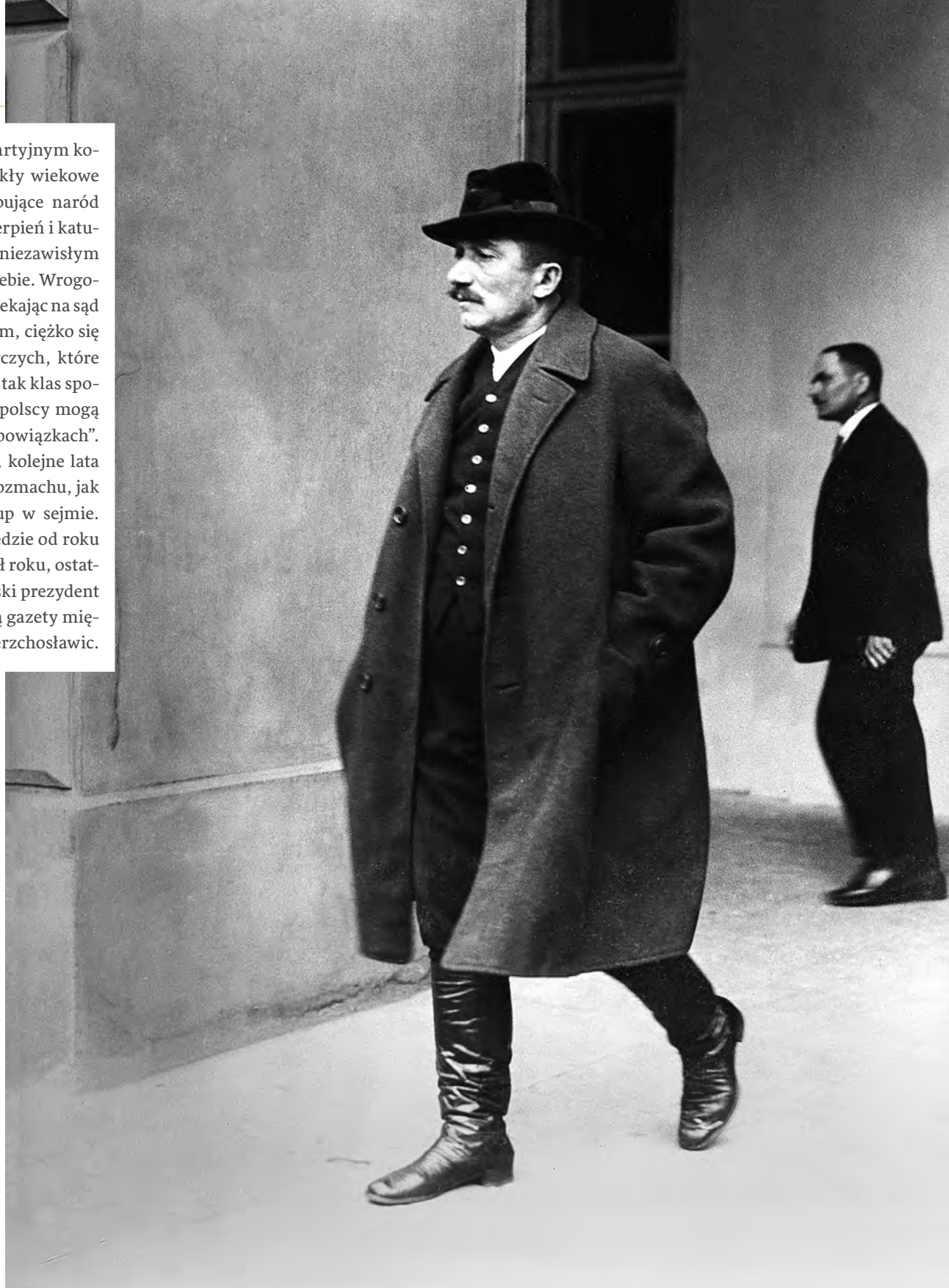


Nie ma Wincentego, stojącego na zdjęciu w za dużym garniturze, nie ma Katarzyny siedzącej w białej bluzce i dwóch sznurach koralu. Ganek, krzywy płot, pościel wietrzy się na sztachetach, pranie wywieszone między drzewami. Tego też nie ma. Ostała się lipa. Dziś majestatycznie góruje nad obejściem, na fotografiach sprzed stu lat jest co najwyżej w drzewnym przedszkolu. Teraz organizuje się tu pikniki. Siedzicie w jej cieniu, tak jak siedział wójt Wierchosławic, i wydobywacie z najdalszych zakątków pamięci, a może raczej lepicie sami, korzystając z dobrodziejstw prywatnej imaginacji, historię czterdziestoczterolatka, który 28 października 1918 roku staje na czele Polskiej Komisji Likwidacyjnej Galicji i Śląska Cieszyńskiego. Zadaniem PKL jest przygotowanie ziem galicyjskich do transferu z monarchii austro-węgierskiej do tworzącego się niepodległego państwa polskiego. To początek kariery politycznej Witosa.

↑ Witos z żoną Katarzyną przed domem, 1928. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach
 ← Premier Wincenty Witos na czele rządu, 11 maja 1926. NAC

Wkrótce, pod koniec roku, może obwieścić partyjnym kolegom, ale i przecież wszystkim rodakom: „Pękły wiekowe kajdany niewoli, zdjęte zostały łańcuchy krępujące naród polski przez długie lata, skończyło się pasmo cierpień i katuszy – jesteśmy wolni. Polska stała się państwem niezawisłym – naród polski stał się panem i gospodarzem u siebie. Wrogość nasi, państwa zaborcze, leżą zdruzgotani, czekając na sąd świata. Zbrodnia, dokonana na narodzie polskim, ciężko się na nich zemściła. Z upadkiem państw rozbiorczych, które były ostoją wstecznictwa, upadły też przywileje tak klas społecznych, jako też jednostek. Wolni obywatele polscy mogą być tylko równi – równi w prawach, równi w obowiązkach”. Nic bardziej trafnego. Choć, jak dobrze wiecie, kolejne lata pokażą zarówno jasną stronę cywilizacyjnego rozmachu, jak i rozdrobnienie interesów poszczególnych grup w sejmie. A także w rządzie, którego premierem Witos będzie od roku 1920 trzykrotnie, najpierw ponad rok, potem pół roku, ostatnim razem – pół tygodnia. „Pierwszy włościański prezydent ministrów”, jak nie bez krzty sarkazmu donoszą gazety międzywojnia, i w tym samym czasie wciąż wójt Wierzchosławic.

→ 4 marca 1928 roku Witos został po raz kolejny wybrany na posła na Sejm RP. Zarówno w Warszawie, jak i w Wierzchosławicach widuje się go nadal w charakterystycznym stroju, 1928. NAC



Ruszacie spod lipy, opuszczacie Witosówkę i Dwudniaki, by powędrować niespiesznie do centrum Wierchosławic, w okolice ruchliwego ronda ze sklepami, pawilonem Urzędu Gminy oraz ukrytym za drzewami Domem Ludowym im. Wincentego Witosa, przed którym tkwi orzeł zaczepiony pazurami w kamiennym obelisku. Zły, wygląda, jakby chciał wreszcie gdzieś odfrunąć, z wysokości popodziwiać odnowiony gmach Uniwersytetu Ludowego, w którym ma teraz siedzibę Centrum Kultury Wsi Polskiej z parkiem, boiskami i popiersiem „symbolu wsi polskiej” witającym gości. Albo cmentarz parafialny z kaplicą grobową rodziny Witosów, albo dziewiętnastowieczny kościół Matki Bożej Pocieszenia, albo cmentarz żołnierzy z pierwszej wojny światowej, albo parę drewnianych chat, które nie miały tyle szczęścia i nie mieszkał w nich żaden premier, żaden prezes, nawet wójt żaden. Ludowy hetman też, bo taki się zdarza w przyrodzie zbyt rzadko. Może ten orzeł zrobiłby kółko i przysiadł na jednej z chat. I zaskrzeczał: chcielibyście kawałka porządnej historii. Takiej, że z chłopą król, że każdy buławę to nosi w plecaku, że z gumna na pałace. I już wam się świecą w oczach sejmowe sale, rauty, poncze i szable za pasem, najwyższe szczeble i tajemnice państwowe. Ale zapominacie o małej ojczyźnie, co wrasta pod paznokcie i szczoteczką żadną się jej nie wymyje.



Wystawienie ciała zmarłego Wincentego Witosa w szpitalu oo. Bonifratów w Krakowie, 31 października 1945.
Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

Kawerna Kosocice, od lewej z łaską komendant Twierdzy Kraków Karl Kuk, dalej Eduardo von Albori, obok
wsparty na łasce arcyksiążę Leopold Salwator, 1914. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

Z BIDONEM
I MENAŻKĄ
FORT 50 ½ O BARYCZ
W KRAKOWIE

Pamięci mojej Babci Ireny Wojny

Chcielibyście, i przyznajcie to bez bicia, pokąpać się w bohaterskim słońcu, uszczknąć ociupinę z martyrologicznego sagana, zadać w barani róg niczym Mojżesz, by ogłosić oswobodzenie mieszkańcom całego świata, a przynajmniej świata podwawelskiego. Zanim jednak rozścielicie kobierce niepodległości, nim bielik – dla jednych majestatyczny orzeł, dla innych ledwie orłan padlinożerca – wymości się w patriotycznym gnieździe, ktoś musi przecież za was wylać hektolitry potu, ktoś pooddychać rękawami, ktoś odeprzeć wraz siły i złe myśli, które cisną was błotnistym kamaszem. Owszem, chcielibyście napompować się krakauersko-galicyską dumą i niczym niesławny balon spod ronda Grunwaldzkiego wzniesć ponad deweloperską kłocowiznę. Albo wcielić się w podkręcającego wása wiarusa, co się szrapnelom nie kłaniał, i romantycznym niuchem tabaki przyćmić szarugę codzienności. Miłe moje, moi mili: otóż wojna nie ma w sobie nic z romantyzmu, nic a nic. Bowiem, jak pisze noblistka Swietłana Aleksijewicz, „wojna jest przeżyciem zbyt intymnym. I tak samo nieskończonym, jak ludzkie życie”.

A przede wszystkim wojna nie ma w sobie nic z kobiety, by raz jeszcze sięgnąć do arcyksiążki Aleksijewicz. Choć same układają wam się wargi, by zanucić „wojenko, wojenko, cóżes ty za pani, że za tobą idą, że za tobą idą, chłopcy malowani?”, to częściej pobrzmiwa wam w szanach i transejach Bułat Okudźawa: „Ach, wojenko przeklęta – zgiełk boju, kurz, zamiast ślubów rozłąka i znój”. Wojenka, sami widzicie: chciałoby się ją jakoś ugłaskać, upuścić i zamienić w partię warcabów przy kominku, w drewnianej chałupce gdzieś tam pośrodku bukowych lasów, w filcowych bamboszach, z kubkiem gorącej herbaty earl grey. No dobrze: kiedy już odrzucicie na bok majaki i wyźmiecie śmierdzące onuce, waszym oczom ukażą się wypełnione krzykami żołnierzy, a gdzieś niedaleko i żołnierek, błotniste wadoły. I już po chwili ponure kruki i jastrzębie krążą nad ciałami niczym małopolskie sępy, towarzysząc carskiemu „walcowi parowemu” w marszu na Kraków początkiem grudnia 1914 roku. Żeby bronić Rynku, trzeba się poradzić matki, bez matki ani rusz.

→ Armata zdobytą pod Przemysłem w 1915 roku, eksponowana na krakowskim Rynku. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków





Matką najlepszą będzie wam twierdza, i to nie byle jaka. Twierdza Kraków to matka, przed którą pierzchają strachy i moce wstępują w żyły, mięśnie twardnieją w stalowym uścisku, a smakiem muszą obejść się wszyscy, którzy nie umyli rąk przed jedzeniem. Pół wieku trwało ufortyfikowanie Krakowa zgodnie z założeniami Austriaków, którzy zdobywają Wawel w połowie XIX stulecia i wkrótce potem przerabiają go na cytadelę. Wokół Wawelu rozrasta się miasto numerowanych kolejno fortów, bastionów i wież artyleryjskich, początkowo ograniczone do centralnych rejonów Krakowa i Podgórza, następnie połykające kolejne przysiółki, by zatrzymać się dopiero na otaczających je wzgórzach – od Biełan po Pękowice i Bibice, od Skotnik i Jugowic po Mogiłę. Ów zewnętrzny pierścień fortyfikacji, który w dość dobrej kondycji przetrwał po dziś dzień, opasuje was ciasnym węzłem troski, rozpędza w matczynych objęciach wszelkie niepokoje i gasi pragnienie wsparcia.

Tym razem zwracacie się ku grzbietowi broniącemu dostępu do miasta od południowego wschodu. Docieracie tu rowerami, bo to rzut beretem od Rynku, ledwie kilkanaście kilometrów, co to dla was, drodzy amatorzy małopolskiego krajoznawstwa. Choć pamiętajcie: stromizny tu niczym Marmolada w Dolomitach, jak przełęcze Stelvio czy Pordoi, więc nie raz, nie dwa wywalicie jęzory na kształt białych flag, grymasnie podjeżdżając z Piasków Wielkich ulicą Szczawnicką lub z Kurdwanowa Podgórkami czy Miarową. Da wam popalić bezwzględna pionowość, zwłaszcza w połączeniu z powybijanymi w quasi-asfalcie dziurskami. Oto prawdziwie ekstatyczna walka podjazdowa, oto suniecie tędy niczym zbrojna hałastrosz Rosjan na początku grudnia 1914 roku, lecz przecież wiarą w matkę-twierdzę rozkładacie swoich antenatów na łopatki; wy odeprzeć się tak gładko nie dacie i atakujecie wzniesienie z tour-de-france'owym animuszem Rafała Majki. I tylko od czasu do czasu, spomiędzy potliwych strug żłobiących wasze kolarskie główki, dochodzą do was podśmiechiwania dziecięcia zielonego, przypatrującego się waszym męczarniom na premii górskiej poza kategorią.

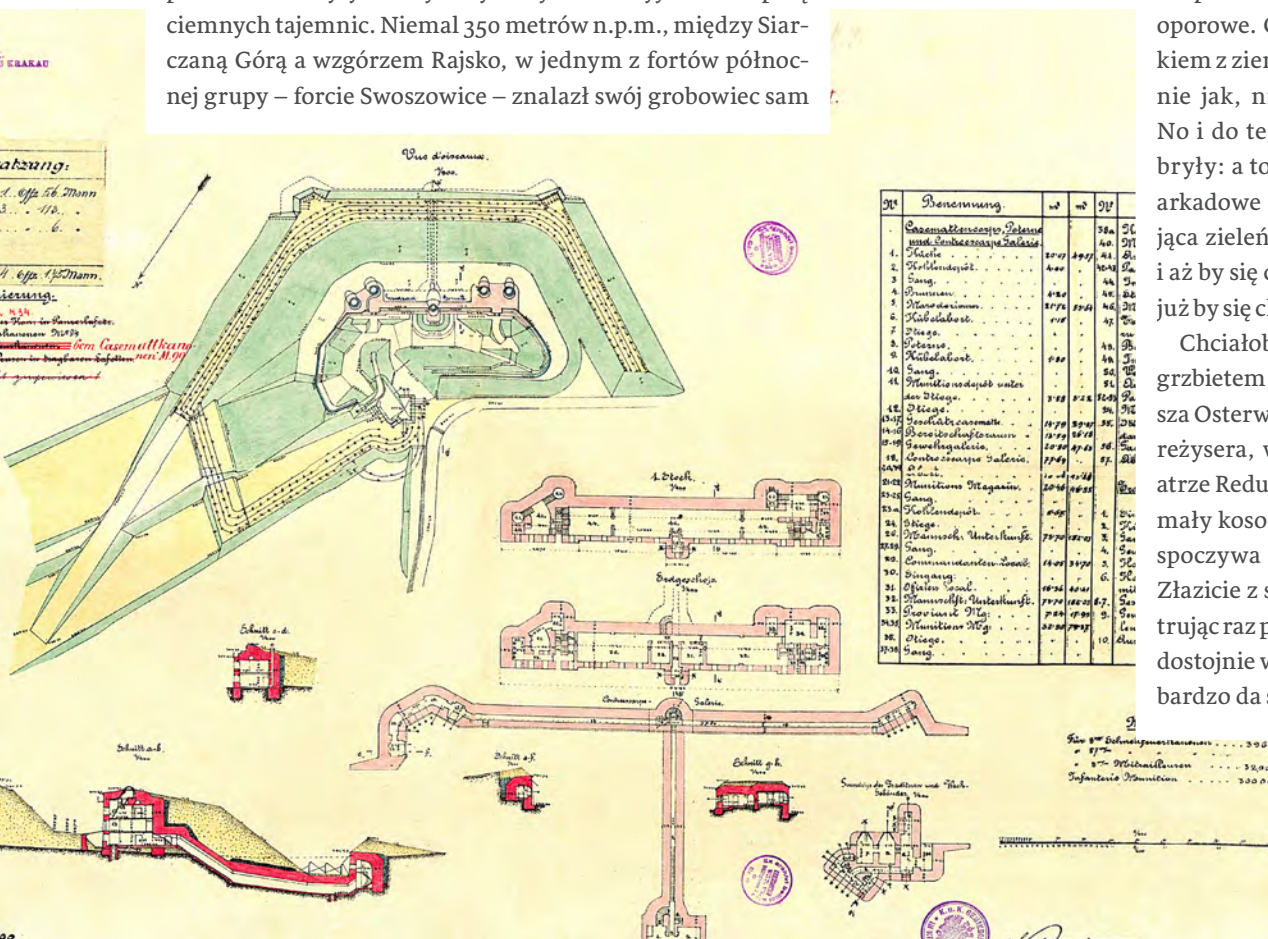
← Legendarne 16 Pułk Piechoty Obrony Krajowej „Kraków”, w lipcu 1914 roku większość żołnierzy pułku stanowili Polacy. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

W końcu, ledwie dysząc, meldujecie się na górze, gmera-
jąc w manierkach, czy co tam macie z sobą, w poszukiwaniu
choćby kropli wody. Spoglądacie z zazdrością na kruche dom-
ki z drewna, których nie zdołała zdmuchnąć wojenna zawie-
rucha, poukrywane wśród stromych stoków ponad hukiem
autostrady A4. Rajsko! No Rajsko, Rajsko, bo tak zwie się ten
skrawek metropolitalności, do Krakowa przyłączony dopiero
niecałe pół wieku temu, a niegdyś pokaźna wieś z hutą siar-
czaną, folwarkiem i przydrożną kapliczką oddychającymi
powietrzem cokolwiek bardziej rzeckim. Na kapliczce, obok
pana Jezusa, święty Walanty. Walanty jedyny w swoim ro-
dzaju, a nie żaden bezbarwny Walenty, strzeże szkoły pod-
stawowej, boiska strzeże i paru starych drzew też. A wszyst-
ko to w cieniu potężnego fortu artyleryjskiego Rajsko,
który nie dość, że spogląda z pobłażaniem na cały Kraków
– a ma na co, bo widok z Drogi Rokadowej rozciąga się najsze-
rzej, jak się da, od białeńskiego klasztoru ojców Kamedułów
po kanciaste bryły Nowej Huty – to jeszcze kryje w sobie parę
ciemnych tajemnic. Niemal 350 metrów n.p.m., między Siar-
czaną Górą a wzgórzem Rajsko, w jednym z fortów północ-
nej grupy – forcie Swoszowice – znalazł swój grobowiec sam

towarzysz Lenin; no, może nie ten sam, co żwawo wspinał się
na Zawrat, ale jego brat bliźniak z brązu, który zafrasowany
spacerował sobie w miejscu aleją Róż, póki III RP nie postano-
wiła zwolnić go z tego obowiązku. Wprawdzie po ekshumacji
nowohuckiego sobowtóra Włodzimierza Iljicza przewieziono
do parku osobliwości w szwedzkim mieście Värnamo, to jed-
nak matczyne łona fortów nadal czekają na nieszczęśników
nadgryzanych, niechby i spróchniałym, niechby i kiwają-
cym się, zębem czasu.

Rajską matkę o sercu miękkim, choć betonowym, zbudowa-
no w latach 1881–1884; był to jeden z pierwszych fortów ar-
tyleryjskich w założeniu Twierdzy Kraków. Z powierzchnią
ponad 2600 m² należał podówczas do największych budowli
tej klasy w całych Austro-Węgrzech. Pod projektem podpisał
się generał broni baron Daniel von Salis-Soglio, który wcze-
śniej był twórcą fortyfikacji Przemyśla i Lwowa. O wadze for-
tu świadczył fakt, że do wykonania koszar, schronów, potern
i kaponier użyto betonu, a z cegieł postawiono jedynie mury
oporowe. Oczywiście beton przykryto następnie szlafroc-
kiem z ziemi, żeby całość nie wyglądała równie monolitycz-
nie jak, nie przymierzając, jakieś stetryczałe blokowisko.
No i do tego architektoniczne zbytki ożywiające prostotę
bryły: a to boniowanie portalu bramy głównej, a to bielone
arkadowe łuki wypełnione ceglanym murem, a to masku-
jąca zielen. No, proszę, proszę, spacerujecie sobie tu i tam,
i aż by się chciało do takiej matuli przytknąć pałające liczko,
już by się chciało zaczerpnąć wody z korbowej studni miłości.

Chciałoby się, chciało, a tu popedałować trzeba naprzód,
grzbietem pagóra, prosto w stronę Kosocic, długą ulicą Juliu-
sza Osterwy, kogóż by innego, tego Osterwy aktora, Osterwy
reżysera, witającego nową Polskę w eksperymentalnym te-
atrze Reduta przy warszawskim Teatrze Rozmaitości. Mijacie
mały kosocicki cmentarzyk, pod którego wiekiustym okiem
spoczywa ukradkiem fort pancerny pomocniczy Kosocice.
Złazicie z siodełka i spacerujecie między nagrobkami, popa-
trując raz po raz na gigantyczne głowy królów z papier mäché,
dostojnie wietrzące się w wale przy fortowych koszarach. Nie
bardzo da się wejść, bo teren prywatny, a tak bez zaproszenia



← Plan fortu Barycz, ze zbioru wiedeńskiego Kriegsarchiv, kopia ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków



w matczyne progi – a matka tu z tych surowszych, co by was bagnetem rada była dźgać o poranku – nie wypada. Powinniście przeto wiedzieć, że to nie ten fort jest tematem waszym przewodnim, bo to przygrywka ledwie do innego fortu, fortu we właściwy sposób intrygującego, usytuowanego z dwieście metrów dalej na wschód, w samym sercu Kosocic, choć z nazwą odnoszącą się do sąsiedniej Baryczy, żeby się nam nie myliło z kuzynostwem.

Pod kosocickim kościołem popłakujecie cicho, bo sentymentalna gula wyrosła wam w gardłach błyskawicznie jak rzeżucha. Odwieczna linia autobusowa 107 mknie w stronę Baryczy i Soboniowic z gracją jaszczka. Oto wyrasta przed wami średniowieczna wieś, zgodnie z legendą założona przez niejakiego Kosa. Ten to mąż, uciekając w 1260 roku z Krakowa przed Tatarami, tak jak wy, choć zapewne nie na jednośladzie, wdrapał się na wzgórze. Tu czekał go los leśnego partyzanta. Wkrótce jednak znudziło mu się granie w warcaby z borsukami i zbudował osadę. Wszystko po to, byście się teraz mogli bez opamiętania zajadać wafelkami w czekoladzie i podziwiać łagodne zbocza Pogórza Wielickiego, z Lasem Kosocickim i wzgórzami Grabówek na pierwszym planie, a regularnymi kopami Beskidu Średniego przycupniętymi na horyzoncie. Gula nie zamierza niknąć: przypominacie sobie wszystkie młodzieńcze szarże endemicznymi zaułkami Koszutek i Orszańskiej, niekończące się popołudnia na ślizgawce w pobliskim gaiku, opowieści o montypythowskim pingwinie z elektrycznymi mackami, który w okamgnieniu rozwaliby całe bataliony nieprzyjaciół. Mimo

↑ Wieże pancerne fortu Barycz lub też fortu Swoszowice, co bardziej prawdopodobne, fot. J. Bogdanowski, projekt wykonany przez inżyniera Jana Stobieckiego, za: J. Bogdanowski, *Warownie i zielen Twierdzy Kraków*, Kraków 1979



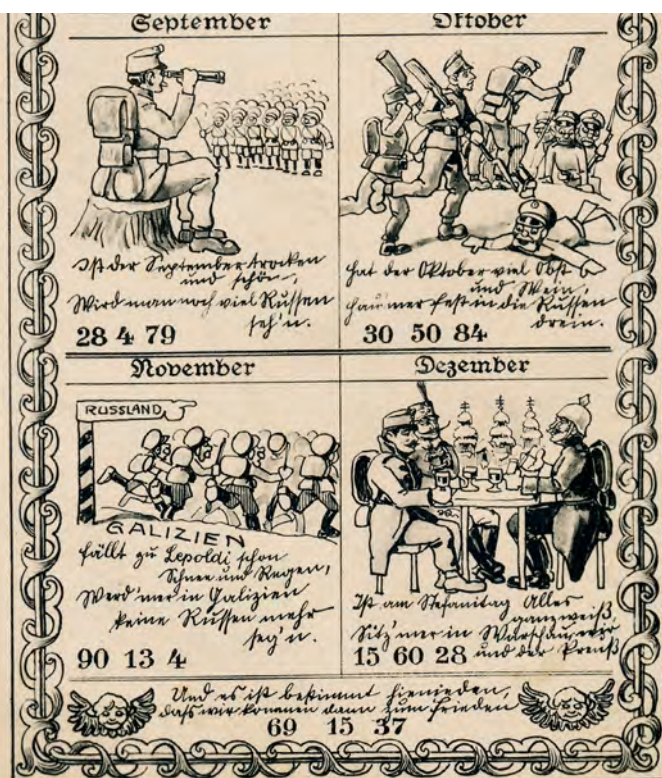
że Kosocice, podobnie jak Rajsco, wpisują się w administracyjne ramy Krakowa dopiero od niecałych pięciu dekad, ich rodowód jest znacznie bogatszy i sięga czasów nieomal rzymskich legionistów; no, może to przesada, ale niewielka. Trudno się zatem dziwić, że to właśnie tutaj, w potężnym forcie pancernym Barycz, czającym się przy obecnej ulicy generała Jana Hallera, zamieniacie się w militarnych speleologów i wnikacie pod podszewkę maminego fartuszka.

Z zewnątrz fartuszek, okolony szpalerem zieleniących się drzew-frędzli prezentuje się całkiem pociągająco, a co dopiero czeka was za pazuchą! Fort, zupełnie jak zachodni kuzyn z okolic cmentarza, został zaprojektowany w latach 1897–1899 przez Emila Gołogórskiego, generała i architekta o lwowskich korzeniach, który zasłużył się ojczyźnie jako twórca wielu fortów zewnętrznego pierścienia Twierdzy Kraków (prócz Kosocic jeszcze Pękowic, Bibic, Mistrzejowic i Lasówki); po 1918 roku wstąpił do Wojska Polskiego i otrzymał nominację na dowódcę Okręgu Generalnego „Kraków”, a następnie OG „Lwów”. Dokładnie sto lat później flanerujecie sobie po terenie fortu, podziwiając to, co pozostało z pierwotnego wyposażenia, w tym okazałe pancerne drzwi i okiennice, część panczerzy i wyposażenia wież pancernych i stanowisko wieży obserwacyjnej, nie wspominając o potężnych pancierzach tradytorów. Nie przetrwały niestety same wieże, zełomowane bezmyślnie podczas któregoś z remontów.

Na pierwszy rzut oka, nawet nieuzbrojonego w specjalistyczną aparaturę, widać, że fort wyróżnia się rozbudowanymi kaponierami skierowanymi na południowy wschód oraz

↑ Na pierwszym planie dwie wieże ciężkich haubic 15 cm Wz 1894 (do walki z bateriami oblężniczymi nieprzyjaciela na dalekim dystansie), w środku cztery mniejsze wieże moździerzy 15 cm Wz 1880, na dalszym planie wieża 8 cm armaty pancernej Wz 1894 firmy Škoda z Pilzna. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

bardzo głęboką i stromą suchą fosą, w której co prawda nie uświadczycie krokodyli i skrzypłoczy, lecz bez trudu można odnaleźć ślady lisów, kun i zdziczałych kotów. Porzuciwszy rower przy wejściu, zajmujecie stanowisko na przeciwstoku i obserwujecie działania rudych wiewiórek, którym najchętniej dalibyście czekolady z orzechami lub choćby kilka jajek. Obchodzicie teren fortu wokoło, radośnie węsząc za przyszkodami. Uważajcie tylko na tu i ówdzie przypominające o sobie zamaskowane stanowiska strzeleckie, transeje lub relikty kolejki polowej dostarczającej niegdyś wyposażenie i amunicję, no i na zbutwiałe liście, bo do fortu nie wypada wkraczać w poplamionych galotach. Wchodzicie przez pancerne drzwi do środka: labirynt surowych wnętrz kryje izby żołnierskie, oficerskie, izbę samego komendanta fortu, no i najważniejsze – izby bojowe wież artyleryjskich, by wytrwałych doprowadzić do tajemnego przejścia zwanego poterną lub potajnikiem – którym można przejść pod fosą do galerii strzeleckiej, przeciwstoku i dwóch kaponier rewersowych. A stamtąd to już moglibyście poprowadzić ostrzał, przynajmniej



wówczas, gdybyście mieli trochę odwagi, umiejętności, no i jako takiej broni. Nie macie, więc tylko snujecie się po hałdach zieleni otaczających budynek fortu i coraz mocniej zagłębiacie się w otchłań pierwszowojennego kalendarza.

Jak trwoga, to do mamy. 5 grudnia 1914 roku forty w Rajsku i Kosocicach wzięły na siebie główne uderzenie ognia artylerii rosyjskiej armii podczas tzw. drugiej bitwy o Kraków (pierwszą generał Conrad von Hötzendorf toczył w listopadzie, broniąc miasta od północy). Głównym celem Rosjan idących traktem lwowskim od Wieliczki było bowiem przełamanie umocnień Pogórza Wielickiego: gdyby się to udało, droga na Kraków byłaby otwarta jak panorama z Drogi Rokadowej. Rosjanie byli tak pewni swego, że w okupowanej Wieliczce zdążyli przygotować serię widokówek z „rosyjskiego Krakowa”, na których widniały wizerunki Sukiennic, wieży ratuszowej, bramy Floriańskiej czy Barbakanu. Pojawiali się też tu i ówdzie w okolicach Bieżanowa, porywając kury, paszę dla koni i inne wiktuały. No cóż, deczko nieroztropnie.

← Satyryczny kalendarz działań wojennych w ostatnim kwartale 1914 roku.

Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

↑ Szef Sztabu Generalnego, Conrad von Hötzendorf przy biurku, fot. Ch. Skolik, lipiec 1914. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

Pech chciał, że naprzeciw siebie mieli pełną załogę fortów, moc artylerii i matczyną twierdzę, co swoim dzieciątkom przychylił nieba. Rosjanom pozostał odwrót poza zasięg rażenia pocisków, które biły z mocą pięści Muhammada Alego. Do tego komendant Twierdzy Kraków generał Karl Kuk, rodem z Triestu, który po wojnie na dobre poświęcił się pisaniu – jest autorem rozpraw o *Fauście* Goethego czy o architekturze wiedeńskiego pałacu Hofburg – okazał się czujnym strategiem: system podziemnych schronów i zasadzek, z których atakowano cofających się Rosjan, zdał egzamin na piątkę z plusem, podobnie jak inne ofensywne decyzje o wypadach na przedpole fortyfikacji. Drugim czujnym strategiem do pary był generał Stanisław Haller, kuzyn Józefa Hallera, który w latach 1912–1915 był szefem sztabu Twierdzy Kraków, po wojnie awansował zaś nawet na szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i mimo że najprzedniejszych się orderów dosłużył, to ulicy w Krakowie – nie. Z takim Kukiem, z takim Hallerem to Kraków miał prawo czuć się bezpieczny. Nawet bitwa na bagnety w okolicach wzgórza Kaim, wiecie, po drugiej stronie szosy wielickiej, nic tu nie dała: może poza kamiennym obeliskiem dłuta Henryka Nitry, który do dzisiaj przypomina o wydarzeniach sprzed stu lat i stanowi atrakcyjny punkt widokowy, także dla okolicznych pieszków, chyżo wbiegających na cokół i z przejściem obserwujących pozycje nowej, acz nie zawsze pięknej, zabudowy. Krótki raport: trakt lwowski obroniony, „walec parowy”, jak zwykło się obrazowo określać rosyjską ofensywę na Kraków w 1914 roku – zatrzymany.

Objeżdżacie na bcyklu całe założenie fortu, podziwiając, w jak eleganckim stanie się dziś znajduje. A nie wszystkie forty mogły powitać wolność z równą werwą. Wprawdzie w 1918 roku Twierdza Kraków przeszła w zbrojne ręce Wojska Polskiego, niemniej część budynków rozebrano, część ograbiono, o część upominała się natura. Zamieniono je w magazyny i składy, zacierając ich bojową historię, tak jakby nowa Polska wcale nie potrzebowała materialnego świadectwa sukcesu. Ale południowo-wschodnie budowle Twierdzy mają się nieźle. Pamiętajcie zatem o tym, gdy sączycie beztrosko



lemoniadkę w którejś z kazimierskich lub okołorynkowych kawiarenek, że możecie to robić tylko dzięki bohaterstwu żołnierzy spod maminego fartuszka Twierdzy Kraków, którzy w Kosocicach i Rajsku pełnili swą wartę – włączmy patos – z należnym honorem i wielkim poświęceniem. Bo wiecie: niby wojna nie ma w sobie nic romantycznego, niby wywleka na wierzch to, co w ludziach najgorsze, ale prócz „rozłąki i znoju” od czasu do czasu przynosi też oddech wolności, który pozwolił waszym babciom na bycie pierwszymi kobietami w sąsiedztwie jeżdżącymi na nartach.

Kiedy czerpicie z tego oddechu wolności w rowerowym zjeździe na złamanie karku z Kosocic w stronę Piasków, wpadają wam do oczu muszki, o uszy objają się włochate trzmielce, zwinki czmychają jedna po drugiej pod kamienie. Kraków drobnych zaułków i obrośniętych ostem kapliczek znika z powiewem halnego, a przed oczami rośnie wam wielka betonowa pustynia, która nieco odstręcza plombowaniem każdego wolnego skrawka zieleni, to jasne, ale i zaleca się wieloma uroczymi zakamarkami, o których wiecie tylko wy i wasza pamięć. Dzięki ci zielony na moment zawiesza swój czarci chichot i od razu pęczniejecie może nie z dumy, może raczej z radości, choć przecież chcielibyście, i przyznajcie to bez bicia, pokąpać się w bohaterskim słońcu, uszczknąć ociupinę z martyrologicznego sagana, zadać w barani róg, niczym Mojżesz, by ogłosić oswobodzenie mieszkańcom całego świata, a przynajmniej świata podwawelskiego.

PODZIĘKOWANIA

Wolność krzepi. W słuszność tego stwierdzenia trudno nam chyba wątpić. Wystarczy, że podliczymy sobie lata zaborów, okupacji i podległości wobec najeźdźców, jakie musiała odcierpieć Polska, żebyśmy teraz wszyscy mieli „wolność” na drugie imię. Krzepi zwłaszcza wolność twórcza. Możliwość przeniesienia rozważań o tematyce historyczno-społecznej w sferę barwnej wyobraźni i języka, który nie boi się eksperymentów, to jedno z niezbywalnych osiągnięć awangardystów sprzed stu lat. Odważnych innowatorów i anarchistów kultury, co przejrzałym konwencjom i modom się nie kłaniali. Niestrudzonych poszukiwaczy intelektualnych przygód, z szufladami pełnymi pomysłów i z pasją podejmujących się wyzwania na pozór niemożliwych. A jednak: zew wolności daje człowiekowi takiego kopa, że najbardziej utopijne idee okazują się na wyciągnięcie ręki. Artystom, pisarzom i myślicielom awangardowym z pierwszych dekad minionego stulecia należą się podziękowania za to, że przetarli szlaki politykom, dowódcom wojskowym, działaczom społecznym i naukowcom, dyplomatom z pierwszych stron gazet i lokalnym bohaterom. A ci z kolei uwierzyli, że własnymi siłami da się zmienić świat.

Współczesnymi awangardystami są wszyscy, którzy czynią się do zachowania pamięci o początkach wolności, chuchając i dmuchając na najbardziej tajemnicze opowieści i najbardziej nietypowe obiekty. Spotykaliśmy ich na każdym kroku, pisząc książkę, gromadząc materiały i pracując nad ostatecznym kształtem tegorocznych Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego. Mamy nadzieję, że zechcą przyjąć nasze podziękowania za merytoryczne wsparcie, jakiego nam bez chwili wytchnienia udzielali, oraz za opiekę – nad zabytkami, których są gospodarzami i znawcami, ale także nad całym naszym zespołem podczas zwiedzania. Dzięki ich wskazówkom pole do gier wyobraźni zostało wypełnione niezbędnymi informacjami. Dzięki książkom, fotografiom i opowieściom Kazimierza Tomczyka oraz życzliwemu

przyjęciu przez prezesa Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Eksploracyjno-Historycznego „Geo-His” Zbigniewa Pomiernego przestały być dla nas obce nawet najciemniejsze zakamarki i nawet najbardziej magiczne legendy Raławic. Dzięki Stowarzyszeniu Za Piecem, Stanisławowi Garlickiemu i jego rodzinie oraz Małgorzacie Zbroszczyk ujrzelśmy Wapienik takim, jaki był przed stu laty, i takim, jaki jest dzisiaj, bez końca wędrując po mapach, zdjęciach i dokumentach, a także po sekretnych korytarzach pieca. Dzięki pracownikom Grupy Azoty S.A. mogliśmy zajrzeć pod chemiczną podszewkę Mościc, zarówno bowiem Monika Mikon, kierownik działu komunikacji wewnętrznej w departamencie korporacyjnym komunikacji, która umożliwiła nam zwiedzanie Zakładów Azotowych, jak i Robert Lichwała, wiedzący o Mościcach niemal wszystko, pomogli nam w odszukaniu początków działalności fabryki; a dodajmy jeszcze opiekę niezawodnej Barbary Bułdys z Muzeum Okręgowego w Tarnowie, oprowadzającej nas z pasją historyka sztuki po willi Eugeniusza Kwiatkowskiego. Dzięki Januszowi Skickiemu, kierownikowi Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach, oddziału Muzeum Okręgowego w Tarnowie, jego serdecznej gościnności oraz udostępnionym nam materiałom merytorycznym i fotograficznym, Ludowy Hetman stał się człowiekiem z krwi i kości, a jego historia zapłonęła nowym blaskiem. Dzięki księdzu proboszczowi Józefowi Kaczmarowskiemu, przyjmującemu nas mile w parafii w Zbylitowskiej Górze, oraz państwu Beacie i Marcinowi Leśniakom, służącym fotografiami i dokumentami źródłowymi, mogliśmy się przekonać, że wysiłki, by pielęgnować historyczną i artystyczną spuściznę tego miejsca, nie idą na marne. Dzięki Magdalenie Bożyk i Markowi Tomali, którzy otworzyli przed nami wrota Muzeum Odon Bujwida i zapewnili wszelką pomoc w aranżowaniu wystawy, postaci Kazimierzy i Odon Bujwidów wyłoniły się z zakurzonych teczek, gablot i szaf, wyrastając na bohaterów nie tylko początku XX wieku, lecz i patronów dzisiejszej aktywności społecznej i naukowej. Dzięki współpracy organizacyjnej i cennym radom pracowników Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii

Nauk, a szczególnie dzięki dr hab. Annie Stojalowskiej z Zakładu Fitochemii, która pomogła nam w dotarciu do cennych materiałów, dworek Rutkowskich przestał być tylko jednym z wielu dworów i zmienił się w dom pełen skarbów. Dzięki nieocenionym Januszowi Leśniewiczowi i Antoniemu Kowalikowi z Fundacji Aktywnej Ochrony Zabytków Techniki i Dziedzictwa Kulturowego Janus mogliśmy ujrzeć kosocicki fort w pełnej krasie i zapoznać się z jego losami podczas pierwszej wojny światowej. Dzięki zaangażowaniu pracowników Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie – w tym pomocy pani kierownik Działu Informacji i Promocji Barbary Jezierskiej, której zawdzięczamy opracowania źródłowe i cenne rady, kierownika Muzeum Łukasza Białego i zespołu Muzeum: Moniki Błaszczak, Agnieszki Olszewskiej i Karoliny Szmuc, będących naszymi przewodnikami po podziemnych i naziemnych ustroniach uczelni, oraz Remigiusza Molendy z Muzeum Geologicznego AGH, z pieczołowitością wskazującego nam atrakcje gmachu głównego – otrzymaliśmy pełen wgląd w najistotniejsze fakty związane z wczoraj i dziś najlepszej akademii technicznej w kraju.

Dzięki wszystkim wyżej wymienionym możecie zarówno Wy, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, jak i Wy, miłe Uczestniczki i mili Uczestnicy Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, bez obaw puścić wodze fantazji i zanurzyć się w świat eleganckich pałaców i dworów, okazałych fortów, urokliwych kościołów, monumentalnych gmachów, mieszczkańskich kamienic i drewnianych chat, a nawet sekretnych pieców. Zarówno ruszając na spacer mocą waszych mięśni, jak i wędrując żwawą lekturą po kolejnych tekstach, powinniście jednak pamiętać, że najważniejszych odkryć dokonuje się samemu, po cichu, ukradkiem, od niechcenia. Żeby historie wszystkich dziewięciu miejsc opisanych w książce stały się w pełni waszymi historiami, musicie napisać je sami, wychodząc od krzepiącej świadomości, że wolno wam to zrobić.

Wolność krzepi!

Jakub Kornhauser, Kraków 2018

BIBLIOGRAFIA

Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej im. S. Staszica w Krakowie

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Białas S., Szybiński A., *Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie w latach 1919–1959. Kronika*, t. I, Kraków 1959.

Dziewięć dekad Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie 1919–2009 / Nine Decades of the AGH University of Science and Technology in Cracow 1919–2009, red. B. Bąk [et al.], Kraków 2009.

Goetel W., *Pod znakiem optymizmu. Wspomnienia*, Kraków 1979.

Siwik A., Artymiak R., Kwieć J., „Wysoki sejm raczy uchwalić...”.

Starania o założenie wyższej szkoły górnictwa i hutnictwa w Krakowie w latach 1861–1914. Dokumenty, Kraków 2013.

Wójcik Z., Walery Goetel. *Rektor trudnych czasów Akademii Górniczo-Hutniczej*, Kraków 2009.

Dworek Rutkowskich w Krakowie-Bronowicach

WESELE PRZY SMĘTNEJ

1954–2004. *50 lat Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie*, red. Barbara Przewłocka, Kraków 2004.

Sylwetki chirurgów polskich, red. J. Bogusz, W. Rudowski, Wrocław 1982.

Śliwińska M., *Wyspiański. Dopóki starczy życia*, Warszawa 2017.

Wyspiański S., *Wesele*, Kraków 1901.

Kościół pw. Narodzenia NMP w Raclawicach k. Olkusza

KOMU BIJĄ DZWONY

Dzieje Olkusza i regionu olkuskiego, red. F. Kiryk, R. Kołodziejczyk, Kraków 1978.

Tomczyk K., *Dzieje wsi i parafii Raclawice od średniowiecza do czasów współczesnych*, Kraków 2000.

Tomczyk K., *Kościół parafialny pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Raclawicach, Raclawice* 2014.

Piec kręgowy w Płazie**NA ZAPIECKU**

Garlicki S., *Wapiennik. Krótka historia osiedla*, Płaza 2017.

Herbert Z., *Hermes, pies i gwiazda*, Warszawa 1957.

Wapiennik w Płazie, „Czasopismo Towarzystwa Technicznego Krakowskiego” 1892, nr 4, wkładka nienumerowana.

Kamienica Bujwidów w Krakowie**BAKCYLE POSTĘPU**

Bujwid O., *O zarazku cholery. Treściwe sposoby rozpoznawania, dezynfekcji i zapobiegania cholerze*, Warszawa 1892.

Bujwid O., *Osamotnienie. Pamiętniki z lat 1932–1942*, Kraków 1990.

Bujwidowa K., *U źródeł kwestii kobiecej*, Warszawa 1910.

Dormus K., *Kazimiera Bujwidowa (1867–1932). Życie i działalność społeczno-oświatowa*, Kraków 2002.

Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i dwór Żabów w Zbylitowskiej Górze**NADDUNAJECKA SAGA**

Bałda W., *Generał, który nie lubił legionistów*, Interia, Nowa Historia, 21 czerwca 2014: <http://nowahistoria.interia.pl/ii-rzeczpospolita/news-general-ktory-nie-lubil-legionistow,nId,1446154> (dostęp: luty 2018).

Bielawski S., *Klasztor Sióstr Sacré Cœur w Zbylitowskiej Górze: matki, hrabianki, ślepawy Michalik, nieokiełznana siostra Irena*, Tarnów 2014.

Czerni K., *Nietoperz w świątyni. Biografia Jerzego Nowosielskiego*, Kraków 2011.

Parafia Zbylitowska Góra, oprac. P. Szlezynger, J. Kaczmarek, Tuchów 2010.

Wspomnienia z lat ubiegłych (od 1864 do 1937). Generał Roman Żaba i jego czasy, oprac. P. Szlezynger, Kraków 2009.

Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach**MIASTO, MASA, MASZYNA**

Budzik M., *Willa Kwiatkowskiego. Rezydencja*, Tarnów–Kraków 2012.

Bułdys B., *Dyrektorówka. W cieniu fabryki (2)*, „Rocznik Tarnowski” 2013, s. 131–142.

Bułdys B., *Fenomen Mościc. Architektura przedwojennej dzielnicy przemysłowej*, „Rocznik Tarnowski” 2010, s. 87–99.

Filip P., *Eugeniusz Kwiatkowski. Chemik, polityk, menedżer*, Tarnów–Kraków 2012.

Kwiatkowski E., *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, Warszawa 1989.

Kwiatkowski E., *Rzecz najważniejsza Polska. Wybór myśli politycznych i społecznych*, Kraków 1988.

Peiper T., *Miasto, masa, maszyna*, „Zwrotnica” 1922, nr 2 (lipiec).

Smoła M., *Fabryka. Dokument dziejów*, Tarnów–Kraków 2012.

Tarnów. 1000 lat nowoczesności, red. E. Łączyńska-Widz, D. Radziszewski, Warszawa–Tarnów 2010.

Wańkowicz M., *Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym*, Warszawa 2012.

Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach**LUDOWY HETMAN**

Deszczyński M.P., *Wincenty Witos*, Warszawa 2009.

Olejniczak M., *Witos*, Warszawa 2012.

O Wincentym Witosie: relacje i wspomnienia, zebrał i oprac. J. Borkowski, Warszawa 1984.

Witos W., *Moje wspomnienia*, t. I–IV, Warszawa 1978.

Zakrzewski A., *Wincenty Witos*, Warszawa 1977.

Zarzewski A., *Wójt z Wierchosławic*, Warszawa 1984.

**Fort 50 ½ O Barycz w Krakowie
Z BIDONEM I MENAŻKĄ**

Aleksiejewicz S., *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przeł. J. Czech,
Wołowiec 2010.

Fort 51 „Rajsko”, red. W. Brzoskwinia, *Atlas Twierdzy Kraków*, seria I,
t. 8, Kraków 1997.

Łukasik H., *Twierdza Kraków*, cz. IV: *Wokół krakowskiej twierdzy.
Epizody, bohaterowie, ślady bitwy o Kraków 1914*, Międzyzdroje–
Kraków 2009.

Okudźawa B., *Pieśni, ballady, wiersze*, red. A. Mandalian, przeł.
J. Czech [et al.], Kraków 1996.

O przyszłość Twierdzy Kraków, oprac. zb., red. H. Rojkowska-Tasak
[et al.], *Atlas Twierdzy Kraków*, seria II, t. 5, Kraków 2010.

Środulska-Wielgus J., *Zieleń Twierdzy Kraków*, *Atlas Twierdzy
Kraków*, seria II, t. 4, Kraków 2005.



MACIEJ SIENIŹYK

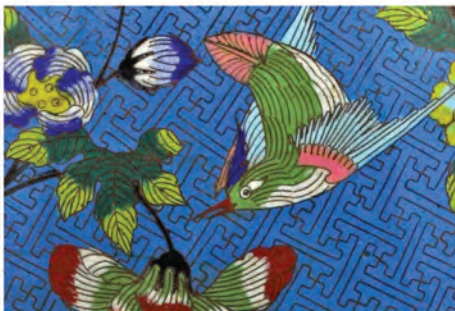
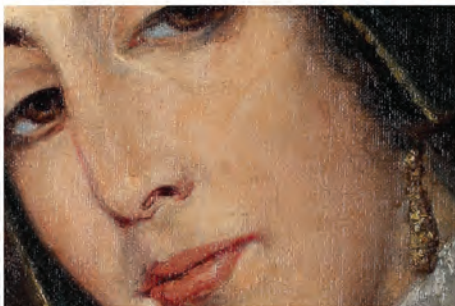
**TYGODNIK
Powszechny**

weź, czytaj!



WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI

WWW.MUZEA.MALOPOLSKA.PL



JAKUB KORNHAUSER
WOLNOŚĆ KRZEPI

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:

Joanna Nowostawska-Gyalókey

Współpraca: Paulina Kasprzycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk

Korekta: Ewa Ślusarczyk, Adam Wencel

Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska

Projekt graficzny, skład i łamanie: Magda Gardela

Przygotowanie zdjęć do druku: Zbyszek Czapnik

Na okładce: dzieci podczas pracy przy budowie Kopca Niepodległości
imienia Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie, maj 1935 roku.
NAC

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca też do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

www.mik.krakow.pl

FB/mik.krakow

ISBN 978-83-61406-54-9

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2018

Publikacja powstała w ramach XX Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 7000 egz.

Druk: Drukarnia Leyko

JAKUB KORNHAUSER
WOLNOŚĆ KRZEPI

Kraków 2018

SPIS TREŚCI

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie	8
WESELE PRZY SMĘTNEJ Dworek Rutkowskich w Krakowie-Bronowicach	24
KOMU BIJĄ DZWONY Kościół pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Raclawicach	40
NA ZAPIECKU Piec kręgowy w Płazie	54
BAKCYLE POSTĘPU Kamienica Bujwidów w Krakowie	70
NADDUNAJECKA SAGA Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i dwór Żabów w Zbylitowskiej Górze	86
MIASTO, MASA, MASZYNA Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach	102
LUDOWY HETMAN Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach	118
Z BIDONEM I MENAŻKĄ Fort 50 ½ O Barycz w Krakowie	134
Podziękowania	148
Bibliografia	151

Szanowni Państwo!

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to zawsze wyjątkowy czas w naszym regionie. To czas nie tylko celebrowania bogactwa kulturowego Małopolski, ale też moment, kiedy lokalna historia splata się ze współczesnością. Wreszcie to czas fascynujących podróży, opowieści i spotkań z dziedzictwem.

W tym roku Dni Dziedzictwa odbędą się już po raz dwudziesty. Dla wszystkich Małopolan oraz osób odwiedzających nasz region będzie to doskonała okazja do świętowania stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Podczas wydarzenia – które w tym roku przebiega pod hasłem „Wolność krzepi” – opowiemy także o ciężkiej pracy nad zjednoczeniem ziem po pierwszej wojnie światowej, ale też ogromnym entuzjazmie Polaków podczas budowania wolnego, nowoczesnego państwa.

W Krakowie, Płazie, Raclawicach, Tarnowie-Mościcach, Wierchosławicach i Zbylitowskiej Górze zaprezentujemy wszystkim uczestnikom Dni Dziedzictwa aż jedenaście zabytków związanych z międzywojenną Małopolską i pokrzepimy się wspomnieniami o tych znanych, ale i nieco zapomnianych postaciach, które na stałe wpisały się w dzieje II Rzeczypospolitej.

Serdecznie zapraszam do wyruszenia w podróż w czasie po Małopolsce dwudziestolecia międzywojennego! Życzę Państwu wielu wrażeń i mam nadzieję, że jubileuszowe, Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego przyczynią się do poznania fenomenu kulturowego bogactwa i różnorodności naszego regionu.



Jacek Krupa
Marszałek Województwa Małopolskiego

Wolność krzepi

Kiedy wybuchły lata dziewięćdziesiąte, miałam kilkanaście lat. Pamiętam te emocje, poczucie, że teraz wszystko będzie inne, że w końcu zbudujemy nową Polskę, dokładnie taką, jakiej pragniemy. O ileż większa musiała być euforia, przekonanie, że odtąd wszystko będzie nowe, dobre, piękne – gdy po 123 latach niewoli wybuchła II Rzeczpospolita!

Jak pisze autor, „Wolny kraj ma to do siebie, że wszyscy chcą pracować na potęgę ku jego chwale”. I o tym jest ta opowieść: o modernizacji kraju, awangardzie i miastach ogrodach, ruchach spółdzielczych, armii i akademii, głodzie wiedzy i domach ludowych, kółkach rolniczych i salach gimnastycznych, ambicjach i codziennej pracy, ludziach wreszcie: kobietach i mężczyznach, architektach i innowatorach, literatach i robotnikach, społecznikach i medykach, profesorach i generałach.

Szybko okazało się jednak, że różne osoby różnie sobie tę nową Polskę wyobrażają i że nic nie jest tak oczywiste, jak się wydawało. I o tym także jest ta opowieść. O wysiłku, niezrozumieniu, zaczynaniu od zera, przeciwnościach losu i tym, że drogi do celu bywają niezwykle kręte.

Słowa wciąż brzmią znajomo. Wyzwania nie tracą na aktualności. Chcielibyśmy nowoczesnej Polski?



Joanna Orlik
Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury
w Krakowie



Prezydent RP Ignacy Mościcki (w środku, na fotelu) wśród uczestników VI Zjazdu Stowarzyszenia Elektryków Polskich przed nieotynkowanym jeszcze gmachem Akademii Górniczo-Hutniczej, czerwiec 1934. NAC

MIĘDZY MŁOTEM
A KOWADŁEM
GMACH GŁÓWNY AKADEMII
GÓRNICZO-HUTNICZEJ
W KRAKOWIE

Chcielibyście miarkę patosu, rozmachu chcielibyście, czegoś konkretnego w miejsce zabiedzonych duktów, chybotliwych kamieniczek i placów grzęznących w błocie. Miasta męznego, co punktem być może odniesienia dla nauki, dla przemysłu, dla pracy. Co pęknąć nim można z dumy. Nowe miasto na nowe czasy musi zapierać dech w piersi pani, w piersi pana, nie bójmy się słów: w piersi całego społeczeństwa Krakowa, i piersiach okolicznych do tego. Owszem, targi końskie na placu Na Groblach i panie z nabiałem na Rynku mogą swojsko, malowniczo mogą wyglądać na obrazkach, ale za punkt odniesienia dla cywilizacyjnych skoków służą, przyznacie, dość kiepsko. Dlatego nadzieja raczej w stawianiu monumentalnych gmachów, kubaturą przysłaniających cały świat, w projektowaniu reprezentacyjnych alej, grzmiących hukiem automobilów, arterii, które hardo wiodą tam, gdzie sukces i bogactwo, w budowaniu podwalin dla uczelni, które następnie same budować będą. I zamiast płodzić natchnione wytwory ducha, jak zwykli to robić ckliwi humaniści, kilofem wyrąbią pokłady ogólnonarodowego dobrobytu.

No i potęga ma bić ze wszech stron, moc i wielkość! Nic więc dziwnego, że gdy zapada decyzja o powołaniu Akademii Górniczej, szkoły wyższej z półki najwyższej, o którą upominano się od dziesięcioleci, od czasów kieleckiej AG i Stanisława Staszica (pierwsze dekady XIX wieku), trzeba pomyśleć o równie porządnej i prestiżowej, a jak, siedzibie. Ma być na bogato: skoro i Lwów chciał mieć u siebie uczelnię górniczą w ten deseń, to ważne, żebyście mu teraz pokazali, że Kraków lepszy, obrotniejszy i dobrze wie, jak się od zera stawia akademickie miasto. Miasto, tak jest, miasto, bo dziecinno-prowincjonalnym wszakże mianem „miasteczka” to, ech, naprawdę, nie wypada zwać tego urbanistycznego kolosa na żeliwnych nogach. Kraków to polis przecież, nie wygwizdów jakiś, chyba nie myślicie inaczej?

Pech, czyli innymi słowy dziejowa konieczność, chciał, że decyzja wiedeńskich czynników zapada tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, zatem o żadnych pracach, choć komitety budowy działają, a plany lśnią pomadą nowoczesności, mowy być nie może. Franciszek Józef I, który poparł



inwestycję, kończy swoją ziemską misję szybciej niż ktokolwiek śmiał przypuszczać. Wszystko, co zdawało się pewne, pewne być przestało: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Więc smutek. Ale zaledwie parę lat później – lat w okopach, transzejach i lazaretach, gdzie tylko rum pomagał, jak wyczytanie pilnie u Blaise’a Cendrarsa – z dawien dawna wyczerkiwany niepodległościowy bakcyl zaraża wszystkich, nawet tych, co byliby mniej odporni na potrzebę postępu. Zaraża na dobre i przyszłość rysuje się wam majestatyczna.

18 października 1918 roku Komitet Organizacyjny Akademii Górniczej w Krakowie ogłasza otwarcie nowej szkoły wyższej już od roku akademickiego 1919/1920. Komitet, w skład którego wchodzi profesorowie z Uniwersytetów Jagiellońskiego i Lwowskiego, wiceprezydent Krakowa oraz ceniony architekt Józef Sare, muzealnicy, notable i kto tam jeszcze, nie ma wątpliwości: celujemy w dwa wydziały, górniczy i hutniczy. Szkoda tylko, że ministerstwo nie podzieli tych odważnych wizji i na przymiotnik „hutniczy” w nazwie uczelni trzeba będzie poczekać ze trzy dekady, choć sam wydział udaje się lada chwila otworzyć. Niemniej robota wszystkim pali się w rękach, więc Rada Ministrów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie ma co zwlekać i 8 kwietnia 1919 roku powołuje do życia Akademię Górniczą. W „Dzienniku Urzędowym” Ministerstwa Robót Publicznych czytacie słowa pełniące funkcję isie magiczną, z niczego bowiem stwarzające nową rzeczywistość: „Akademia Górnicza będzie otwarta w październiku 1919 roku, a przedtem odbędą się wpisy na pierwszy rok nauki. Następne lata Akademii Górniczej otwierane będą co roku, aż do zorganizowania wszystkich czterech lat studiów na obu wydziałach (górnym i hutnym)”.

AG – to brzmi chwacko! Tłumy kandydatów na żaków walą drzwiami i oknami, zwłaszcza że eks-austro-węgierskie uczelnie techniczne w Leoben i Przybramie, gdzie kształcili się młodzi Polacy, nagle tych Polaków, byłych już tylko współziomków, a teraz wrażeń zagraniczników, tak szczodrobliwie jak dotychczas nie witają. Selekcja idzie na noże, niczym dziś na ujętowską filologię szwedzką, a raczej jak w Starym Teatrze przed *Weselem* Jana Klaty. Chcielibyście do braci studenckiej



Marta Suchankówna, pierwsza kobieta promowana w Akademii Górniczej w Krakowie, czerwiec 1936 roku. NAC

na AG wstąpić na dobre i złe? Proszę bardzo, ale najpierw musicie zaliczyć całą masę egzaminów-kobył. Trudno orzec, czy taki marszałek Piłsudski toby się dostał, czy raczej kwitłby gdzieś w smętnych zakamarkach pod kreską, lecz tutaj trafiła mu się rola zgoła inna. Oto 20 października 1919 roku w auli Collegium Novum UJ Naczelnik Państwa, zwracając się do rektora UJ Karola Estreichera, wygłasza pamiętne słowa: „Magnificencjo, świetny Senacie, dostojne Zgromadzenie! Niniejszym ogłaszam Akademię za otwartą”. I znów, drodzy państwo, jak w bajce: pstryk, słowo się rzekło, akademia stoi.

Nie stoi. To, że inauguracja odbywa się w salach starszego – nieco już może sędziwego, choć w metrykę popatrywać nie wypada – brata, to nie pomyłka. Wiecie, zawsze jest tak na weselu, że wstanie podпиты wujek i zepsuje atmosferę cukierkowego szczęścia, wywlekając jakąś nieprzyjemną historię, o której wszyscy woliliby zapomnieć. Wiecie to z filmów i literatury, wiecie z własnych doświadczeń, ale wiedźcie też od teraz, że i owo uroczyste otwarcie AG kończy się takim cokolwiek zgrzytliwym apelem do władz: wszystko pięknie, ładnie, panowie, ale może byśmy najpierw zbudowali jakiś elegancki gmach, żeby tych studentów było gdzie przyjmować, co nie? Pierwszy urzędujący rektor, Antoni Hoborski, który skądinąd patronuje dziś pięknej krakowskiej uliczce, wspinającej się spod Lasu Kosocickiego pod kosocicki fort i kościół (choć niektórzy mieszkańcy wolą, nie wiedzieć czemu,



czcić na tabliczkach niejakiego „Hoborowskiego”), musi działać. Kolejni rektorzy podobnie. Czasu dużo nie ma, a bryza wolności nie będzie wiała wiecznie. Budujecie? Budujemy!

No dobra, budować można, tylko kto da na to kasę? Jasne, pod frakami i w dandysowskich krawatkach łącznie kładziecie kamienie węgielne pod budowę gmachu – jest czerwiec 1923 roku – ale ledwo rozpoczętą budowę wstrzymuje zakręcony kurek z funduszami ministerstwa. I to ma być ten dynamizm, to ma być ten entuzjastyczny rozwój narodowego potencjału, to ma być ten dumny pomnik wystawiany wolnemu państwu? Wszak projekt leży i kurzy się w szufladce od 1913 roku. Sławomir Odrzywolski i Adam Ballenstedt wygrali

← Inauguracja roku akademickiego 1927/1928 Akademii Górniczej w Krakowie w auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1927. NAC
 ↑ Wystrój auli w Akademii Górniczej, wrzesień 1935. NAC



ogłoszony wówczas konkurs architektoniczny projektem, który nie miał szans na szybką realizację, bo wojna. Teraz, razem z jurorem konkursu, Wacławem Krzyżanowskim, Odrzywolski kieruje pracami, a one, te prace, to raczej jak wańka-wstańka: a to z kurka cieknie i można robić, a to sucho co najmniej jak na Pustyni Błędowskiej i robić nie można. A projekt, proszę ja was, majestatowi akademii będzie czynił zadość z nawiązką.

I tak, rok po roku, metr po metrze, ciuła się kolejne partie budynku. W 1929 roku udostępniono go na potrzeby zajęć

↑ Fotografia fragmentu modelu gmachu zaprojektowanego dla Akademii – wejście główne, grudzień 1926. NAC

dydaktycznych, choć nie był jeszcze wykończony, budowę sfinalizowano dopiero sześć lat później. Ale gdy sfinalizowano, no, to nie ma się co oszukiwać, robił wrażenie. Co subtelniejsi krakowscy mieszczaństwo pospadali z krzesel (co mniej subtelni – z zydl). Monumentalność bryły nie jest li tylko ułudą: z kubaturą 110 tysięcy metrów sześciennych to jeden z największych gmachów II RP. Miażdży – rzeklibyście, zaorane – pochwalilibyście, ale być może znalazłby się wśród was ktoś deczko bardziej elokwentny, kto zauważyłby ciekawy mariaż okazałego w formie, symetrycznego klasycyzmu – spójrzcie tylko na joński portyk i elewację frontową – z modernizmem pozostałych elewacji, znacznie uboższych w zdobienia, choć wcale proporcjonalnych i harmonijnych.



↑ Karol Hukan obok wykonanej przez siebie rzeźby geniuszu, mającej zdobić gmach Akademii Górniczej w Krakowie, 1932. NAC



Kawał domu: nie da się ukryć. Ale po kiego diabła ukrywać, skoro stawia się właśnie po to, by przykuwał uwagę i wyznaczał nowe kierunki? Toż to prawdziwy pałac niepodległości, któremu salutować należy i na baczość przed nim stać. W nosie nie dłubać i nie spluwać bez troski niczym chiński przechodzień w oparach smogu. Tu chodzi o krwiobieg miasta, miasta większego niż kiedykolwiek, międzywojennej metropolii przeciętej węzłem Alej Trzech Wieszców, które to pojawiają się w latach trzydziestych. Budynek Akademii Górniczej ma być ich centralnym punktem. Prestiż, drogie, elegancja, drodzy, architektoniczna wizytówka miasta, co tam jeszcze chcecie. Modernistyczne Muzeum Narodowe i Biblioteka Jagiellońska, dalej zabudowania ulicy Oleandry i okolic placu Inwalidów z kamienicami profesorskimi wyznaczają nowe apogea projektowania i raz-dwa wzmacniają aspiracje: precz z chałupami i niedoróbkami. Adolf Szyszko-Bohusz i Józef Gałęzowski mieli architektoniczną renomę, mieli talent, mieli przełożenie na realne zagospodarowanie terenu i mieli nosa (a nawet dwa nosy, ściślej rzecz ujmując): dziś od Alej i ich przedłużeń na południe i północ rozpoczyna się życie Krakowa. I nawet jeśli będziecie pomstować na flejowatą namiastkę zieleni w roli pasa oddzielającego spalino-genne korytarze, nawet jeśli nie uda wam się pokonać podczas jednej zmiany świateł więcej niż paru kroków po zebrze, nawet jeśli posnujecie sobie marzenia o zepchnięciu ruchu w cichobieżne tunele dla zmotoryzowanych kretów, to i tak z podkulonymi ogonami wracacie na Aleje jak do ziemi obiecanej, bo przecież żyć bez nich nie możecie, w korkach tu spędzacie pół roku, to tu znacie każdą koleinę i każdą muldę, wszystkich rozdawaczy ulotek traktujecie jak jedną wielką rodzinę, przetaczającą się między okutymi w futro benzo(a)-pirenu kamienicami i gmachami takimi jak ten.

Wszyscy jak jeden mąż, jak jedna żona i jak jedni szwagrowie ze świekrami na spółkę, znacie główny budynek AGH z wytatuowaną datą powstania uczelni na froncie – jak na czole nestora rodu – stojący sobie niewzruszenie niby mauzoleum przy równie niewzruszonych Alejach Trzech Wieszców. Ważycie sobie lekce wielkie gmaszysko. Przyzwyczajiliście się, że górnicy z hutnikami, połączeni w dwóch parach, od zawsze tańczą swój zapracowany taniec z kilofem i wytopionym metalem w kadzi. We dwoje przez znoje, powiecie, między młotem a kowadłem, dodacie, i zgoda, i piątka, i żółwik. Również od zawsze święta Barbara przygląda się ich trudom – i trudom waszym w blaszanych pudełkach – z bezpiecznej wysokości, zasiadłszy nad wejściem głównym, przy czym od zawsze nie wiecie, czy nie jest to może królowa Jadwiga, Matka Boska, a może nawet Maria Skłodowska-Curie w dziwnym toczku. Przez myśl wam nie przejdzie, że to nie antyczne posągi; i górnicy, i hutnicy, i Barbara nie



↑ Budynek Akademii Górniczej w Krakowie, październik 1935. NAC
→ Jan Raszka w swojej pracowni przed rzeźbą przedstawiającą górników, ustawioną przy wejściu głównym do gmachu Akademii wraz z bliźniaczą rzeźbą hutników, 1935. NAC



są tymi samymi postaciami, które ustawiono tu niegdyś, zaś owo niegdyś to nie była epoka triceratopsów i brontozaurów.

Pierwsza Barbara, projektu Stefana Zbigniewicza, wdrapała się na dach tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, w sierpniu 1939 roku. Zrzucili ją parę miesięcy później Niemcy, pewnie w odwecie za Wandę. Na nic miedziana i złocona blacha, ręcznie kuta, na nic drewniane modele, z wewrą przygotowywane przez rzeźbiarza, na nic zadumane oblicze świętej, nasuwające na myśl Mimblę z *Muminków*. Przedwieczna Barbara towarzyszy AGH od 1999 roku, kiedy to jej miedziową, sześciometrową osobę poświęcił ojciec święty Jan Paweł II i nic nie stało na przeszkodzie, by zaopiekowała się akademicką bracią. Choć nie wiadomo, czy przyjęto by ją na studia – pierwsze studiujące kobiety pojawiły się w 1921 roku, choć obowiązywał dla nich ośmioosobowy *numerus clausus*. Górnicy i hutnicy, którzy pojawili się dzięki Janowi Raszce w 1935 roku, znikli dwie dekady później i po kolejnych dwóch dekadach przyszli znowu. Monumentalność monumentalnością, majestat majestatem, ale ile tu życia! A Barbara też w środku gmachu, na półpiętrze, witrażowo, i równie ruchliwie: po drugiej wojnie światowej dzieło wywieziono, lecz odnalazło się po latach ukrywania przez jezuitów, i wróciło do gmachu. Może nawet samo. Teraz

do towarzystwa ma dinozaura – obecnie w trakcie odnowy, hm, biologicznej – sporo minerałów i skał, interaktywną galerię, herby miast, portrety rektorów w auli i zachowane z oryginalnego wyposażenia drewniane gabloty i szafy. No i ten westybul z arkadowymi krużgankami, wspinałe klatki schodowe. Tego nie zobaczycie z poziomu jezdnii, tu trzeba się zapuścić ma dłużej.

Nie zobaczycie też wewnętrznych dziedzińców, które są rewersem majestatu i przypominają raczej bombonierkę – o czym dobrze wie Forrest Gump: nigdy nie wiadomo, na co się trafi. Przede wszystkim: gdzie się trafi, bo wśród kilkunastu wejść, drzwi i drzwiczek łatwo się zagubić i przepaść na lata, jak to się niegdyś przytrafiło jednemu z magistrantów, który szukał promotora. Odnaleziono go po kilku latach w kopalni. Bo wiecie, system rozbudowanych skrzydeł i niekończących się korytarzy wyprowadza was w końcu pod ziemię, gdzie w towarzystwie gigantycznych świdrów czai się najprawdziwsza kopalnia z węglem, wyrobiskami, chodnikami, hełmami i innymi akcesoriami, które kojarzycie z filmów Kazimierza Kutza. Są kombajny do wgrzyzania się w ściany, ładowarki zasięrzutne, wywrotki bocznosypowe i czas, żeby przemyśleć swoje życie. Za załomem czai się na was Skarbnik, duch z kagankiem, któremu i święta Barbara nie jest w stanie spojrzeć w oczy, bo ciemno, choć oko wykol.

Tymczasem pod dachem nieomal kryją się wszystkie skarby, które wymknęły się kopalnianemu demonowi. W Muzeum AGH znajdziecie prototypy wielu urządzeń, makiety kombinatów metalurgicznych, zabytkowe uniformy i stroje galowe, a także najbardziej skomplikowane aparaty, w tym aparat telefoniczny z tarczą, którego obsługa spędza sen z powiek odwiedzających to miejsce wycieczek gimnazjalnych. Wsiąka się tu na całe godziny: jeśli macie zamiar spędzać czas w korku, to lepiej wpadnijcie tu i spróbujcie swoich sił za kierownicą bolidu zbudowanego przez studentów na międzyuczelniane zawody. Być jak Robert Kubica nie jest łatwo: to zabawa dla tych, co nie grzeszą wzrostem drągala. W kokpicie czujecie się uwięzieni jak w klatce, no i nie ma co zrobić z nogami. Potem muszą was wyciągać cztery osoby.

↑ Głowa św. Barbary w pracowni Stefana Zbigniewicza, 1939(?). Ze zbiorów Muzeum AGH

W nowoczesnym towarzystwie modeli helikopterów i gokartów nie pamiętacie, że w międzywojniu stawiano raczej na to, co w ziemi i z ziemi, a to też była nowoczesność i z nowoczesności duma. Dumą byli też tacy międzywojenni nowocześni profesorowie jak Walery Goetel, po kolei: twórca sozologii, nauki o ochronie środowiska naturalnego, geolog i paleontolog, badacz budowy geologicznej Tatr i inicjator powołania Tatrzańskiego Parku Narodowego (jego imię nosi schronisko na Hali Ornak), polityk i etnograf, globtroter i krajoznawca, a przy tym wieloletni dziekan Wydziału Górniczego AG, prorektor i rektor uczelni oraz – prywatnie – mąż bratanicy Marii Skłodowskiej-Curie i dobry znajomy profesora Odonu Bujwida, a właściwie jego dzieci, jak na zawołanego wioślarza przystało. Jak się miało takiego faceta w szkole,

to nie mogło ze szkołą być źle i źle być nie może. Nawet jeśli niemieccy okupanci robili sobie w niej nikczemne posiadówki, to przecież biegu ku nowoczesności nie dało się zatrzymać.

Kiedy ochłoniecie już z wrażeń w trzewiach monumentalnej bryły i wyściubicie nos zza zielono-czarno-czerwonej flagi AGH (bo ziemia i przyroda, bo węgiel i trud, bo ogień i gorąco), okaże się, że to, co braliście za monolit i harmonię, w gruncie rzeczy proponuje wam historię żywą i wielokształtną, a nie hieratyczną i nudną. Nawet wy, którzy chcielibyście miarkę patosu, rozmachu chcielibyście, czegoś konkretnego w miejsce zabiedzonych duktów, chybliwych kamieniczek i placów grzęznących w błocie. Miasta męznego, co punktem być może odniesienia dla nauki, dla przemysłu, dla pracy. Co pęknąć nim można z dumy.



Grupa lekarzy szpitala św. Łazarza na sali operacyjnej, pośrodku w ręku Alfred Obaliński, po przeciwnej stronie łóżka stoi Maksymilian Rutkowski, 1897–1898, fot. J. Sebałd. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

WESELE PRZY SMĘTNEJ

DWOREK RUTKOWSKICH
W KRAKOWIE-BRONOWICACH



Chcielibyście opowieści o dwóch braciach, jednym wirtuozie defilującym z nosem w chmurach, drugim kapkę skromniejszym, co nad profetyczne uniesienia przedkłada sumienną pracę i ufność w zdobycze nauki. A może o dwóch siostrach, z których jedna w kwieciste szaty przyodziana, koralami błyskająca i promiennym uśmiechem, druga zaś ukryta w laboratorium i z kwiecistością pod mikroskopem raczej flirtująca? O rodzinach, co z pnia jednego wyrosły, a teraz bczą się na siebie po przeciwnych stronach barykady? Historii takich na pęczki znajdziecie pod pierzyną krakowskości, gdzie barykadą także i rzeka tnąca miasto na dumne połówki, i kościelne wieże rywalizujące na Rynku, i Błonia, od dawien dawna zatrudnione w roli arbitra między zwaśnionymi plemionami o totemicznych szalikach. Ale za barykadę, dla czegożby nie, robić może też ruchliwa szosa, która ciągnie spaliniową gąsienicę na zachód, w stronę zabierzowskich lasów i dolin jurajskich, gdzie spalin mniej, a więcej nietoperzy i cichych przełazów.

Cały wic w tym, że nie musicie wcale swej wrodzonej lub nabytej krakowskości porzucać. Wystarczy nie gnać ulicą

↑ Bronowicka chałupa, listopad 1932. NAC

→ Dworek Włodzimierza Tetmajera, listopad 1932. NAC

Walerego Eljasza-Radzikowskiego na złamanie karku, zwolnić wystarczy i nim się dotrze na Pasternik, spojrzeć w lewo, spojrzeć w prawo, spojrzeć przed siebie, niczym inżynier Mamon delectujący się rejsem po Wiśle. Ale że inżyniera Mamonia predylekcje do tego, co dobrze znane i wiele razy słyszane, są wam z gruntu niemiłe, to nie dajecie za wygraną i cichych przełazów oraz nietoperzy szukacie już tutaj, na rogatkach, wśród tajemniczych ogrodów i duktów. Łebki wam się kręcą niczym frygi, bo o waszą uwagę walczyć próbują głośnie atrakcje zza wielce gustownych hałasoszczelnych ekranów po lewej oraz zza mgły lypiące ostępy, ścichapkę obśadzone zagajnikami po prawej ręce.

Po lewej, gdzie Bronowice Małe, lśni sławne z lektur źródło duszy polskiej, roztaczając przed wami opowieść zdobną w nimb tradycji i duchem niepodległości zionącą. Wśród drobnych jak ziarnka maku uliczek ukrywa się dom Włodzimierza Tetmajera, o którym każda z was słyszała i słyszał każdy, boć tu „nasza dzisiejsza wiejska Polska”, jako to: „huczne weselisko, buczące basy, piskanie skrzypiec, niesforny klarnet, hukania chłopów i bab i przygłuszający wszystką nutę jeden melodyjny szum i rumot tupotających tancerzy”. Był czas, gdy Stanisław Wyspiański, w zapiętym pod szyję tużurku, spędzał tu upojne, acz pełne zadumy chwile, oparty o futrynę drzwi, układając sobie z wesela Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny swoje własne *Wesele*, ba, wesele arcypolskie, ogólnonarodowe, na które można by zaprosić wszystkich współobywateli, gdyby tylko szło znaleźć izbę jaką, dziesiątki milionów gości godną pomieścić. Zabawa



zabawą, tańce tańcami, ale krasne suknie i obfite kierezyje kryją tęsknotę za niepodległością, która w 1900 roku tkwi co najwyżej okutana chochołem jak Eskimos anorakiem. Brakuje Mikołaja Trzaski, Ken Vandermark na urlopie, nawet starzy wirtuozi z Bennym Goodmanem na czele bezradni: nie ma komu zadać na złotym rogu, choćby to był i róg obfitości, sypiący przysmakami wolnej Rzeczypospolitej niczym tyta maszketami. Dość powiedzieć, że i Wyspiański, i Tetmajerowie, i młoda para, i weselników krąg, i duchy rozmaite tudzież widziadła, wszyscy wraz pomieścili się w Rydlówce, choć ta Rydlówką jeszcze nie była. Mieszczą się w chacie bronowickiej i dziś ich potomkowie wysypujący się z autokarów, by choć na moment odwieść na kolek czapkę z pawich piór, choć na sekundkę wyleźć spod władczej mocy kaduceusza.

Ale przecież to wszystko wiecie, ba, recytujecie z pamięci obudzeni w środku nocy. Bronowice Małe macie obcykane jak mało co, wabią was ponętne kształty tej uroczej kuzynki, nęci bogactwo ciotki z zagranicy: jeśliście jeszcze na barykadzie, co w szosę wyjazdową się przeobraziła, to lewe oko ma używanie, bez pucu. W każdej historii tego typu jest jednak tak, że uboga kuzynka, o której myślicie z wyższością jako o szarej myszce, okazuje się prawdziwym skarbem, diamentem w koronie rodziny, że zdziwaczała ciotka z czereďą kotów na utrzymaniu jest w rzeczywistości najciekawszą i najmądrzejszą rozmówczynią, a jej koty nic, tylko palą fajki i grają w bakarata. Z początku nieśmiało, potem coraz śmiej dajecie zielone światło oku prawemu, jesteście niczym sola lub kilka innych fładrokształtnych, których lewe oko

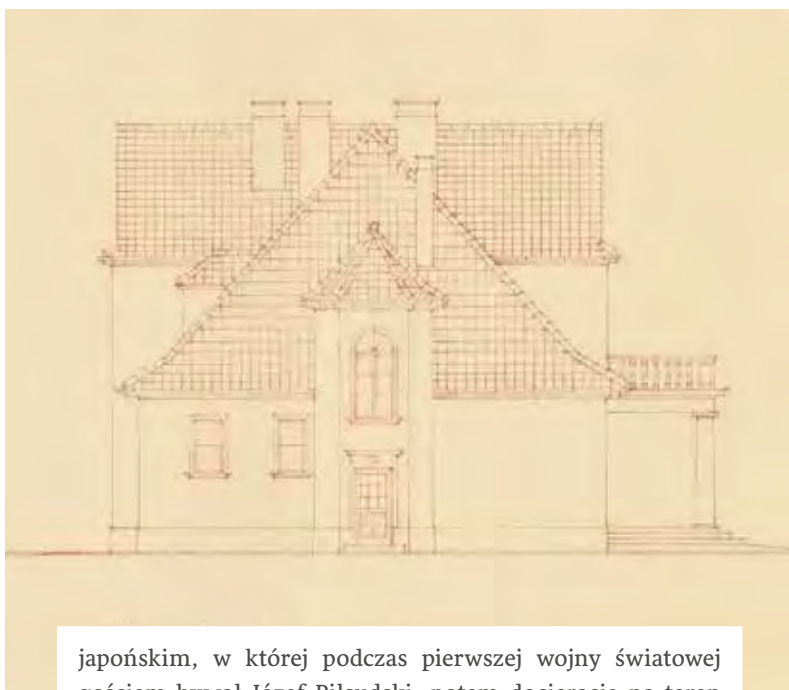
przesuwa się przez linię grzbietu na prawą stronę ciała. Dwojgiem oczu widzicie bowiem wyraźniej: Bronowice Wielkie, zapomniane rodzeństwo weselących się Bronowic Małych, śpią snem sprawiedliwych. Możecie je obudzić, ale stąpajcie na paluszkach.

Nawet jeśli na co dzień nie zauważacie obszaru wetkniętego między trasę zabierzowską, poligon graniczący z Modlniczką, Tonie, ulice Władysława Łokietka i Josepha Conrada, to nie znaczy, że nudzilibyście się tam jak pocieszne mopsy. Nawet jeśli na co dzień nie spacerujecie sobie zaułkami ulicy Ojcowskiej, gdzie puszcza pędy małomiejskość, z placami zabaw, sklepikami i domkami wyrastającymi jak na drożdżach jeden obok drugiego, to nie znaczy, że niespieszne przechadzki nic niewarte, bo warte, i to kwadryliony nawet, nie tryliony złotych polskich dukatów. Nawet jeśli kuli się za plecami utuczonych na paszy klasyka Bronowic Małych, ich Wielkie kuzynostwo nie chowa urazy; nie uświadczycie pomruku zazdrości wydobywającego się z kominów przy ulicy Budrysów, dusza resentmentu nie wskoczy wam na ramię w stro-miźnie ulicy Szarotki. No i nawet wtedy, gdy staniecie u zapomnianych wrót, niech was nie zwiedzie tabliczka z nazwą ulicy: to, że dostrzeżecie na niej wypłowiały napis „Smętna”, nie oznacza, że to terytorium wiecznej pluchy i produktów ubocznych sezonu grzewczego. Ani że to przytyk do weselnej aury, którą ekscytują się po sąsiedzku. Kartkę A4 z napisem „Wesoła”, którą przed laty ktoś z lokalsów zasłonił oficjalną tabliczkę, pozrywały wichry dziejów, ale przekornej natury tak łatwo się nie pokona.

Wyobraźcie sobie teraz, że ulica Smętna-Wesoła to wąwóz, którym podążacie bez strachu, bo światelko w tunelu to coś więcej niż ulubiona metafora negocjujących swoje apanaże polityków. Spokojnie. Latarnie od czasu do czasu wleją w wasze serca nadzieję jak gospodarz papkę w gęsie przełyki – choć, przyznacie sami, ta metafora jest jeszcze straszniejsza – mimo że na obu skarpach nieprzebyta gęstwa. Niczym wapienne ostańce srebrzą się wielkie, niedostępne, no, niedostępne na ogół, dla ogółu, gmachy. Po lewej macie najpierw nietoperzową willę Pod Gackami, zwaną pałacikiem

← Transformator elektryczny przy drodze prowadzącej na Katowice. Za płotem ukryty dworek Rutkowskich, listopad 1932. NAC





japońskim, w której podczas pierwszej wojny światowej gościem bywał Józef Piłsudski, potem docieracie na teren Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk. Obok nowego budynku Instytutu w parku umościł się neorenesansowo-neobarokowy pałac Fischerów-Benisów, zbudowany w końcu XIX wieku przez kupca Jana Władysława Fischera, a po niedługim czasie odsprzedany żonie prawnika i ekonomisty Artura Benisa – Helenie. Po drugiej wojnie krótko służył jako internat, a następnie trafił w badawcze ręce PAN.

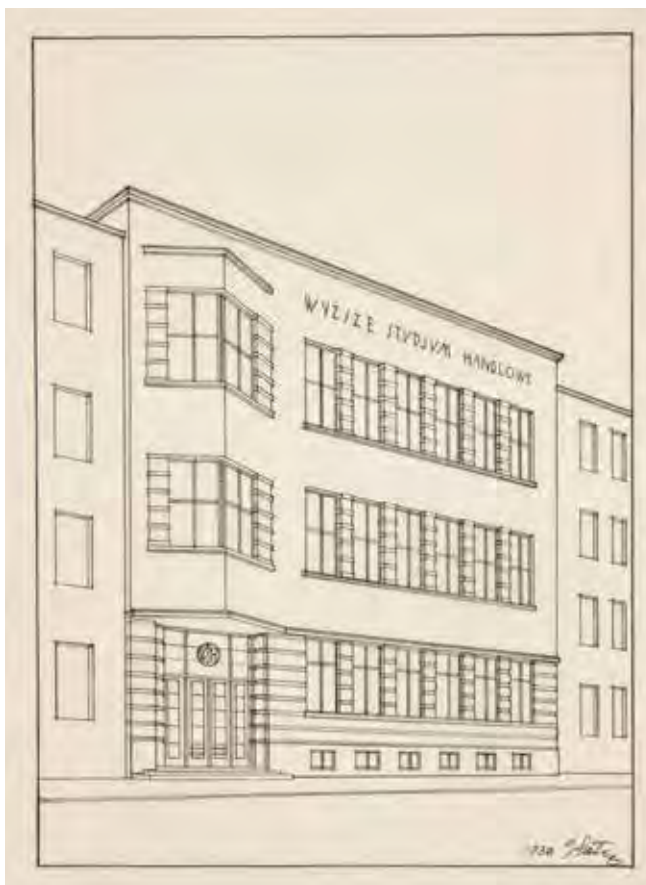
Wrony zrzucają wam na głowy orzechy, kowaliki ścigają się po pniach jak na torze Formuły 1, szczebioczą szczygły, kwiczą kwiczoły, nie wspominając o szpakach, które panoszą się po okolicy jak niegdysiejszy bronowicki sołtys Dytmar. Zapominacie o apatycznym Chochole w stylu emo, bo po drugiej stronie wyśnionego wąwozu ziszcza się na waszych oczach przepowiednia Wernyhory – „Chrzęszczą wielkie drzewa i trzaskają kuszcze”, a zza nich wyłania się elegancki pałacyk Rutkowskich, zbudowany w 1926 roku według projektu Józefa Gałęzowskiego. U lewostronnych sąsiadów w Rydlówce ledwo co słyszeć zew wolności, a tu wolność

↑ Projekt dworku autorstwa Józefa Gałęzowskiego, widok zachodni.
Z Archiwum Narodowego w Krakowie, ABM f. 732 a

już odbita w najlepsze, już dyktuje swoje warunki, już stawia dwór i rządcówkę, już projektuje duży ogród. Puff! I oto dwór parterowy, z kolumnowym portykiem, pomysłany zgodnie z neoklasycznymi normami stylu dworkowego. Rodzima, szlachecka wolność w rodzimej, szlacheckiej formie. „Po co wolność?” – zapytałby Kazik Staszewski, a wy odrzeklibyście w sekundę: dla dworków takich jak ten, a raczej: dla takich lokatorów.



↑ Dworek chirurga prof. Maksymiliana Rutkowskiego w Bronowicach Wielkich. Plan sytuacyjny ogrodu z obrysem domu autorstwa Józefa Gałęzowskiego. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. K. Kowalik, MNK III-PL.-5459



↑ Batowice, projekt rozbudowy lecznicy dla nerwowo chorych autorstwa Józefa Gałęzowskiego, pawilon nr 2, elewacja tylna – północna, 1927. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. K. Kowalik, MNK III-PL.-6865

↑ Projekt budowy Wyższej Szkoły Handlowej przy ul. Sienkiewicza 5 autorstwa Józefa Gałęzowskiego, widok perspektywiczny, 1930 rok. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. K. Kowalik, MNK III-PL.-5347



Z talentów Gałęzowskiego, profesora i rektora krakowskiej ASP, projektanta między innymi monumentalnego Muzeum Rodu Estreicherów na Woli Justowskiej, a także licznych kamienic i budynków użyteczności publicznej, dworów i pałaców, na które natknąć się możecie w Krakowie i nie tylko, skorzystał bowiem Maksymilian Rutkowski (1867–1947), profesor medycyny i generał brygady Wojska Polskiego. Rutkowski to figura niebanalna, posłuchajcie sami: urodzony w Wielkiej Wsi, przy drodze na Olkusz, całe życie spędził w Krakowie, najpierw jako uczeń, potem student medycyny u najwybitniejszych urologów, lekarz w szpitalu św. Łazarza. Pierwszym krokiem niepodległości towarzyszył jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Katedry i Kliniki Chirurgicznej UJ, pionier leczenia gruźlicy, odtwarzania pęcherza moczowego przy użyciu jelita krętego biodrowego, a także rekonstrukcji przełyku, chirurg znany i uznany, pomników godzien (stoi choćby w Bielsku-Białej) i ulic (w Krakowie na Klinach Borkowskich). Przy tym – czytelnik i admirator prozy Josepha Conrada, co przecież też ważne, zwłaszcza że autor *Jądra ciemności* losy swe po śmierci związał właśnie z Bronowicami Wielkimi, patronując głównej arterii komunikacyjnej w okolicy.

↑ Personel szpitala św. Łazarza w Krakowie z prof. Maksymilianem Rutkowskim (siedzi na krześle pośrodku), międzywojnie. NAC



Grupa Rutkowskiego: Rutkowski czwarty od lewej w kapeluszu, obok Maria Epstein oraz pozostali członkowie grupy: Zofia Krukówna, Maria Wiszniewska, Janina Konopczewska, Jan Glatzel, Mieczysław Kosiński i Zygmunt Drobniwicz. Z archiwum Zgromadzenia Sióstr Dominikanek Na Gródku

Na dodatek, co warto podkreślić, był inicjatorem grupy chirurgicznej, zwanej od jego nazwiska grupą Rutkowskiego, gwiazdozbioru wybitnych chirurgów i bohaterskich pielęgniarek działających w szpitalach polowych Legionów Polskich na frontach pierwszej wojny światowej, w Kongresówce, a nawet, przypuszczalnie, w Karpatach czy na Podolu. Jak piszą: „Jego czynne, chętne przygody usposobienie, a jeszcze więcej nieprzeparta dążność, aby nieść pomoc chirurgiczną walczącym Polakom i [...] niezwykła sprawność organizacyjna i wyróżniające wyniki lecznicze wkrótce rozsławiły nazwisko polskiego profesora wśród lekarzy wojskowych różnych narodowości”. Swoją renomę podtrzymywał



Personel szpitala św. Łazarza w Krakowie z Maksymilianem Rutkowskim (siedzi na krześle), międzywojnie. NAC

zresztą po wojnie, nie tylko jako profesor UJ, ale jako ordynator oddziału chirurgicznego szpitala św. Łazarza, który uchodził podówczas za „największy warsztat chirurgiczny, obłożony przeciętnie przez 400 chorych”. Nic więc dziwnego, że powierzono tę rolę Rutkowskiemu, „wielkiej miary klinicyście z zapałem i niespożytym zapasem sił”, który rozwinął infrastrukturę, rozbudował bibliotekę i założył jeden z najważniejszych w II RP ośrodków krwiodawstwa. Słowem człowiek instytucja, choć to właściwie dwa słowa, a raczej trzy, bo dodać należy: redaktor naczelny periodyku „Chirurgia Kliniczna” i członek Polskiej Akademii Umiejętności. To już cztery słowa, a właściwie wiele, wiele więcej.



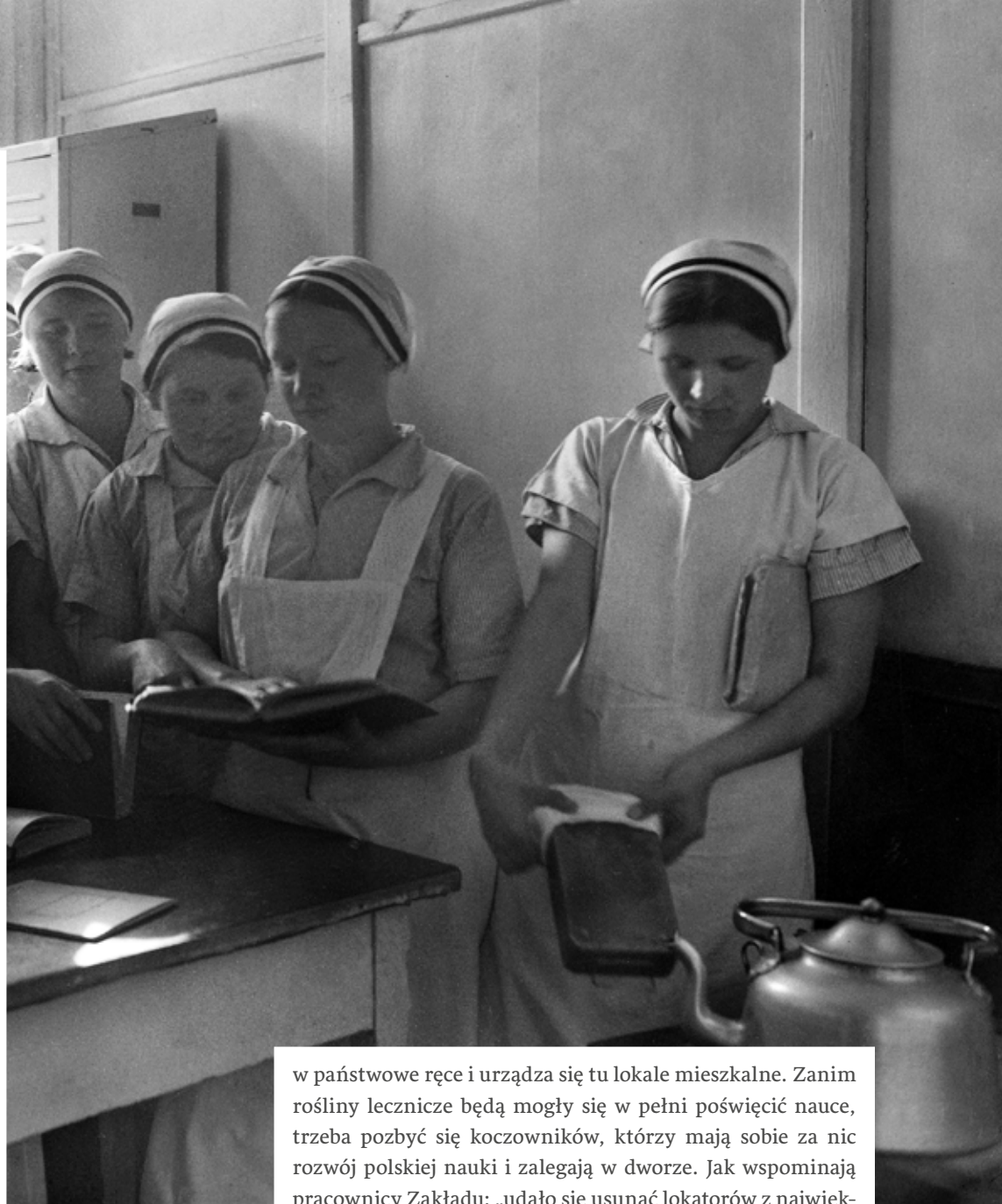
Grupa chirurgiczna Rutkowskiego: Pikulski, Górka, Maksymilian Rutkowski, Mary Cardezza, Głinojecka, Zygmunt Drobniwicz, Michalski, na stole por. Sobolewski, rękopis Jana Fiszer „Pamiętnik Wielkiej Wojny”, 1914. Ze zbiorów Polskiej Akademii Umiejętności, PAUart, domena publiczna



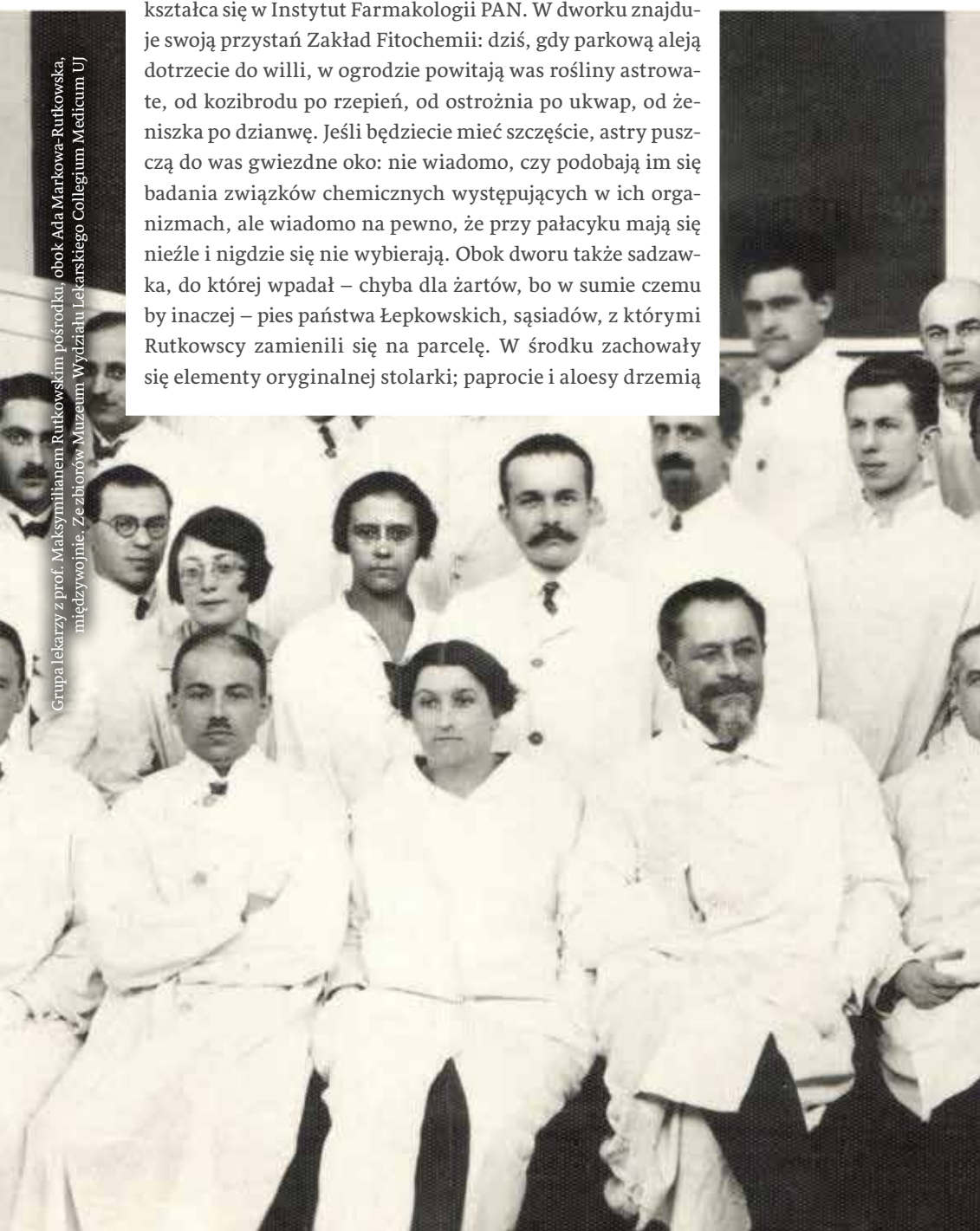
Lekarze szpitala św. Łazarza w Krakowie, drugi od lewej w środkowym rzędzie Maksymilian Rutkowski, ok. 1908, Zakład Fotograficzny Józefa Kuczyńskiego i Antoniego Gürtlera. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Profesora Rutkowskiego, to jasne, ale i jego żony, Ady Marii z Sarnów *primo voto* Markowej (1883–1963). Ha, wszak to nie tylko Lucjan Rydel i Jadwiga z Mikołajczyków zasłużyli na miano państwa młodych, to nie tylko im „serce wali młotem”, a „w głowie huczy, szumi”. Ada to postać równie ważna co mąż: przedwojenna socjalistka, kurierka PPS, ukończyła studia medyczne i w Zurychu, i w Krakowie. Pracowała w krakowskim szpitalu jako chirurg wojskowy, a nową Polskę powitała na stanowisku kierowniczkii Szkoły Położnych, gdzie, po uzyskaniu profesury, urzędowała do wybuchu drugiej wojny światowej, wydatnie przyczyniając się do unowocześnienia działania szkoły. Ponadto szefowała towarzystwom ginekologicznym, ogłaszała publikacje krzewiące nowoczesne metody położnicze, była osobą nie mniej szanowaną w Krakowie niż mąż. Niech więc się schowa Radczyni z radą: „Wyście sobie, a my sobie. Każden sobie rzepkę skrobie”. Tymczasem w Bronowicach Wielkich inteligencja to nie zapatrzone w siebie bubki, lecz społecznicy i medycy na medal (zresztą orderów i wyróżnień Rutkowsy doczekali się pełnego trzosa). Oto wesele przy ulicy Smętnej, ponad trzydzieści lat później od tego za miedzą, w innej rzeczywistości: Bronowice administracyjnie należą już do Krakowa, a społeczności „panów i chłopów” zacierają się z każdym wybudowanym domem, z każdą wyremontowaną drogą, z Robotniczym Klubem Sportowym „Bronowicki” i z elektryfikacją ulic.

Po wojnie bronowickie tradycje badawcze będą pielęgnowane; obok Instytutu Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk, który zajmuje działkę bezpośrednio za obecnym rondem Ofiar Katynia, w dworku Rutkowskich, choć już bez udziału właścicieli, powstanie Stacja Badania Roślin Leczniczych Polskiej Akademii Umiejętności, która wkrótce przekształci się w Oddział Badania Roślin Leczniczych Zakładu Farmakologii PAN. Szef Zakładu, profesor Janusz Supniewski, pionier polskiej farmakologii o przedwojennym sznycie, na kierownika Oddziału wyznaczy profesora Marka Gatty-Kostyła, który wraz ze współpracownikami zagospodaruje dworek na cele badawcze, budując szklarnie i rekultywując ogród. Choć jest z tym problem: po wojnie willa przechodzi



w państwowe ręce i urzędują tu lokale mieszkalne. Zanim rośliny lecznicze będą mogły się w pełni poświęcić nauce, trzeba pozbyć się koczowników, którzy mają sobie za nic rozwój polskiej nauki i zalegają w dworze. Jak wspominają pracownicy Zakładu: „udało się usunąć lokatorów z największego pokoju. Ze względu na zajmowanie przez nich dalszych części budynku, do owego «zdobytego» pokoju trzeba było początkowo wchodzić po desce przez okno. Powoli przekształcał się on w pierwociny pracowni chemicznej (stół,

woda nie zawsze funkcjonująca, nieco później gaz, kolejno stół z dopływem i odpływem wody, z gniazdkiem elektrycznym, ale jeszcze bez wyciągu)”.


Kolejne lata to rozwój placówki, która w 1974 roku przekształca się w Instytut Farmakologii PAN. W dworku znajduje swoją przystań Zakład Fitochemii: dziś, gdy parkową aleją dotrzecie do willi, w ogrodzie powitają was rośliny astrowate, od kozibrodu po rzepień, od ostrożnia po ukwap, od żeniszka po dzianwę. Jeśli będziecie mieć szczęście, astry puszczą do was gwiazdne oko: nie wiadomo, czy podobają im się badania związków chemicznych występujących w ich organizmach, ale wiadomo na pewno, że przy pałacyku mają się nieźle i nigdzie się nie wybierają. Obok dworu także sadzawka, do której wpadał – chyba dla żartów, bo w sumie czemu by inaczej – pies państwa Łepkowskich, sąsiadów, z którymi Rutkowsky zamienili się na parcelę. W środku zachowały się elementy oryginalnej stolarki; paprocie i aloesy drzemią

w cieple. Trwa hodowla tkanek. Badania nad leczniczymi właściwościami substancji obecnych w roślinach pozwalają wykorzystać ich potencjał antymalaryczny. Lecz na syfilis, panie i panowie, niestety nie mogłyby nic poradzić choćby najpiękniejsze astry.

Chochoł, „słomiany paralus”, który mędził w Rydlówce po tym, jak wgramolił się na skrzynię, był łaskaw zauważyć: „To Lęk i Strach tak wzion / posłyszeli Ducha głos: / rozpion się nad nimi los”. Fakt, los rozpiął się nad Polską u zarania XX wieku srogi, choć zaczęło się od dochrapania się wolności. Wyspiański, najwybitniejszy z wybitnych, wolności się nie dochrapał. W 1907 roku zmarł na syfilis i pochowano go na Skałce. Zanim jednak wydał ostatnie tchnienie, leżał na śmiertelnym łożu w, jakkolwiek drwiąco to brzmi, Domu Zdrowia na rogu ulic Siemiradzkiego i Łobzowskiej. Los płała figle, wiecie to aż za dobrze, ale nie przypuszczacie nawet, że opiekunem autora *Wesela* jest nie kto inny jak doktor Maksymilian Rutkowski, współwłaściciel ośrodka. Jak donosi „Tygodnik Ilustrowany”: „W zakładzie dra Rutkowskiego Wyspiański uczył się stosunkowo dobrze. Rozpoczęło się specjalne leczenie, przez czas jakiś nic nie pozwalało przeczuwać bliskości katastrofy, tem bardziej że prof. Pareński, nieobecny w owych dniach w Krakowie, nie mógł zbadać stanu wewnętrznych narządów chorego. Dopiero w jakie pięć czy sześć dni po przybyciu do Krakowa uległ Wyspiański gwałtownym przypadłościom żołądkowym i kiszkowym”. Wyspiański prosi o kieliszek szampana, wypija też filiżankę czarnej kawy. Katastrofa jest bardzo blisko.

Kondukt żałobny przejdzie przez Rynek, co zresztą zostanie uwiecznione w dokumencie filmowym. Doktor Rutkowski, na dekadę przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, na dwie dekady przed przenosinami do Bronowic, odprowadzi ciało swojego pacjenta do miejsca wiecznego spoczynku, szepcząc pod nosem niczym funeralną mantrę: Chcielibyście opowieści o dwóch braciach, jednym wirtuozie defilującym z nosem w chmurach, drugim kapkę skromniejszym, co nad profetyczne uniesienia przedkłada sumienną pracę i ufność w zdobycze nauki.



KOMU BIJĄ DZWONY

KOŚCIÓŁ PW. NARODZENIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY
W RACŁAWICACH

Chcielibyście bajki pachnącej żywicą, co się rozgrywa za górami, za lasami, hen, gdzieś pod jurajską pieczęcią z wapiennych ostańców. Marzyłby się wam król, marzyła królowna, a i pażem wszak byście nie pogardzili. Tak to jednak z bajkami bywa, że straszą bardziej niż żmudna rzeczywistość. I naprawdę nie o to chodzi, że król to z cukru jest, paż z piernika, a jedynie z marcepana królowna. Pomyślcie: oto dolina Czubrówki, która za chwilę zmieni się w Raclawkę, oto Powroźnikowa Skała ze wspinaczami i krzakami głogu, a w samym środku przycupnął sobie kościółek parafialny, niby chatka na kurzej stopce. Z jednej strony wiecie, że miejsce święte i owiane drewnianym nimbem gotyku, a z drugiej wolicie zmrużyć oczy i poszukać pod powiekami skrzeczącej Baby Jagi. Kruki z pagórów nasłuchują waszych lęków, choć pewnie wołałyby pogonić jakieś dziewice. Chochliki z gnomami śpią na waleta w Jaskini Raclawickiej, gdzie woda, zimno i cztery gatunki nietoperzy. Strzegą pamięci tych, którzy byli zbyt odważni i w wieczne zapuścili się korytarze. A może po prostu zbyt zaufali znanej śpiewce: „i żyli długo i szczęśliwie”.

Raclawic ci u nas dostatek, w Małopolsce szczególnie, z tymi od Tadeusza Kościuszki na czele. Ale dobrze mnie zrozumcie: takie Raclawice jak te, o których tu mowa, są tylko jedne jedyne. Zahaczone o Wyżynę Olkuską niczym o skalny występ, wtórują paczółtowskiemu golfistom, wędrowcom urzeczonym świetlistymi wąwozami Doliny Raclawki i tułaczom na jednośladach, co woleli skrótem popedałować wśród malowniczych łąk w stronę Zawady i Gorenicy, o iglicach gminnej Przegini nie wspominając. Owszem, wsi ze starożytnymi odłupkami i skorupami glinianymi wydobywanymi z gleby nie jest mało. Takich, co prawda Niemiec-kiemu zawdzięczają powstanie w XIV wieku, także sporo, jak i tych, których sołtysi mieli młyny, karczmy i gospodarstwa wolne od czynszów. I nawet jeśli dochodzące z żydowskiego szynku „awantury i okrzyki pijaków zakłócały nabożeństwo”, to przecież także nie było to niczym nadzwyczajnym. Za to nie o każdej wsi można napomknąć, jak zrobił to pewien kanonik kielecki dwa lata przed wybuchem wielkiej





wojny, że to arkadia, baśniowa kraina wyżłobiona pospołu przez Stwórcę i zjawiska krasowe: „Jakże wspaniała jest natura tego miejsca, jak widoczna wszechmoc Boża. Góry, doliny, rzeki, lasy, brzegi i skały wysokie. To jest obraz najznakomitszego malarza godny”.

Co racja, to racja, księżu dobrodzieju: kiedy nałykacie się już drogocennych kropel z wywierzyk i wleziecie na wszystkie okoliczne ostańce, z których widoki lepsze niż ze szczytu Czomolungmy, trudno przecież wrócić między śmiertelnych. I znów to samo, znów pod powiekami śmigają wam konni Moskale oraz miejscowi szwarcujący okowitę i broń. Znów jeden z rosyjskich żołnierzy w pogoni za niesfornym skrytopijcą błądzi w stromych lasach i spada ze skały. Między drzewami wciąż znajdujecie tajemnicze kurhany. Ale to wcale nie jest bajka, możecie otworzyć oczy. Przez prawie sto lat, do 1914 roku, był to teren graniczny między zaborem rosyjskim i austriackim. Raclawice i Gorenice należały do Królestwa Polskiego, Paczółtowiec zaś do ziem Franciszka Józefa. Stąd posterunki rosyjskich żołnierzy. I życiorysy przecięte linią usypanych w lasach i na polach kopców, które zaczęły się zrastać dopiero po wybuchu wojny. Zrastać albo i nie zrastać, w końcu to prawda, a prawda jest przecież bardziej bajkowa od niejednej bajki.

Polegujecie sobie z rękami założonymi na mchach i kosaćcach. Wdychacie wilgoć z krasowych lejów i wież. Nie wiecie nawet, kiedy przychodzi do was wąsate lichy i wygrywa do ucha wojenne fanfary. To Józef Piłsudski, idący ze strzelcami od Krzeszowic na Miechów 7 sierpnia 1914 roku i torujący szlak kolejnym kompaniom. No, może nie tyle idący, co otuchy dodający żołnierzom, raz po raz wpadający

z niezapowiedzianą wizytą, dobrym duchem będący. Grunt, że granicę sforsowano, strażników rosyjskich pogoniono, niektórych wzięto do niewoli, żeby posiedzieli sobie na ziarnku grochu. Krasnale podszeptywały wyjścia awaryjne, jak to z pieniędzmi ukrytymi w Nowej Górze, którymi można by się było wykupić, ale nikt nie uwierzył. Choć tu i ówdzie widziano kopiących. Wprawdzie zamiast skarbu raclawiczanie wykopali słup graniczny, ale i tak byli zadowoleni. Polscy i austriaccy żołnierze mniej: „Ludność nie przyjęła nas z obiecany entuzjazmem, obojętna, nawet niechętna. Kupić trudno było. Krzyk i skargi przed komendantem kobiety, że jej za gęs zapłacili tylko dwa złote i wiele innych pretensji”. Oj, bidny wojak. To nie dziewczynka z zapalkami, co to, to nie. Wolność, panie, trudna rada. Zwłaszcza że nie wiadomo, z czym to się je, jak smakować te delikatesy, skoro czasu nie ma, dym i huk: wieś ostrzeliwana z obu stron. Biją Rosjan, płoną jedna w drugą chałupy i lasy, a proboszczowi zabrano kilka koni.

Konie końmi, ale stawka jest większa. Idzie o dzwony. W październiku 1916 roku mieszkańcy Raclawic ukryli kościelne dzwony, obawiając się, że Austriacy będą chcieli je skonfiskować i przetopić na broń, jak to się stało w Paczółtowicach. Wielu z nich uwięziono i brutalnie przesłuchiwało. Nie pisnęli słówka, ale na wszelki wypadek dzwony były ze trzy razy przenoszone z miejsca na miejsce. Magiczny kafar działał cuda, quasi-ludwisarskie taśmociągi woziły dzwony tam i z powrotem, nadludzkie siły wstępowały w zwykłych mieszkańców chroniących dobytku przed przeszukiwaniami. Waligóra z Wyrwidębem czekali w pogotowiu, obgryzając pazury. Po nic. Dzwony zakopano tak skutecznie, że potem długo nie dało się ich odnaleźć. Jeden z drugim opowiadali, że wyrosły z nich majestatyczne dęby czy lipy, inni widzieli, jakoby dzwony się urwały z uwięzi i potoczyły niczym kule śniegowe do Czubrówki, a nurt zabrał je do Rudawy, Wisły i hen do Bałtyku. No, chyba że po drodze pożarł je wieloryb-celebryta z gazety, wygrzewający się na mazowieckiej łasze. Ale to całkiem inna bajka. Teraz dzwony, odnowione przed ponad dekadą, siedzą sobie w dzwonnicy jak szpaki w dziupli.

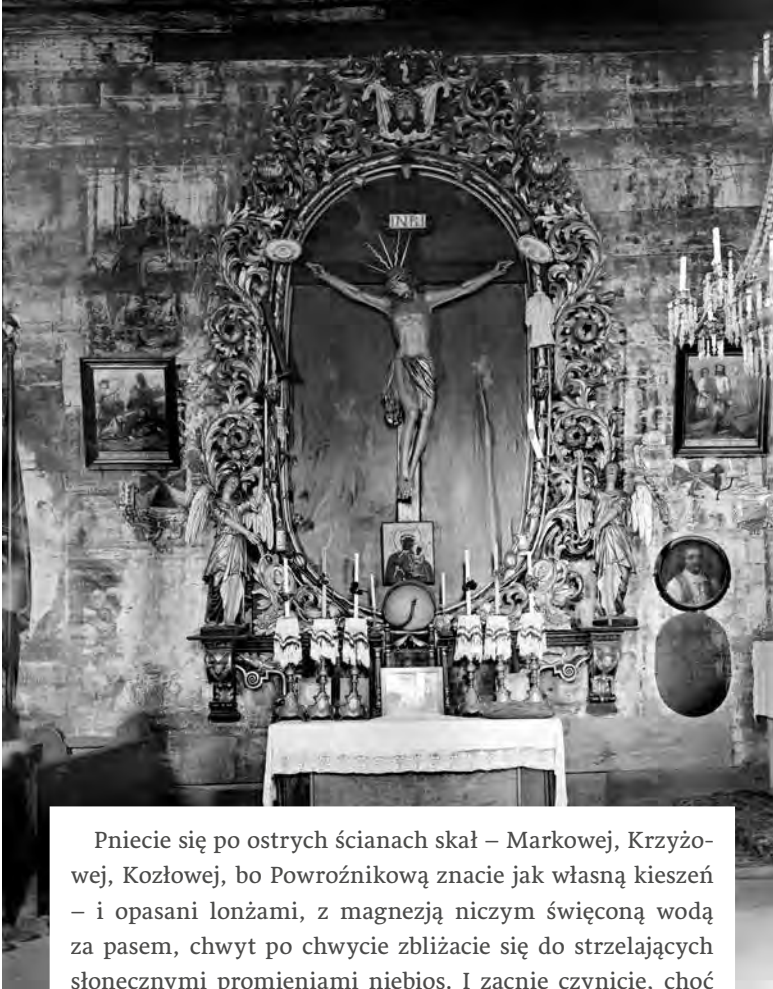
↑ Uczestnicy akcji ukrycia dzwonów przed ich konfiskatą przez żołnierzy austriackich w 1916 roku. Według kroniki parafialnej uczestniczyło w niej 49 osób, fot. z 1954. Kronika parafialna kościoła w Raclawicach Olkuskich

Szukacie skarbów w lessowych parowach, z rzeszotem śledzicie nurt Czubrówki, ale zamiast dzwonów ze szczerego złota trafić wam się może najwyżej jakiś Żabi Król z żelaznym Henrykiem do pary. Skarbów to w ludziach szukajcie, nie w rzeczce. Bo musicie przyznać, że tacy mieszkańcy to skarb sam w sobie: odwagi im staje i uporu w działaniu. Jak wtedy, gdy 18 lutego 1918 roku zmanifestowali swój sprzeciw wobec decyzji państw centralnych, które oddały ziemię chełmską Ukrainie. Gdzie ziemia chełmska, a gdzie Raclawice! A jednak, duch w narodzie nie ginie, więc należy do ducha strzelać, i do ciała zatem też, nawet do ciała pięciu, jak zrobił to podczas demonstracji pod kościołem pewien austriacki żołnierz, którego świerzbił karabin. Za karę przemienił się w obrzydliwą żabnicę i przepadł hadko wśród rozlogów, ziejąc siarką i mnąc pod mięsistym wyrostkiem na kształt haczykowatego nosa najstraszliwsze przekleństwa. Potem chyba gdzieś tam z zaświatów nadszedł na wieś epidemii tyfusu, a i epidemia ospy z 1915 roku to na pewno też jego sprawka. Mieszkańców chowano na cmentarzu parafialnym, austriackich żołnierzy w osobnych mogiłach, po łąkach i lasach. Na wzgórzu z Łysą Skałą do tej pory straszą jak upiór w operze ich widziadła w cesarsko-królewskich mundurach trącające się kuflami z pienistym napojem środkowoeuropejskich bogów.



↑ Szkoła w Raclawicach, fragment widokówki wydanej nakł. Edwarda Straussa, Krzeszowice, po 1906, Zakłady Reprodukcyjne „Akropol” Kraków. Biblioteka Narodowa, domena publiczna

No i szkoła, panie, panowie, kaganiec oświaty w wolnym kraju! Głód, karty chlebowe dla mieszkańców, rolnicy zakładają ruchy spółdzielcze, ale głód wiedzy wcale nie mniejszy! Wojna trwa jeszcze w najlepsze – choć właściwie wojna nigdy nie trwa w najlepsze, co najwyżej w najgorsze może – a rok szkolny 1917/1918 otwiera się zgodnie z planem. Zaświadczają o tym zachowane dzienniki lekcyjne sprzed stu lat, odporniejsze na wirusy niż współczesne dzienniki elektroniczne i inne platformy edukacyjne, unicestwiane byle pożarkiem w serwerowni. Skądinąd, w trzech domach, użyczonych na potrzeby szkoły, aż iskrzyło i dymiło od krzewienia polskości, nie mówiąc o krzewieniu tabliczki mnożenia i kolorowych plam zdobiących tę czy inną mapę; raczej inną, bo z mapami tak jest, że rzadko kiedy grzeszą nadmierną aktualnością. Jak donosiła „Kronika Powiatu Olkuskiego”, przy każdej okazji wpajano dzieciom „poczucie godności narodowej, zamięłowania do tradycji i przeszłości historycznej”. Starszym niby też wpajano, choć im to chyba nie było trzeba powtarzać dwa razy. 4 i 5 maja 1918 roku zorganizowano uroczystości z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja: „Uroczystość ta wycisnęła niezatarte piętno w sercach ludu”, donosi gazeta. Ba! Całe Raclawice deklamowały, słuchały, jednoczyły się. Tylko Kopciuszka nie było, bo zabalował.



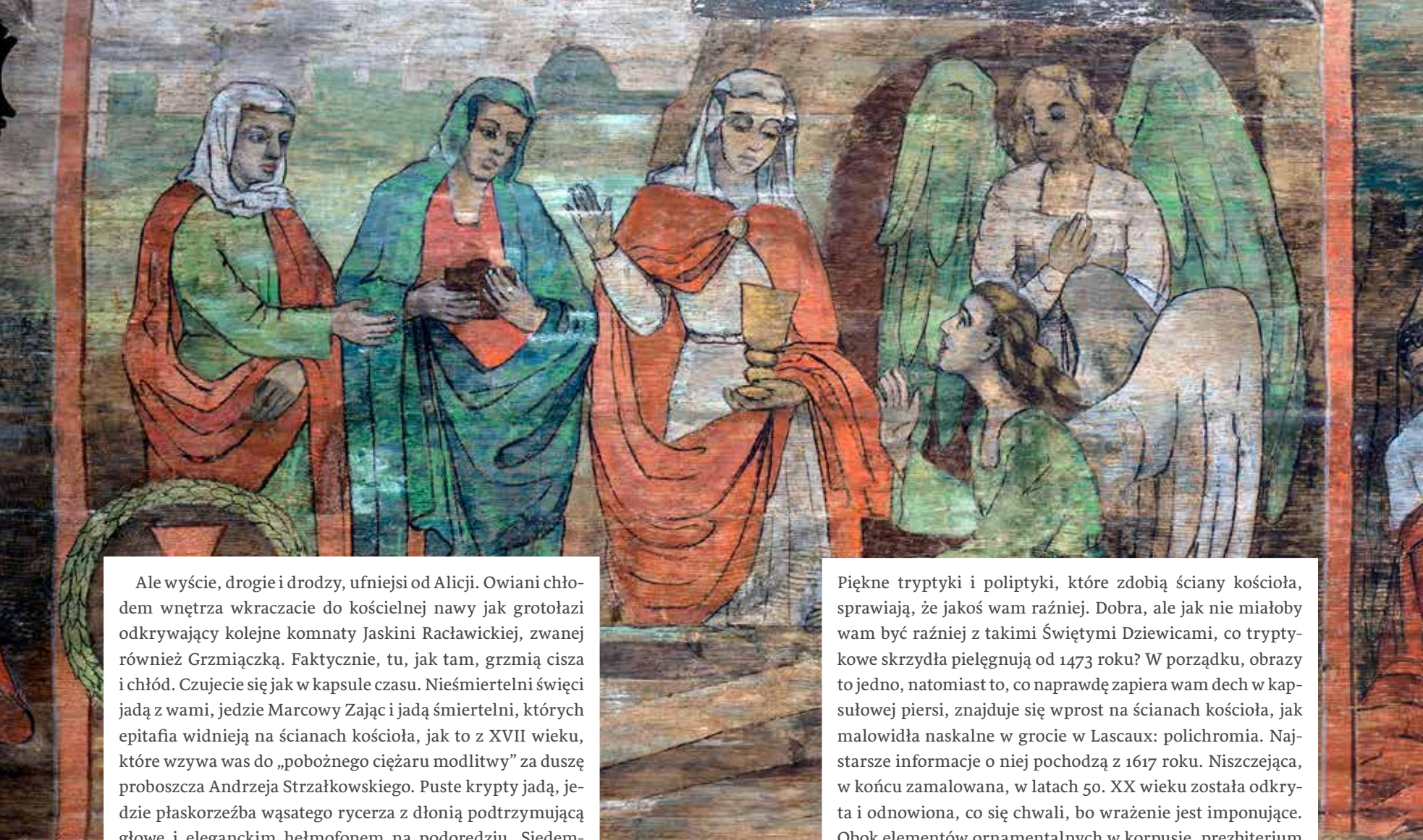
Pniecie się po ostrych ścianach skał – Markowej, Krzyżowej, Kozłowej, bo Powroźnikową znacie jak własną kieszeń – i opasani lonżami, z magnezją niczym święconą wodą za pasem, chwyt po chwycie zbliżacie się do strzelających słonecznymi promieniami niebios. I zacień czynicie, choć zacień jeszcze i równie dziarsko byłoby wspiąć się po innych zgoła stopniach z kamienia, stopniach kościelnych. Kiedy jurajskie rozleniwienie wśród reliktów kultury oryńskiackiej już wam przejdzie i dadzą wam spokój sosnowe duszki, stańcież twarzą w twarz z domkiem na kurzej stopce. No ale Baba Jaga! Dość już, nicponie: Babie Jadze bana wlepcie, nie nudźcie już, bo nie pora. Kiedy otworzycie zalepione żywicą oczy, ukaże się wam przepiękny drewniany kościół, zbudowany, jak wskazują wykonane w ostatnich latach badania drewna, najprawdopodobniej w 1516 roku. Późnogotycka świątynia uchowała się w prawie niezmiennionej architekturze, oparła się wichrom dziejów, zębom czasu, wezbranym wodom Czubrowki i to jest bajka prawdziwa, najprawdziwsza, bajka o patronacie, ha, matronacie raczej, Najświętszej Maryi Panny, roztoczonym ze wzgórza na całe Raławice, od Krupek

po Las Żarski. Kościół stoi, jak stał, stara wieża dzwonnicza stoi, jak stała, choć ona to nawet starsza i wcześniejszemu kościołowi pewnie służyła.

Konstrukcja kościoła w Raławicach została wzniesiona głównie z jedliny, starsza o ponad sto lat wieża jest dębowa. Cuda współczesnej dendrochronologii, pozwalające profesorowi Markowi Krąpcowi z AGH na stwierdzenie, że drewno jodłowe z korpusu kościoła pozyskano „w okresie przerwy wegetacyjnej od jesieni 1515 do wiosny 1516 AD. Wykorzystano również krótko sezonowane drewno z 1513 AD”, dorównują nieomal cudom artystycznego kunsztu, jakie skrywają ponad sześćsetletnie belki. Belki będące niezmierzonym dokumentem epoki: podczas jednej z renowacji odkryto imiona wyryte w drewnie w łacińskiej postaci. Przypuszcza się, że Martinus Iosephus Katakynski i Albertus to sygnatury budowniczych, którzy antycypowali swoje „tu byłem” pokrewnym „tu ryłem”. Belki to jedno, ale to, co obramowują, czego zazdrośnie strzegą przez ciekawskimi, zasługuje na odrębną opowieść. Alicjo, źle żeś zrobiła, pchając się do króliczej nory, wskazując w lustro jak do basenu w akwoparku. Widzisz, słodziutka: po drugiej stronie jodłowych belek roztoczyłaby się przed tobą kraina czarów nieporównywalnie czarowniejsza od wszystkich innych razem wziętych.



↑ Prezbiterium kościoła w Raławicach Olkuskich przed 1914 rokiem, fot. Kazimierz Broniewski. Ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie
→ Ołtarz Ukrzyżowania na ścianie północnej kościoła w Raławicach Olkuskich, przed 1914 rokiem, fot. Kazimierz Broniewski. Ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie



Ale wyście, drogie i drodzy, ufniejsi od Alicji. Owiani chłodem wnętrza wkraczacie do kościelnej nawy jak grotolazi odkrywający kolejne komnaty Jaskini Raclawickiej, zwanej również Grzmiączką. Faktycznie, tu, jak tam, grzmią cisza i chłód. Czujecie się jak w kapsule czasu. Nieśmiertelni święci jadą z wami, jedzie Marcowy Zając i jadą śmiertelni, których epitafia widnieją na ścianach kościoła, jak to z XVII wieku, które wzywa was do „pobożnego ciężaru modlitwy” za duszę proboszcza Andrzeja Strzałkowskiego. Puste krypty jadą, jedzie płaskorzeźba wąsatego rycerza z dłonią podtrzymującą głowę i eleganckim hełmofonem na podporędku. Siedemnastowieczne rzeźby Chrystusa na krzyżu też się zmieściły, podobnie jak późniejsze krzyże, świeczniki, relikwiarz i skarbona. Cztery barokowe ołtarze, w tym ołtarz główny z łaskami słynącym obrazem Matki Bożej z Dzieciątkiem z połowy XVII wieku, są jak dziób i rufy, jeśli waszą kapsułę można by nazwać okrętem. Skoro „nawa”, to okręt, nie może tu być pomyłki.

Drewniane figurki z lipowego drewna, pochodzące przypuszczalnie z wyposażenia poprzedniego kościoła, z wami nie jadą, bo siedzą sobie wygodnie w krakowskich muzeach.

Piękne tryptyki i poliptyki, które zdobią ściany kościoła, sprawiają, że jakoś wam rażniej. Dobra, ale jak nie miałyby wam być rażniej z takimi Świętymi Dziewicami, co tryptykowe skrzydła pielęgnują od 1473 roku? W porządku, obrazy to jedno, natomiast to, co naprawdę zapiera wam dech w kapsułowej piersi, znajduje się wprost na ścianach kościoła, jak malowidła naskalne w grocie w Lascaux: polichromia. Najstarsze informacje o niej pochodzą z 1617 roku. Niszcząc ją, w końcu zamalowana, w latach 50. XX wieku została odkryta i odnowiona, co się chwali, bo wrażenie jest imponujące. Obok elementów ornamentalnych w korpusie, prezbiterium oraz na cokole, zalecających się do was zielenią i rudością roślin i niby-geometrycznych deseni, kapsuła czasu pokryta jest malunkami figuralnymi. W prezbiterium oglądacie prawdziwie nowoczesny komiks. Bajkę w obrazkach, co przybyła do was z zaświatów. Sceny maryjne, portrety ewangelistów, sceny chrystologiczne, które zdobiją cały kościół – wszystkie zamknięte w prostokątne kwatery do złudzenia przypominające komiksowe okienka. Moglibyście podróżować wśród kolorowych malunków stąd do wieczności, ale nie ma co wpadać w zachwyty, bo skromność lepiej widziana jest

wszak od ostentacji, zwłaszcza w takim miejscu, nawet jeśli Kot z Cheshire miałby na ten temat inne zdanie.

Speleologiczne zacięcie każe wam spoglądać pod nogi w poszukiwaniu stalagmitów, ale żeby docenić to, co wyrasta ponad inne figury, musicie zadrzeć wzrok: pochodząca z czasu budowy kościoła Grupa Ukrzyżowania patrzy na was z belki biegnącej nad nawą główną. Chrystus, Matka Boska Bolesna, Maria Magdalena i Jan Ewangelista schronili się przed ziemskim przyciąganiem u sklepienia, skąd mają niezły ogląd na barwne dekoracje chóru i ambony. Kapsuła pędzi z nimi, pędzi z wami przez wieki i wcale nie chce się zatrzymać. Niemniej pamiętajcie, że do waszej dyspozycji pozostaje parę wyjść ewakuacyjnych, portali zwieńczonych „oślimi grzbietami”, zdobnymi obramieniami przypominającymi odwrócone złote nawiasy albo którąś z awangardowych kreacji Szalonego Kapelusznika. Hej, a może to raczej jedyny ząb Baby Jagi?

W końcu wychodzicie z grotty, z kapsuły, z krainy czarów i spod boskiego komiksu. Nic nie trwa wiecznie i wasza eskapada też dobiega końca. Na końcu takiej bajkowej opowieści zwykł się czaić morał. Omiatacie wzrokiem jurajski krajobraz, niespiesznie szperacie w skale. Czasami wydłubiecie jakąś pamiątkę po jednej czy drugiej wojnie, na kartofli-sku wykopiecie części radzieckiego czołgu, monety starej uświadczycie czy skorupy. Macie przecież niestrudzonych pasjonatów historii, którzy dbają o pamięć Raclawic i okolicznych sołectw, piszą książki, fotografują, gromadzą cenne zbiory. A jednak łapie was jakaś niesprecyzowana tęsknota za wolnością od morału. Chcielibyście bajki pachnącej żywicą, co się rozgrywa za górami, za lasami, hen, gdzieś pod jurajską pieczęcią z wapiennych ostańców. Marzyłby się wam król, marzyła królowa, a i paziem wszak byście nie pogardzili. Tak to jednak z bajkami bywa, że straszą bardziej niż żmudna rzeczywistość.





NA ZAPIECKU
PIEC KRĘGOWY W PŁAZIE

Chcielibyście żarliwej utopii, w której wszyscy żyją zgodnie niczym jedna wielka rodzina, razem pracują i odpoczywają, wyjadają pod kocem ciasteczka z blaszanych pudełek, wywijają na parkiecie, dokarmiają sarny i borsuki z lasu, uśmiechnięci machają z okien i „hodują oswojone godziny” (jako rzeczce wieszcz Herbert). Cóż. Z tym hodowaniem to jest tak, że niestety „jedna z tych godzin będzie twą ostatnią”, o czym przypomina wam jak walnięcie obuchem sentencja umieszczona pod zegarem w centrum Płazy. A w lesie to częściej niż na futrzaki możecie się natknąć na jakąś Czarną Chatę czy Czerwony Pokój. Nie miejcie złudzeń: życie to nie feeria wieczystych przyjemności w tropikalnym raju. Pięćset lat od wydania *Utopii* Thomasa More’a i ćwierć wieku od premiery *Miasteczka Twin Peaks* wiemy o tym aż nadto. Choć, Bogiem a prawdą, kiedy spacerujecie po Wapienniku, oddalonym zaledwie o parę chwil od płożańskiego chronometru firmy *memento mori*, sama wam się zatrząskuje napa nostalgii. Wystarczy, że zerkniecie na stary piec wapienniczy, wielgachny i grubaśny jak cielsko pletwala, ukryty pod drewnianą obudową jak pod pękającą w szwach derką, i już wam cieplej na sercu, w duszy goręcej.

Oczywiście, More by się obraził na twórców tej przemysłowo-rustykalnej arkadii. Gdzieżby mu do głowy przyszło stawianie pieca-pletwala w środku jurajskich lasów, ciągnięcie kolejowych torów rozczapierzonych jak linie życia, grzebanie w wapiennych skałach. Wszak męczarnie toto, znoje ponad ludzkie siły. Zachciało wam się pracować? To sobie najwyżej wydziergajcie wełniane pończochy, z kijkiem pogońcie po błotach. A tu, panie, inaczej myśleli: przy drodze z Chrzanowa – wiecie, tam, gdzie Kościelec i szpital – w stronę rozłożonej na pagórach Płazy i dalej, Wygiełzowa ze skansenem i Babic z zamkiem Lipowiec, nakreślono nowe osiedle. Miasto-ogród to brzmi dumnie, może to miano nieco na wyrost, mając w pamięci Podkowę Leśną, tarnowskie Mościce czy Giszowiec w Katowicach, ale bez wątpienia coś jest na rzeczy.



→ Na tle pieca kręgowego w Płazie, drugi od lewej inż. Władysław Detko, obok dyrektora Wapiennika Piotr Chrząścik, druga połowa lat 40. XX wieku. Własność Z. Chrząścika, kopia ze zbiorów S. Garlickiego



Pewne jest jedno: akcja toczy się pośrodku iglastego lasu Dębiechowa, pełnego dzików, grzybów i minerałów, w miejscu określanym jako „bezludne”, choć do końca bezludne to ono nie było, bo, gdy się przyjrzyć dziewiętnastowiecznym mapom, można wyczytać niemal zatarte kształty młyna wodnego, studni, a także owczarni. Ta ostatnia przetrwała nie tylko na obsypujących się kartach, lecz również w miejscowej legendzie. Mówi ona o wielkiej wodzie, która wcale nie miała zamiaru zapukać, za to raz-dwa zabrała wszystkie owce, wszystkich pasterzy i wszystkie zabudowania (ciekawe, czy zabrała by i lamy, gdyby lamy stróżowały przy owcach, jak to się dzieje w Australii czy obu Amerykach; a lamy, proszę państwa, pilnują bardzo uważnie i są agresywne wobec kojotów, hien, zatem niewykluczone, że byłyby również i wobec wielkiej wody, czym zmieniłyby losy tych okolic). W każdym razie prehistoria tego miejsca nie obfituje w nadmiar danych; poruszacie się po omacku, odcyfrowując symbole tajemnicze niczym wskazówki, którymi kierował się doppelgänger agenta Coopera. Jasne, że to nie Twin Peaks, Laury Palmer tu chyba nie widziano ani gadającego imbryka nadnaturalnej wielkości, Pieńkowej Damy raczej też nie. Tylko wilki (mówiło się tu o Wilczym Dole) i kopce graniczne między wsiami, które, z małym wyjątkiem pod Regulicami, do dzisiaj jednak nie przetrwały.

↑ Młyn w Płazie, druga połowa XIX wieku, rysunek Walerego Eljasza-Radzi-kowskiego. Archiwum Narodowe w Krakowie, B III 200 2
→ Reklama Wapiennika w Płazie z 1893 roku. „Czas”, nr 76

Tyle prehistoria z austriackich map i pism, tyle wspomnienia najstarszych obywateli. Właściwa przygoda zaczyna się, gdy zawieją z lekka zefiry wolności. Zefiry, dobre sobie, uśmiechacie się pod wąsem, wąsacze, tudzież tajemniczo, Giocondy, toż to rewolucja pełną gębą, pełną parą, buch-buch! Oto w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku powstaje pomysł założenia w lesie Dębiechowa kamieniołomu wapienia oraz postawienia pieca, w którym można by go ładnie wypalać. Skąd zainteresowanie akurat tym miejscem? Musicie wiedzieć, że Płaza i okolice Chrzanowa słynęły z odsłoneń kamienia wapiennego. Zachowało się tu sporo reliktowych łomów i lochów, rękodzielniczych wyrobisk surowca, w których koedukacyjnie spędzano upojne popołudnia, a gdzie teraz, niczym w sztucznych grotach, moszczą się salamandry i pohukujące duchy. Zachowały się nawet okoliczne ślady prymitywnych pieców wapiennych, oznaczonych na mapach jako K.O., co się tłumaczy wcale nie jako nokaut, wcale nie jako kaowiec, lecz jako Kalkofen, co akuratną niemczyzną rozwiewa wszelkie wątpliwości. Piec wapienny, proszę czytelników. Wprawdzie pierwsze piece i łomy powstawały parę kilometrów dalej, nie zmienia to jednak decyzji tuzów findesieclowego krakowskiego kapitalizmu: kamieniołom wapienia ma tu być i piec kręgowy tu ma stanąć, w akompaniamencie beczących z zaświatów owiec.





Józef Stanisław Retinger i Gustaw Baruch, do usług. Pierwszy z nich, doktor praw po Uniwersytecie Jagiellońskim, na przełomie wieków walnie dopomógł Morskiemu Oku w pozostaniu we władaniu Austriaków, a następnie Polaków – na niekorzyść Węgrów, którzy mieli chrapkę na tę, obecnie ledwie widoczną zza rzeszy ciekawskich wwożonych faśiagami, perłę w koronie Tatr. Syn, Józef Hieronim Retinger, robi karierę na warszawskich salonach jako przyboczny premiera i naczelnego wodza Rzeczypospolitej Władysława Sikorskiego, ale kariera Wapiennika to dzieło Józefa Stanisława, który w 1890 roku nabywa drogą kupna dobra ziemskie w Płazie i puszcza w ruch wapienniczą maszynę. Swoją drogą, nie może jej zbyt długo doglądać, w 1897 roku opuszcza bowiem ziemskie padoły. Gustaw Baruch natomiast to znany krakowski – zaraz, poprawnie powiedzieć: podgórski – przedsiębiorca, właściciel cegielni i kaflarni, a także pierwszej piekarni parowej w Podgórzu. Do tego wieloletni radny Podgórza, postać podówczas szanowana i lubiana. Panowie w trymiga zadzierzgują wspólny interes: dobra Retingera, z Dębichową i okolicznymi wzgórzami na czele, okazują się łąkowym kąskiem dla obrotnych biznesmenów doby przemysłowego boomu. Coś, co wydawałoby się utopią, zamienia



się w najbardziej rzeczywistą z rzeczywistości, bo rzeczywistości macie na pęczki, a przecież niektóre, jak ta z Czarnej Chaty, nie mają do zaoferowania nic poza drzewem o mięsnych głowach, twierdzącym, że jest ramieniem.

Opracowania geologiczne nie mogą kłamać. Macie do czynienia z górą „89 morgów wynoszącą, na kilka pięter wysoką, zawierającą pierwotny kamień wapienny tak zwany muszlowy”, no i już zacieracie ręce, „że ten kamień kwalifikuje się do produkcji wapna, jak żaden inny, a mianowicie żaden z okolic Krakowa”, jak donosiło w późniejszej relacji „Czasopismo Towarzystwa Technicznego Krakowskiego” (numer z 1892 roku). Dalej, przygodo! Wapień pierwsza klasa, nic, tylko kopać i wypalać: 13 maja 1890 roku zostaje wmurowany i poświęcony kamień węgielny pod budowę zakładu – kamieniołomu, pieca i całej potrzebnej infrastruktury wraz z kolejnymi przedsięwzięciami, w tym osadzonym w zieleni osiedlem mieszkalnym dla administracji i pracowników fizycznych. To już nie „miejsce bezludne w lesie”, to dumny Wapiennik.

↑ Józef Stanisław Retinger, fotografia wykonana pod koniec XIX wieku. Archiwum Narodowe w Krakowie

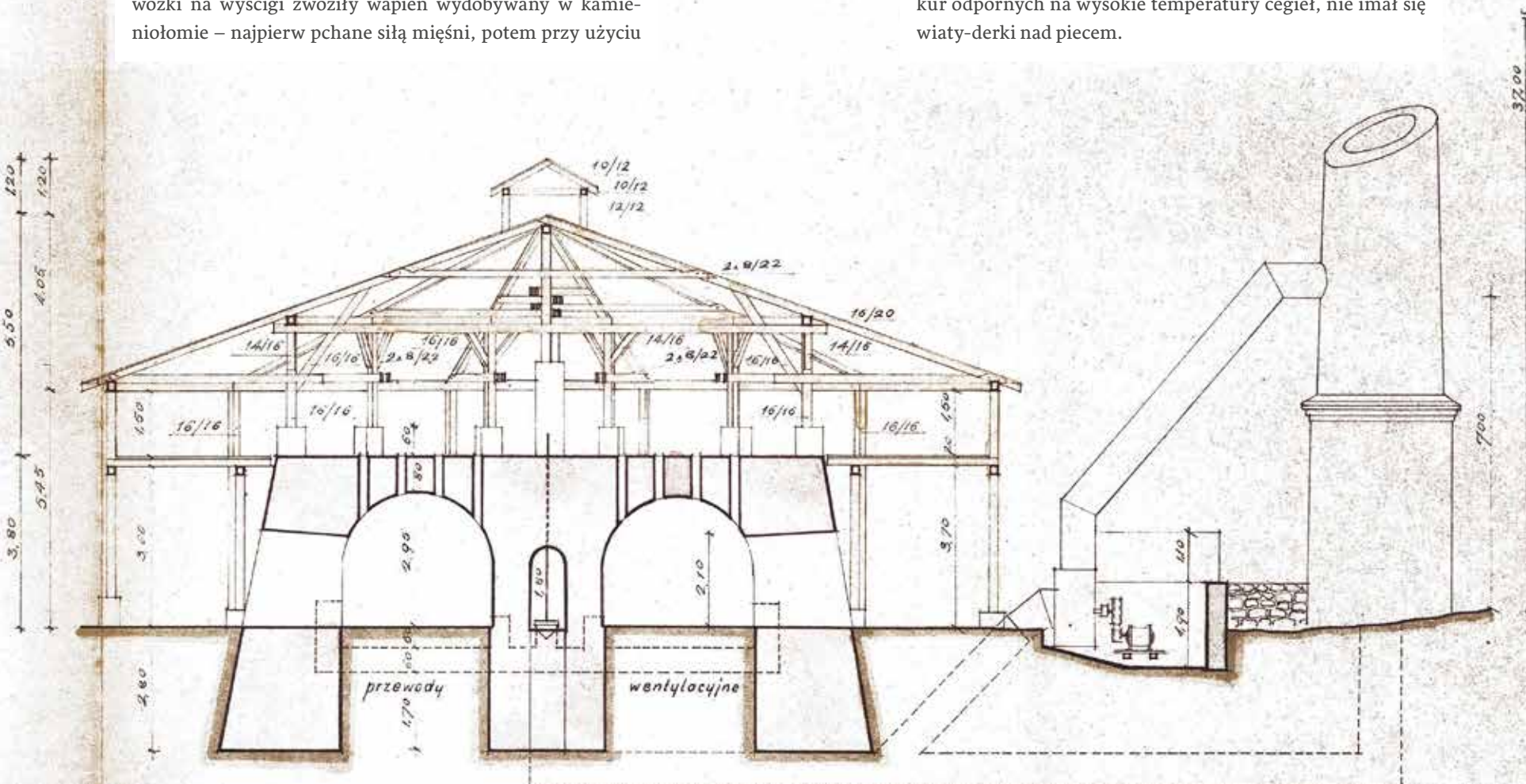
↑ Adam Boznański z córką Olgą, przed 1906. Ze zbiorów Polskiej Akademii Umiejętności, PAUart, domena publiczna

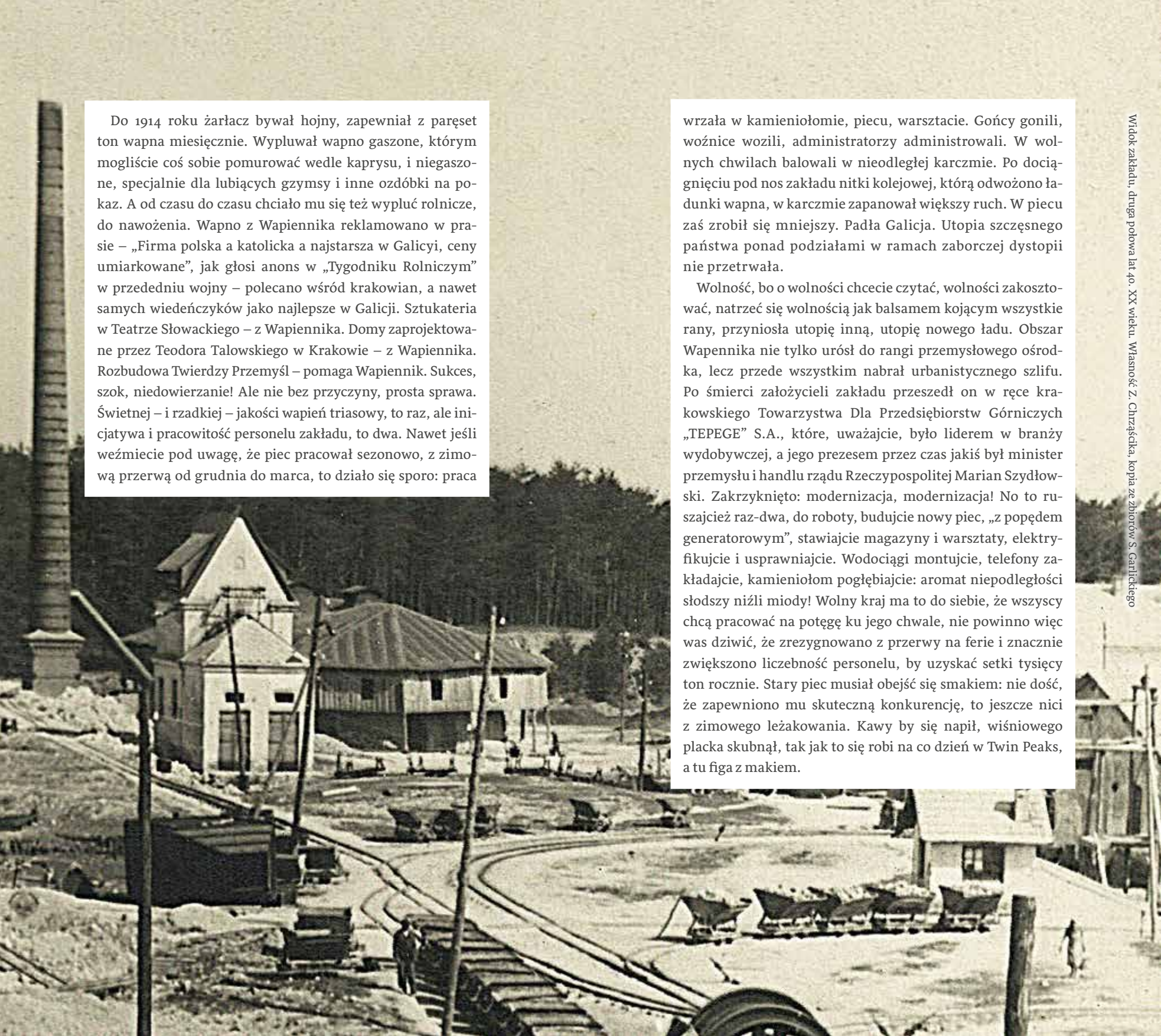
Pamiętacie czołówkę Lynchowego serialu? Przemysłowe gmaszyska pośrodku niekończących się puszczy. A więc jednak. Laury Palmer brak, ale mimo to możemy się poczuć niczym w polskim Twin Peaks, i to w przededniu rewolucji. Bezdiskusyjnie rewolucyjny piec stał się duszą Wapiennika. Zbudowany w kilka miesięcy przez ekipę, którą dowodził inżynier Adam Boznański, ojciec Olgi, jednej z najwybitniejszych polskich malarek, w mig przyciąga oko obłym cieliskiem. Ale rewolucyjny zapał pieca nie polega li tylko na charakterystycznym kształcie; to nowatorska dla galicyjskich tradycji pieców polowych technika czyni go tak zacnym. Opatentowany przez niemieckiego konstruktora Fryderyka Hoffmanna piec kręgowy różnił się od starych modeli tym, że kamień sypano nie od góry, lecz wkładano go od dołu, wprost do komór ciągnących się po obwodzie budowli.

Tak samo wyglądało to w sercu Wapiennika. Żelazne wózki na wyścigi zwoziły wapień wydobywany w kamieniołomie – najpierw pchane siłą mięśni, potem przy użyciu

stale wydłużanego systemu szyn. Wiecznie głodne komory pieca (sztuk szesnaście) pożerały kolejne porcje kamienia, po czym zamurowywano je i przez wąskie otwory wrzucano od góry – z wysokości pierwszego piętra – węgiel lub koks, który wjeżdżał tak wysoko po sprytnie wykombinowanych pochylniach. Gorące powietrze cyrkulowało po obwodzie, rażąc żarem kolejne komory z wapieniem. Potem wybierano wypalone wapno. Specjalne kominy odprowadzały dym spalin. Cykl załadunku i wyładunku kamienia dla jednej komory trwał okrągłe dziesięć dni. No, nie każdy ma lekko. W trzech słowach: krew, pot i łzy. Wyobraźcie sobie atle-tów pracujących w straszliwym ukropie, spacerujących tam i z powrotem ponad piekielnymi czeluszciami żarłacza nad żarłaczami, upychającego mu do przetyku węglowe posiłki, którzy muszą mieć na nogach drewniane trepy z grubymi koturnami, by się ich kur czerwony nie imał. Nie imał się kur odpornych na wysokie temperatury cegieł, nie imał się wiaty-derki nad piecem.

Przekrój pionowy pieca typu Hoffmann, 1949, Z Archiwum Zakładowego Wapiennika, kopia ze zbiorów S. Garlickiego





Do 1914 roku żarłacz bywał hojny, zapewniał z paręset ton wapna miesięcznie. Wypluwał wapno gaszone, którym mogliście coś sobie pomurować wedle kaprysu, i niegaszone, specjalnie dla lubiących gzymsy i inne ozdóbki na pokaz. A od czasu do czasu chciało mu się też wypłuć rolnicze, do nawożenia. Wapno z Wapiennika reklamowano w prasie – „Firma polska a katolicka a najstarsza w Galicyi, ceny umiarkowane”, jak głosi anons w „Tygodniku Rolniczym” w przededniu wojny – polecano wśród krakowian, a nawet samych wiedeńczyków jako najlepsze w Galicji. Sztukateria w Teatrze Słowackiego – z Wapiennika. Domy zaprojektowane przez Teodora Talowskiego w Krakowie – z Wapiennika. Rozbudowa Twierdzy Przemyśl – pomaga Wapiennik. Sukces, szok, niedowierzanie! Ale nie bez przyczyny, prosta sprawa. Świetnej – i rzadkiej – jakości wapień triasowy, to raz, ale inicjatywa i pracowitość personelu zakładu, to dwa. Nawet jeśli weźmiecie pod uwagę, że piec pracował sezonowo, z zimą przerwą od grudnia do marca, to działa się sporo: praca

wrzała w kamieniołomie, piecu, warsztacie. Gońcy gonili, woźnice wozili, administratorzy administrowali. W wolnych chwilach balowali w nieodległej karczmie. Po dociągnięciu pod nos zakładu nitki kolejowej, którą odwożono ładunki wapna, w karczmie zapanował większy ruch. W piecu zaś zrobił się mniejszy. Padła Galicja. Utopia szczęsnego państwa ponad podziałami w ramach zaborczej dystopii nie przetrwała.

Wolność, bo o wolności chcecie czytać, wolności zakosztować, natrzeć się wolnością jak balsamem kojącym wszystkie rany, przyniosła utopię inną, utopię nowego ładu. Obszar Wapiennika nie tylko urósł do rangi przemysłowego ośrodka, lecz przede wszystkim nabrał urbanistycznego szlif. Po śmierci założycieli zakładu przeszedł on w ręce krakowskiego Towarzystwa Dla Przedsiębiorstw Górniczych „TEPEGE” S.A., które, uważajcie, było liderem w branży wydobywczej, a jego prezesem przez czas jakiś był minister przemysłu i handlu rządu Rzeczypospolitej Marian Szydlowski. Zakrzyknięto: modernizacja, modernizacja! No to ruszajcież raz-dwa, do roboty, budujcie nowy piec, „z popędem generatorowym”, stawiajcie magazyny i warsztaty, elektryfikujcie i usprawniajcie. Wodociągi montujcie, telefony zakładajcie, kamieniołom pogłębiajcie: aromat niepodległości słodszy niżli miody! Wolny kraj ma to do siebie, że wszyscy chcą pracować na potęgę ku jego chwale, nie powinno więc was dziwić, że zrezygnowano z przerwy na ferie i znacznie zwiększono liczebność personelu, by uzyskać setki tysięcy ton rocznie. Stary piec musiał obejść się smakiem: nie dość, że zapewniono mu skuteczną konkurencję, to jeszcze nici z zimowego leżakowania. Kawy by się napił, wiśniowego placka skubnął, tak jak to się robi na co dzień w Twin Peaks, a tu figa z makiem.



Okres prosperity przypada na lata dwudzieste, wszyscy noszą głowy wysoko, przechadzają się w rytm pomruków pieca po ogrodach zielonego osiedla, mijając eleganckie dwupiętrowe kamienice z narożnymi wieżyczkami i schludne budynki pracownicze. Wille wzorowane na renesansowych pyszniły się zdobieniami czy loggiami i wyznaczały oś spacerowych alejek i skwerów. Główna droga przebiegająca przez Wapiennik była ubitym traktem, z mizernym ruchem, co wykorzystywano do szaleńczych zjazdów na nartach i sankach. Działała kantyna ze słoniną, chlebem i kawą, w przydomowych ogródkach uprawiano kolorowe rośliny. Kolejni chętni do pracy zjeżdżają z całej Małopolski. Wapiennik tętni życiem, co jakiś czas zagląda nawet Jan Naturski, przez pewien czas dyrektor TEPEGE i inicjator rozbudowy Wapiennika, szpanując swoim cadillakiem. Jedna bajka, macie na końcu języka i tężejcie w zachwycie.

Ale potem jest jak we wszystkich historiach rodem z oleodrukowych wizerunków amerykańskich miasteczek w stylu tego z Blue Velvet: w gęstej trawie piszczy spleciony w obślizgłym uścisku tłum robali. Karta się odwraca. Ogólnoświatowy kryzys powoduje, że zapotrzebowanie na wapno spada. Dopiero co postawiony piec szybowy zostaje rozebrany i odnajduje swoje przeznaczenie jako ceglany budulec na kościół w podchrzanowskim Balinie. Wypał powoli zamiera: idzie wojna – która da trochę zarobić, ale to zupełnie inne opowiadanie – i sprawy mają się ciut inaczej. Zamiast swojskiego Wapiennika zobaczylibyście niemiecki Kalkwerk i nie byłoby to tym samym, co w swoim spektaklu wyczytał z Thomasa Bernharda Krystian Lupa. Historia niepodległych zakładów

wapienniczych dobiega końca, choć przecież odrodzi się parę lat później i to w okolicznościach nad wyraz fortunnych, zapewniając piecowi kręgowemu zakosztowanie złotego wieku, aż po przejście na zasłużoną emeryturę w 1963 roku. Zgoda, ale będzie to już inny kraj, wolny, ale i zniewolony zarazem, o czym wicie i do czego wracać chyba potrzeby nie macie.

Więc czym prędzej przenosicie się do piecowego tu i teraz, zacierając dłonie, bo zimno. Wędrujecie korytarzami nieczynnego pieca jak zamkowymi lochami. Uważajcie tylko, żeby ktoś z przyzwyczajenia was nie zamurował. Nie, co pan gadasz, panie, przecież tu nie ma nikogo – ledwie jakiś gumofilc, butelka jakaś, nikłe wspomnienia dyskotek urządzanych w przyzakładowej świetlicy, spektakli przygotowywanych przez pracowników, którzy zamiast leżeć po fajrancie do góry brzuchem, woleli zakładać peruki i wystawiać Fredrę, lub koncertów dającej czału grupy Calcium, Bitelsów z Wapiennika. Niby nikogo nie ma, a legowisko lisa jest. Urządził sobie misterne gniazdo ze słomy tu, gdzie kiedyś żar nie przestawał rządzić choćby na moment. Podobnie na pierwszym piętrze, gdzie wśród zapomnianych archiwów zakładu i zakurzonych mebli stoją dostojne meble. Poza tym trochę rupieci i ptaków. Całość wygląda jak arendowana przez Woodsmanów stacja benzynowa z przyległościami, gdzie, jak to w onirycznej logice Lyncha, mieszczą się inne światy z drewna i zużytych ustrojstw.



↑ Zakładowe budynki mieszkalne nr 33 i 35 (drugi już nieistniejący), lata 40. XX wieku. Własność Z. Chrzęścika, kopia ze zbiorów S. Garlickiego
→ Zespół mandolinistów przy zakładzie w Wapienniku, koniec lat 50. XX wieku. Ze zbiorów S. Garlickiego

Nie zostało wiele z ogrodu. Ani z kamienic, zniszczonych w czasie renowacji. Ducha starego Wapiennika szukajcie na zapiecku, u Stanisława Garlickiego, rodem z Wapiennika, który na drugim piętrze swojego domu prowadzi muzeum przechowujące pamięć o osiedlu i zakładzie, gdzie pracowali jego rodzice i dziadkowie. Rodzinne historie was łapią za serce, bez pudła. Ale też ronicie łezkę nad wielorybami wyrzucanymi raz na czas przez fale niegościnnego oceanu. Urońcie zatem i nad cielskiem pieca kręgowego typu Hoffmann, śpiącym kamiennym snem w Wapienniku. Chcielibyście żarliwej utopii, w której wszyscy żyją zgodnie niczym jedna wielka rodzina, razem pracują i odpoczywają, wyjadają pod kocem ciasteczka z blaszanych pudełek, wywijają na parkiecie, dokarmiają sarny i borsuki z lasu, uśmiechnięci machają z okien i „hodują oswojone godziny” (jako rzecz wieszcz Herbert). Cóż. Z tym hodowaniem to jest tak, że niestety „jedna z tych godzin będzie twą ostatnią”, o czym przypomina wam jak walnięcie obuchem sentencja umieszczona pod zegarem w centrum Plazy.



Czyn społeczny na terenie Wapiennika, obok budynku portierni, lata 60.–70. XX wieku.
Własność E. Łętyk, kopia ze zbiorów S. Garlickiego



BAKCYLE POSTĘPU
KAMIENICA BUJWIDÓW
W KRAKOWIE



Chcielibyście historii miłosnej, prawdziwego romansu, co pąsem wam rozmasuje policzki, romansu krakowskiego, z wyższych sfer i o nobliwym zapleczu, z mieszczańskim tłem, z polityką u boku, z zazdrością i medycyną podążającymi w ślad za kolejnym sukcesem. Romansu w świetle latarni na Plantach, ale i pełnego niedopowiedzeń ukrywanych w dygestoriach. Romansu, który rozsadza gorsety konserwatywnych gustów i cylindry norm społecznych, choć w konserwatywnej ramie jest zamknięty. Który zamiast szalonych zwrotów akcji i namiętności kipiących z retort wybiera rodzinne zacisze. A przecież zmienia bezpowrotnie sposoby postrzegania kobiet w życiu publicznym i toruje im drogę w ostępach patriarchy, mimo że sam prywatnemu szczęściu nie pozwala o patriarchalnych złogach zapomnieć. No i to, co lubicie najbardziej: protagonistami są bowiem nie celebryci z bożej łaski, lecz pełnokrwisci bohaterowie o mocnych charakterach, wyprzedzający swoją epokę tężyzną intelektu i bakcylem postępu.

Historie miłosne to mają do siebie, że streścić w paru zdaniach ich nie streścicie. Nie mówiąc o takich, które owocują tyloma odkryciami, książkami, pracami, zasługami, że nie zmieścilibyście ich nawet w czeluściach dziury budżetowej. Historia Odon Bujwida i Kazimiery Bujwidowej z domu Klimontowicz to właśnie taka historia: nowoczesna *par excellence*, wielkoformatowa i zasługująca na wiele więcej niż skromna, choć wspaniale położona i zabudowana, uliczka na Grzegórkach, której patronem jest on; ona zaś nie doczekała się choćby zaułka, skweru choćby bądź w parku alejki. Miasto, jeśli myślicie o parytecie w doborze autorytetów dla obywateli, nierychliwe. Wciąż nobliwi panowie w surdutach mają się o niebo lepiej niż rewolucyjnie nastawione panie i panny, nawet jeśli ich wkład w rozwój miasta równie ważki i dyskusjom niepodlegający. A może w tym szkopuł, że podlegający? Może raz na czas warto, wiecie sami dobrze, odsłonić historie obrośnięte kurzem, patyną czasu okryte, przyklepane niby-konsensusem i śpiące w dobrotliwych legendach jak niedźwiedzie w gawrach?

Odon Bujwid w słomkowym kapeluszu z psem, ok. 1900. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida

Kiedy przechadzacie się przez włości Wesołej, tej części Krakowa, którą zbyt często omiatacie wzrokiem jako nie dość ciekawą, nie bójmy się słów, po macoszemu traktujecie, bo jest dla was zapowiedzią jedynie, trailerem metropolitalnej wielkości objętej zielono-gawronim uściskiem Plant, po kiego diabła zwalniać kroku przy ulicy Kopernika, rozglądać się po ululanych kamienicach przy Ariańskiej czy Topolowej, przy Rakowickiej, usianej krostkami sklepików i restauracyjek, przystawać w zadumie? Ech, miłe, ach, mili, srodze grzeszycie. Nie chcecie pograsować sobie z braćmi kurkowymi po Parku Strzeleckim, eksmuzeum Lenina w Pałacu



Mańkowskich budzi w was awersję częściej niż słuszne zaciekawienie, baron Götz-Okocimski chlipie w zaświatach, bo twierdzicie, że Browar Kraków z pałacikiem, słodownią i innymi dobrociami sztuki i techniki nie wart waszej uwagi, o licznie gnieźdzących się w okolicy kościołach, Ogrodzie Botanicznym i klinikach Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego nie wspominając, bo tam mór, choć przecież i wiewiórki przynoszące pacjentom orzeszkowe antybiotyki, i dzięcioły zielone starannie wydłubujące smakołyki z mrowisk, i paru mięsistych biegaczy w obcisłych porcietach, przemierzających zakamarki Wesołej, by dobrze zrobić rzeźbie swych spoconych ciał.



I nawet gdy na szalę rzucić fakt niezbywalny, węgielny kamień waszej stołeczno-królewskiej tożsamości, a mianowicie to, żeście z Wesołej wszak rodem, albowiem matki i ojcowie witali was na świecie w gmachu przy ulicy Kopernika, to jakże chętnie to wypieracie i jadąc tramwajem arterią tutejszą, ulicą Lubicz, odwracacie wzrok od tego, co po lewej, tego, co po prawej, dążąc w swoich myślach ku wypucowanej płycie Rynku. Lubicz to zresztą odpowiednie miejsce na początek wielu historii, także miłosnych, także tej z małżonkami Bujwidami w rolach głównych. Może i tak, choć zgrzebnie i szaro jakoś, myślicie, przez nieuwagę łypiąc na otoczone wysokim płotem suche polacie krzaczysk i badyli na działce dogorywającej przy Lubicz 36. Nie pamiętacie, a szkoda, że od ostatnich dekad XIX wieku przed waszymi antenatami roztaczały się tutaj, na prośbę hrabiego Piotra Moszyńskiego zaaranżowane przez mistrza ogrodnictwa z Opolszczyzny, imię Karola Freegego, eleganckie ogrody ze szklarniami, inspektami i wielobarwną roślinnością. Ale to nie ten fakt powinien was zaintrygować najłatwiej.

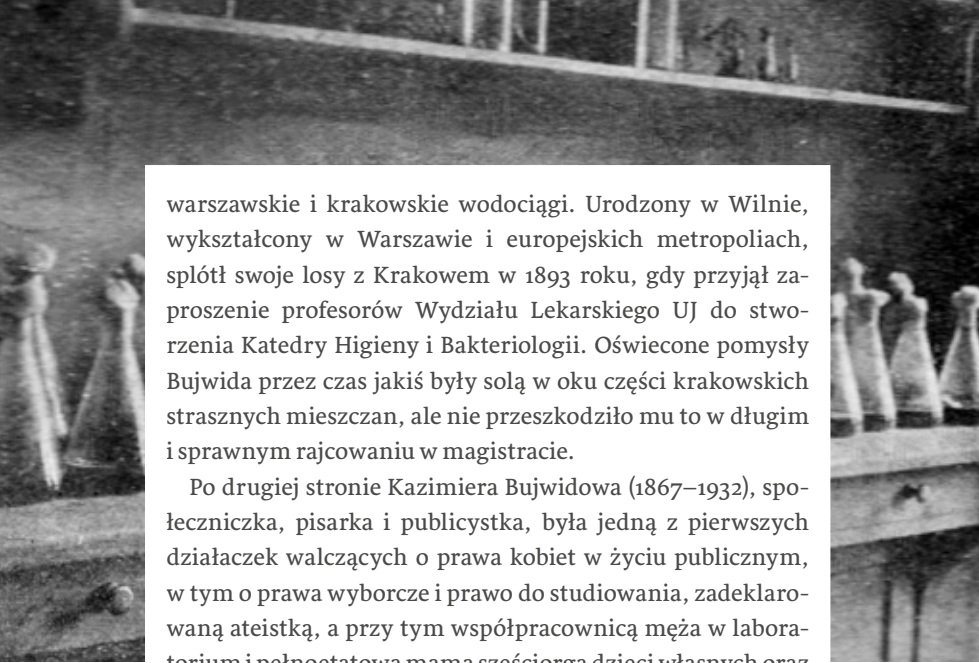
O dawną świetność Ogródów Freegego opiera się bowiem, od strony przystanku tramwajowego blisko ujęcia ulicy Rakowickiej, kamienica pod numerem 34, na którą pies z kulawą nogą mógłby nie mrugnąć, bo w marazmie zatopiona i smogach pyrkającego ruchu ulicznego, który chwilami w bezruch się przemienia, pyrkając wtedy zresztą jeszcze intensywniej. Przystańcie, wysiądźcie z pojazdu komunikacji miejskiej, zanim dotrze do zatłoczonego Dworca Głównego, spróbujcie dostrzec walory bycia pomiędzy – pomiędzy węzłowymi punktami przesiadkowymi

znaczonymi komercją i reklamową nijakością, pomiędzy wartkimi potokami pseudonowoczesności, pomiędzy Bardzo Ważnymi Celami i Projektami Waszego Życia. Zatopcie się w nowoczesność prawdziwą, wkraczając w meandry historii ukrywającej się za nieśmiałą tabliczką „Muzeum Odon Bujwida”. I porzućcie wszelkie nadzieje na szybkie wyjście; historie miłosne takie jak ta są zbyt skomplikowane, by machnąć na nie pletwą, tu trzeba odzyskać w sobie hart ducha i odświeżyć ambicje archeologiczne. To nie historia-muzeum, to historia-skarbiec z numizmatyczną, biblioteczną i medyczną kolekcją oraz szafami, kredensami i półkami pełnymi łapiących za serce zwrotów akcji.

Takie historie zaczynają się od iście encyklopedycznych notek, które być może mają swoje plusy. Jednak rozchodzi się o to, aby, jak mawiał klasyk, te plusy nie przysłoniły wam minusów. Innymi słowy: nie wahajcie się zaglądać pod kanapy i stoły, obwąchujcie każdą gablotę i szufladkę, nie prześlępcie kartki najcieńszej i byle znaczka z oberwanymi ząbkami. Po jednej stronie Odon – lub jeśli wolicie, Odo, bo i taką formę znajdziecie w użyciu – Bujwid (1857–1942), pionier bakteriiologii, profilaktyki lecznictwa, higieny i badań nad żywnością, uczeń Roberta Kocha i Ludwika Pasteura, twórca pierwszych w Kongresówce zakładów badań nad wścieklizną i cholera. Oprócz pracy naukowej poświęcał się działalności społecznej i politycznej. Propagował wychowanie fizyczne jako przedmiot szkolny, kształtował prawidłowe nawyki młodzieży (kiedy wam mama mówi, żebyście się na garbili, to wiedźcie, że mówi to za nauką Odon Bujwida), współzakładał



↑ Helena powozi, za nią siedzi Kazimiera i Zofia, towarzyszy im ktoś z dzieci, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida
→ Kazimiera Bujwidowa z przyjaciółmi, lata 80. XIX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida



warszawskie i krakowskie wodociągi. Urodzony w Wilnie, wykształcony w Warszawie i europejskich metropoliach, splótł swoje losy z Krakowem w 1893 roku, gdy przyjął zaproszenie profesorów Wydziału Lekarskiego UJ do stworzenia Katedry Higieny i Bakteriologii. Oświecone pomysły Bujwida przez czas jakiś były solą w oku części krakowskich strasznych mieszczan, ale nie przeszkodziło mu to w długim i sprawnym rajcowaniu w magistracie.

Po drugiej stronie Kazimiera Bujwidowa (1867–1932), społeczniczka, pisarka i publicystka, była jedną z pierwszych działaczek walczących o prawa kobiet w życiu publicznym, w tym o prawa wyborcze i prawo do studiowania, zadeklarowaną ateistką, a przy tym współpracownicą męża w laboratorium i pełnoetatową mamą sześciorga dzieci własnych oraz jeszcze kilkorga osieroconych przez przyjaciół. Warszawianka z rodziny o litewskich korzeniach (zresztą rodzina Odon także pochodziła z Litwy), w latach 80. i 90. XIX wieku była zaangażowana w działalność Uniwersytetu Latającego, konspiracyjnego ruchu samokształceniowego dla kobiet, które nie miały możliwości odbywania studiów uniwersyteckich. Ukończyła kursy w dziedzinie nauk biologicznych jako jedna z najzdolniejszych, obok Marii Skłodowskiej-Curie czy Marii Gorzechowskiej, uczennic. Wyszła za Odon Bujwida w 1886 roku i wraz z mężem przeniosła się do Krakowa, gdzie nie tylko pomagała mu w działalności naukowej i eksperymentalnej, ale – będąc twardą i odważną kobietą wśród, co tu kryć, wielu zacofanych i szowinistycznie ukierunkowanych samców – zdołała nie małym kosztem wyrąbać miastu ścieżkę równouprawnienia.



Encyklopedia nie kłamie: dwie mocne indywidualności, powiecie, i ja wam przyklasnę. Tacy, co osiągnięciami niepodważalnymi mogą się pochwalić, trudno się godzą na co dzień, sarkniecie, i pewnie żdziebko racji będzie i w tym sądzie, choć bez twórczego napięcia dobra historia miłosna byłaby płaska jak naleśnik. Albo jak płytką z preparatem. A takich płytek w krakowskim laboratorium Bujwidów było na kopy. W Zakładach Produkcji Surowic i Szczepionek, otwartych w 1894 roku właśnie tu, przy Lubicz 34, pracy nie brakowało: surowica przeciwbłonicza i szczepionki przeciw wściekliznie czy durowi brzuszemu to nie żarty, tuberkulina – białko uzyskiwane z hodowli prątka gruźlicy – trwalsza niż pomnik ze spiżu. Zresztą rezultaty badań możecie oglądać do teraz w masywnych szafach i dygestoriach; trafić wam się może choćby plwocina Adama Asnyka, pobrana 9 czerwca 1897 roku. Skądinąd Asnyk pojawiał się u Bujwidów często już w okresie warszawskim, podobnie jak inni wielcy tych czasów, Konopnicka czy Skłodowska; teraz dołącza do nich postępowo nastawiona młodzież Krakowa i okolic. Wśród niej – córki i synowie Odon i Kazimiera (Kazimiera, Zofia, Jadwiga, Stanisław, Helena i Jan).

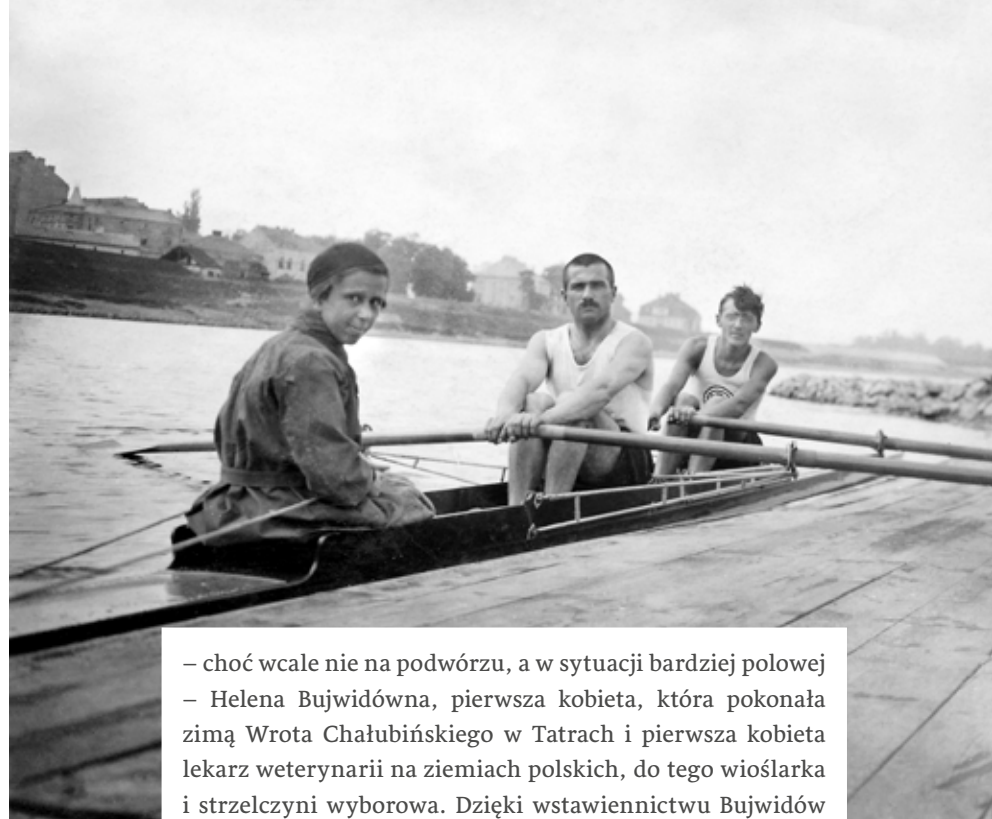
Trudno orzec, czy miłość wśród prątków i pałeczek kwitnie równie dziarsko co bakterie, ale jednego możecie być pewni: u progu nowego wieku, w przedsionku niepodległości, dom Bujwidów to centrum wszechświata; *axis mundi* znajduje się na Wesolej. Oczywiście wszechświata oświeconego,



← Odon Bujwid i jego asystenci przy koniu szczepnym, na stole aparatura medyczna, 1914. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida

↑ Jadwiga, Helena, Zofia Bujwidówny ze Stefanią Sempołowską, nauczycielką i działaczką oświatową, lata 1914–1918. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida

bez którego dzisiejsze swobody i ulgi byłyby wciąż podobne fatamorganie. Wolność, panie i panowie, smakowałyaby co najwyżej jak zgniły arbuz, gdyby nie idee rotariańskie, krzewione przez Odonę, gdyby nie propagowanie języka esperanto, stworzonego przez jego szkolnego kompana Ludwika Zamenhofa, gdyby nie wiele decyzji, działań, pomysłów na unowocześnienie życia współobywateli nadwiślańskiej metropolii. Patrzcież na ściany: wyobraźcie sobie wiszący tu portret profesora Bujwida pędzla Józefa Mehoffera, wykonany przez artystę węglem w sierpniu 1914 roku, tuż po wymarszu Kompanii Kadrowej. Bujwidowie dokładają do odzyskania niepodległości nie skromną cegielkę, dajcie spokój, a cały wagon cegieł, cegieł i pustaków hałdy. Zakłady produkują gigantyczne ilości szczepionek przeciw czerwonce i cholerze. Na podwórzu kamienicy, na które zaglądacie i rzutujecie sobie obrazy sprzed stulecia, odbywają się masowe szczepienia żołnierzy, także jeńców wojennych, w których bierze udział cała rodzina Bujwidów. Skądinąd na jednej z fotografii w mieszkaniu-muzeum żołnierza rosyjskiego szczeni-



– choć wcale nie na podwórzu, a w sytuacji bardziej polowej – Helena Bujwidówna, pierwsza kobieta, która pokonała zimą Wrota Chałubińskiego w Tatrach i pierwsza kobieta lekarz weterynarii na ziemiach polskich, do tego wioślarka i strzelczyni wyborowa. Dzięki wstawiennictwu Bujwidów z wojennej zawieruchy udaje się wyciągnąć kwiat polskiej nauki, w tym Rudolfa Weigla, autora szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, czy Władysława Szafera, słynnego botanika i rektora UJ.

Wiele. Ale to i tak nic w porównaniu z pracą u podstaw, jaką w pierwszych dekadach minionego stulecia wykonała Kazimiera. Współtworzyła program galicyjskiego Towarzystwa Szkół Ludowych, organizacji dbającej o rozwój oświaty wśród ludu, założyła czytelnice dla kobiet i młodzieży, doprowadziła do otwarcia pierwszego na ziemiach polskich gimnazjum dla dziewcząt z programem, wymogami i statusem edukacyjnym równymi gimnazjom męskim, a także do usankcjonowania prawa do studiów dla kobiet na przełomie wieków, a następnie – do równouprawnienia studentów i studentek. Działała na forum galicyjskim i krakowskim, angażowała się w kampanię wyborczą Marii Dulębianki, pierwszej kobiety kandydującej do Sejmu Krajowego. Wystąpiła z Kościoła i jawnie krytykowała wpływy duchownych na codzienne życie miasta, co powodowało liczne konflikty z otoczeniem. Mało wam?

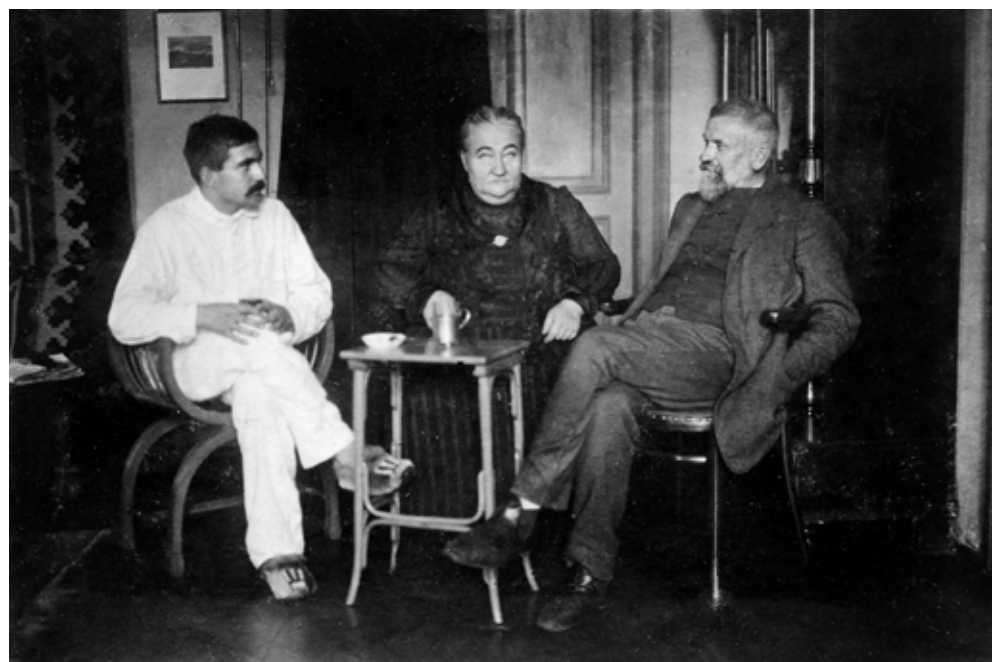
← Helena Bujwidówna na koniu na podwórzu kamienicy przy ul. Lubicz, ok. 1918. Ze zbiorów Muzeum im. Odonę Bujwidę
 ↑ Jan Bujwid podczas treningu wioślarskiego na Wiśle, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odonę Bujwidę



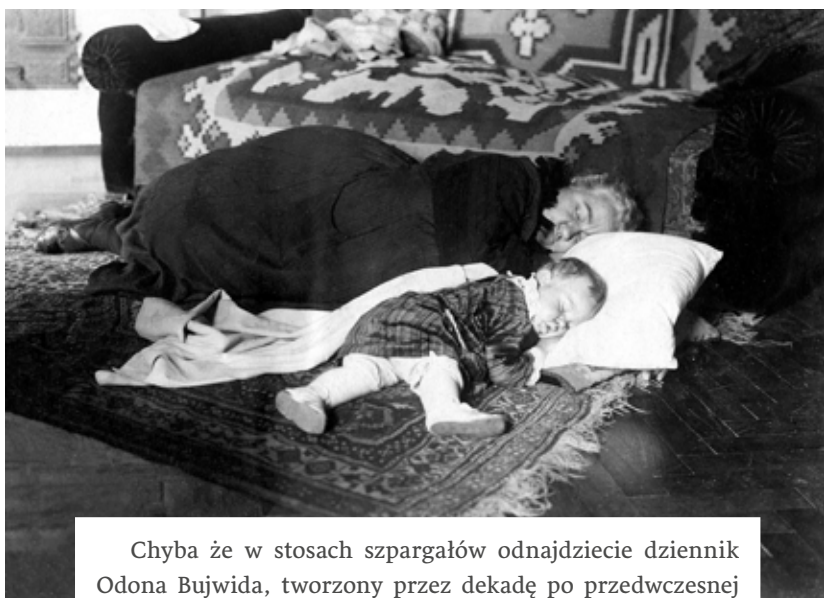
Skoro wciąż mało, to macie: napisała stopy książek i broszur opowiadających się za emancypacją kobiet, postępowymi metodami wychowywania dzieci i edukacji, w tym słynne dzieło *U źródeł kwestii kobiecej* z 1910 roku. Nową Rzeczpospolitą przywitała *Deklaracją programową kobiet wobec nadchodzących wyborów do Sejmu Ustawodawczego*, manifestem, który brzmiał mocno i mocno brzmi do dziś: mówi się tu o zgodnym współżyciu różnych narodowości w ramach państwa polskiego, o niezależnej władzy sądowej i odpowiedzialnej władzy wykonawczej, o bezpłatnej, obowiązkowej i koedukacyjnej szkole, o ochronie dzieci, kobiet, niepełnosprawnych i ubogich. Deklaracja ta, ogłoszona na przełomie lat 1918 i 1919, jest w pewnym sensie podsumowaniem aktywności społecznej Kazimierzy. Jej cena okazała się spora. Przewlekła choroba uniemożliwiła Bujwidowej działalność w okresie międzywojennym, ale jej rewolucyjne odezwy trafiły na podatny grunt. Córki nie dość, że skończyły studia, to jeszcze organizowały się w ruchu przeciwko reliktom akademickiego androcentryzmu.

To te same dziewczyny, które na jednym ze zdjęć z Bujwidowych zbiorów szaleją hippicznie, na innym – pozują z rowerami, jakby robiły sobie tylko drobną przerwę na łyk wody między kolejnymi sesjami treningu przed Tour de France. Fotografie ukazują jeszcze jedno oblicze miłosnych perypetii Odon i Kazimierzy – oblicze bardziej sielskie, bukolicznie

nieomal. Z synem Janem prowadzili bowiem w swoich majątkach eksperymentalną uprawę ziemi, hodowlę krów rasy czerwonej oraz pstrągów. Praca, i owszem, ale także łagodne spacerowanie po łąkach, zabawy z psem, spędzanie czasu na świeżym powietrzu. Walka o wolność, równouprawnienie i krzewienie oświaty to nie tylko praca, to także niezbędny relaks. Wiecie, idee *anima sana in corpore sano* to nie przelewki, tu trzeba świecić przykładem. Międzywojenne podróże po całym świecie z misją esperantystyczną to też wysiłek fizyczny; dobrze przynajmniej, że po nieporozumieniach z kolegami z UJ Odon przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Wertujecie pierwodruki broszur, zachwycacie się rozległością horyzontów obojga małżonków, myślicie wśród zachowanych pamiątek, w tym oryginalnego wyposażenia mieszkania Bujwidów – wełnianego kilimu, starej kanapy, przy której, jak zdradza fotografia, śpi Kazimiera z wnuczką, biurka z tysiącem szuflad, szufladek i szufladziątek, wielu par okularów, przez które na pewno można było zobaczyć złośliwe oczka hasających bakterii. Miłosne historie zakłute w rzeczach powieść wam więcej o ludziach niż najcieplejsze słowa.



↑ Siostry Bujwidówny z koleżankami podczas zawodów rowerowych, początek XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida
→ Jan, Kazimiera i Odon Bujwidowie w gabinecie profesora, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odon Bujwida



Chyba że w stosach szpargałów odnajdziecie dziennik Odonu Bujwida, tworzony przez dekadę po przedwczesnej śmierci Kazimierzy. Tytuł wydanych drukiem zapisków mówi sam za siebie: *Osamotnienie*. Listy do zmarłej ukochanej to znakomity dokument epoki: mówimy o latach trzydziestych, a więc końcu wolnej Polski. Ale przede wszystkim to dokument utraty i świadectwo wielkiej miłości, choć miłości pełnej innych miłości, miłości załamującej się i niepewnej. Czytacie te pełne żalu passusy, słysząc wyłącznie jeden głos, głos Odonu, i nie możecie pozbyć się myśli o tym, że najpiękniejsza nawet baśń o wspólnocie, równych prawach i postępowych postulatach kończy się w ramionach innej: „Zacząłem siebie zapytywać, czy ja Ciebie naprawdę kochałem, czy tylko Ciebie jedną? Na pewno nie, ale pomimo to nie byłem nigdy z żadną ludzką istotą związany tyloma niemi jak z Tobą. Gdy przebiegam myślą całe moje życie, widzę kilka, może kilkanaście kobiet, które [...] podobały mi się może bardziej od Ciebie i zostawiły dotychczas nie zatarte wrażenie pomimo tylu najmielszych lat przeżytych z Tobą”. Zamykacie książkę, patrzycie teraz na oddychające w leniwym rytmie przedmioty. Podchodzicie do okna i obserwujecie, jak do stojącego na przystanku tramwaju podbiega mężczyzna. Motorniczy nie widzi go, zamyka drzwi i odjeżdża.

↑ Kazimiera Bujwidowa z wnuczką śpią przy kanapie w swoim mieszkaniu przy ul. Lubicz, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów Muzeum im. Odonu Bujwida
→ Kazimiera Bujwidowa w ostatnich latach swojego życia w majątku w Czastawiu. Ze zbiorów Muzeum im. Odonu Bujwida



Chcielibyście historii miłosnej, prawdziwego romansu, co pąsem wam rozmasuje policzki, romansu krakowskiego, z wyższych sfer i o nobliwym zapleczu, z mieszczańskim tłem, z polityką u boku, z zazdrością i medycyną podążającymi w ślad za kolejnym sukcesem. Romansu w świetle lantarń na Plantach, ale i pełnego niedopowiedzeń ukrywanych w dygestoriach. Romansu, który rozsadza gorsety konserwatywnych gustów i cylindry norm społecznych, choć w konserwatywnej ramie jest zamknięty.

Kolaz – w tle dwór rodziny Żabów, na pierwszym planie właściciel dworu, Franciszek Feliks Żaba z psem Tropem, w głębi matka Franciszka, Anna z domu Oczosalska. Ze zbiorów prywatnych



NADDUNAJECKA SAGA
KOŚCIÓŁ PW. PODWYŻSZENIA
KRZYŻA ŚWIĘTEGO I DWÓR ŻABÓW
W ZBYLITOWSKIEJ GÓRZE

Chcielibyście wsi sielskiej, anielskiej. Takiej nie ma. Jest wieś cicha i oddychająca ziemią, przycupnięta przezornie na uboczu, ukrywająca mroczne sekrety i dająca psią radość ze zwisającymi uszami. Nie wolno wam prześlepić wąskich ulic z brązowymi i zielonymi chałupkami. Nie wolno wam zapomnieć, że gdzieś między Tarnowem i nie-Tarnowem, w kuluarach metropolitalno-tirowego zgiełku macie Zbylitowską Górę, czy, żeby nie przesadzać z oficjałkami, Górę, tak po prostu. Chcielibyście wsi z ni to ryneczkiem, ni placikiem takim, co wyrwie was z bolidów billboardowych reklam i gokartów pastelozy. Góra niknie za mgłą, drewniane domki gnieżdżą się na skarpie nad Dunajcem, który oplata was oparami melancholii. Góro, pędzimy na złamanie karku, przez małopolskie wyżyny z niepołomickimi lasami, bocheńską solą i brzeskim browarem, przez zapomniane przysiółki ze świętym Stanisławem, przez nieszczęsne Biadoliny i Zgłobice z kościołem-statkiem, co zamiast dzwonu syrenę mieć powinien i wzywać na nabożeństwa w mesie.

Wiecie, jest zupełnie jak w tym świstaczym śnie: trzy razy szukacie bramy do wsi, bładzicie przy akompaniamencie burczących żołądków i skrzeczenia perliczek, stukacie kijem do nieistniejących wrót. Majaczą wam rozlewiska Dunajca, kafary nurzają się w żwirowniach, żurawie niczym marabuty, marabuty niczym wielkouche gacki, co torpedują komary malowniczym wieczorem, za pan brat z mewami wyrrywającymi sobie bułkę, z trzcina pełną tajemnic i wiatru. W końcu meldujecie się na placu św. Floriana, parkingiem i ławeczkami oznajmującym swą centralność. Zatrzymujecie się chwilę nad globusem, który wyrzył wam wszystko w granicie: oto Zbylitowska Góra, oto Polska, oto Europa, oto kula ziemiska w różnych odcieniach szarości. Zbylitowska Góro, *here we come*.

Góro, dopędziliśmy cię wehikułem niepodległości, czasu, który, choć wolny, w istocie przyspiesza i gna na zabój, żeby zaszyć się wśród „właściwej wsi i pięciu wólek”, jak elegancko



podpowiadają słowniki geograficzne z przełomu XIX i XX stulecia. Żeby na prawym brzegu Dunajca przywitać się z rzymskimi katolikami, izraelitami, a nawet „socynianami, zwanymi braćmi polskimi”, którzy wespół w zespół zmagają się z gorzkimi owocami pierwszej wojny światowej. Jeszcze huk artylerii nie przebrzmiał, jeszcze nie ustał szcęk bagnetów, a pola kornie znikły pod naporem zabłoconych buciorów, poorane okopami i lejami, stłamszone dziejową koniecznością. Jeśliście wzięli szpadel choćby, choćby czerwone taczki z wiersza Williama Carlosa Williamsa, i kawałek drelichu, wesprzyjcie górzan przy odbudowie kościoła, który ścierpiął straszliwą, straszliwą mękę.

↑ Widok zniszczonej w wyniku działań wojennych plebanii kościoła w Zbylitowskiej Górze, widoczny ówczesny proboszcz parafii, Roman Lepiarz, ok. 1915 roku. Ze zbiorów parafii kościoła w Zbylitowskiej Górze



Wesprzyjcie panie nobliwe, wesprzyjcie panowie dostojni, wesprzyj i ty, krzepka młodzieży, górzan odciążyć chyżo bieżcie. Kościół ustrzelony, a nic nikomu nie winien, jak ten indyk w niedzielę, jak bażanciątko zawieruszone wśród leniwych pól. Kościół strzaskany przez Austriaków, co dobrać się próbowali do Rosjan po drugiej stronie Dunajca, kościół XV wiek pamiętający i Mikołaja Zbylitowskiego, właściciela wsi i fundatora, kościół murowany i drewniany nieco też. Jedynie fragmenty nawy i prezbiterium uchwalały się z ognia przeraźliwie samobieżnych haubic i moździerz. Nic więc dziwnego, że już w listopadzie 1917 roku pisma z proboszczówki ślano, by „kościół restaurować z zachowaniem części ocalałych”, bo „mury strzaskanego coraz bardziej spustoszonego kościoła psują się od deszczu i wichrów”. To wersja ładniejsza, bo sami widzicie łzami ócz, że z gruzów budowli zieje ordynarna pustka.

Nie wahajcie się ni milisekundy, załączcie kosztorys odbudowy, ustalcie go na sumę 129 tysięcy koron, czy coś koło tego. Kuria i inżynierowie z Namiestnictwa nie będą robić przeszkód, jak ich przyciśnięcie słuszną racją i krzepkim ramieniem w waciaku. Zresztą, czego tu się czepiać, skoro projekt podpisany ręką samego Ludwika Wojtyczki, tego, co w Krakowie poustawił kamienice przy Rynku Głównym

i w okolicach, Zakład Witraży im. S. Żeleńskiego nakreślił, Dom Śląski, i dodajcie do tego domy dla profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, w tym słynną „trumnę” przy alei Słowackiego, a w Katowicach, o, nie ma żartów, w Katowicach zaplanował gmazysko Sejmu Śląskiego, najpotężniejszy w dziedzinie kubatury budynek międzywojnia w Polsce.

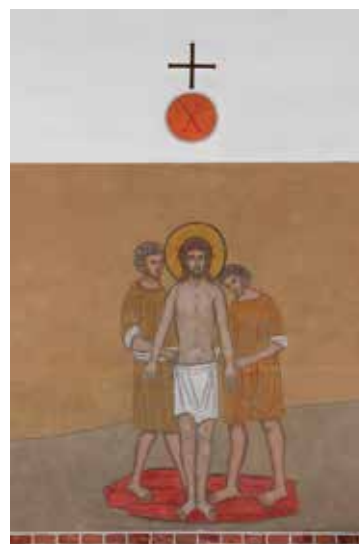
Nastawcie zatem cebule na wiosnę 1918 roku i przystąpcie do prac, żeby po ledwie kilku latach kościół witać narodzony na nowo, prężący się dumnie, na rzeczpospolitej skarpie, wśród rzeczpospolitych drzew i krzewów, nowością lśniący i bielą, i jednonawowym ceglanym szkieletem, jak wapienny ostaniec na skraju cywilizacji. No i jeśli macie trochę więcej czasu, to możecie poczekać parę dziesięcioleci na mistrza Jerzego Nowosielskiego, który w latach 1956–1957 przybędzie do kościoła w Zbylitowskiej Górze z projektem polichromii i z dziarskimi współpracownikami, żeby tchnąć artystycznego ducha we włości Ducha Świętego. Artystyczny duch





nie taki znów trwały, więc chrystologiczne cykle malowideł z prezbiterium zamalowano w latach dziewięćdziesiątych. Żeście nie protestowali, bo woleliście chrapać smacznie pod kołdrą, jeść prince polo, słuchać Moniki Borys na festiwalu w Opolu i drapać się po brzuchu, no to macie. I nie mówcie, że wasz głos nic nie znaczy, bo znaczy. A najlepiej w ogóle, jeśli ten głos współbrzmi z głosem mądrych księży, co wiedzą, że Nowosielskiego przemalowywać nie wypada, bo grzech przeciw Bogu, grzech przeciw Sztuce i przeciw zdrowemu rozsądkowi też grzech, i zamalowywać nie pozwalają. Za tych, co pozwolili, zmówcie zatem zdrowaśkę. Albo i dwie.

No to zważcie szczęście wasze, że co nieco się uratowało i macie okazję popodziwiać. Co nieco, panie, to mało powiedziane. Czternaście stacji Drogi Krzyżowej spoczywa na ścianach nawy. Polichromia, odnowiona w ostatnich dekadach, robi na was wielkie wrażenie, bo po Nowosielsku minimalistyczna i surowa, ale przecież w oszczędnym wnętrzu nagle sami czujecie się jak na pustyni, gdzie suchy wiatr wypycha wam piasek do ust. Bo wydmowy beż tła, stłumiony brąz krzyża i ostra czerwień szaty Jezusa w dolnej części



malowidła kontrastują z czystą bielą części górnej, że dech zapiera. Cappuccino w pasywnym nimbie, powiedzielibyście, ale byłby to zbyt łacny prześlizg nad skupionymi w najprostszych pozach postaciami o smutnych obliczach. Kolejne stacje nie są od siebie oddzielone, jeden obraz przechodzi płynnie w kolejny, bardziej płynnie nawet niż na filmowej taśmie, a wy cichniecie w sobie, bo majestat ascezy, bo tajemnica zbawienia, bo rudość, co wciąga i puścić nie chce.

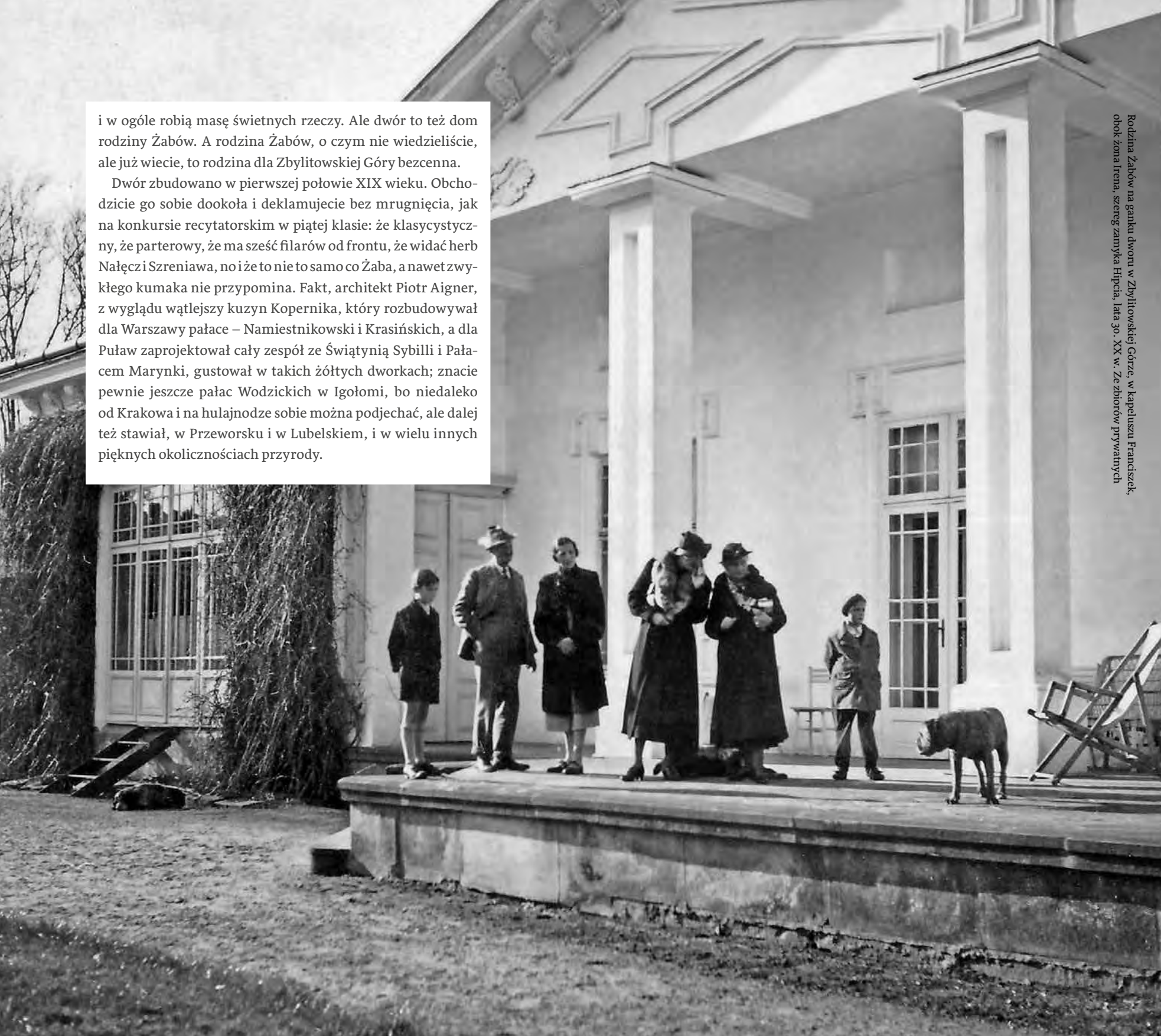
Jak puści, bo w życiu tak jest, że kiedyś puszcza, choćbyście nie chcieli jedna z drugim, to w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku idźcie sobie na żółciaki do parafialnego parku, pocznijcie sobie pod sędziwą lipą, siadźcie na ławeczce i popatrzcież: hen, po drugiej stronie ulicy, macie park większy jeszcze, park prawdziwie parkowy, a pośrodku dwór, dwór najprawdziwszy, całkiem żółty i fajny, w którym pełno dzieciaków, koni i włochatych psisk. Zespół rezydencjonalny, bo tak powinno się mówić, ale nikt tak nie mówi prócz paru dobrodusznym nudziarzy, obejmuje jeszcze oranżerię i oficynę ze stajnią. Teraz rządzą tu małolaty ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, które grają w nogę, jeżdżą konno, biegają tam i z powrotem, fantazyjnie rysują i malują,

↑ ↗ Stacje Drogi Krzyżowej (III, IV, X, XI) – kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Zbylitowskiej Górze, 1954, Jerzy Nowosielski. Fot. M. Curzydło na zlecenie Województwa Małopolskiego

i w ogóle robią masę świetnych rzeczy. Ale dwór to też dom rodziny Żabów. A rodzina Żabów, o czym nie wiedzieliście, ale już wiecie, to rodzina dla Zbylitowskiej Góry bezcenna.

Dwór zbudowano w pierwszej połowie XIX wieku. Obchodźcie go sobie dookoła i deklamujecie bez mrugnienia, jak na konkursie recytatorskim w piątej klasie: że klasycystyczny, że parterowy, że ma sześć filarów od frontu, że widać herb Nałęcz i Szreniawa, no i że to nie to samo co Żaba, a nawet zwykłego kumaka nie przypomina. Fakt, architekt Piotr Aigner, z wyglądu wzięty kuzyn Kopernika, który rozbudowywał dla Warszawy pałace – Namiestnikowski i Krasińskich, a dla Puław zaprojektował cały zespół ze Świątynią Sybilli i Pałacem Marynki, gustował w takich żółtych dworach; znacie pewnie jeszcze pałac Wodzickich w Igołomi, bo niedaleko od Krakowa i na hulajnodze sobie można podjechać, ale dalej też stawiał, w Przeworsku i w Lubelskiem, i w wielu innych pięknych okolicznościach przyrody.

Rodzina Żabów na ganku dworu w Zbylitowskiej Górze, w kapeluszu Franciszek, obok żona Irena, szereg zamyka Hipcia, lata 30. XX w. Ze zbiorów prywatnych

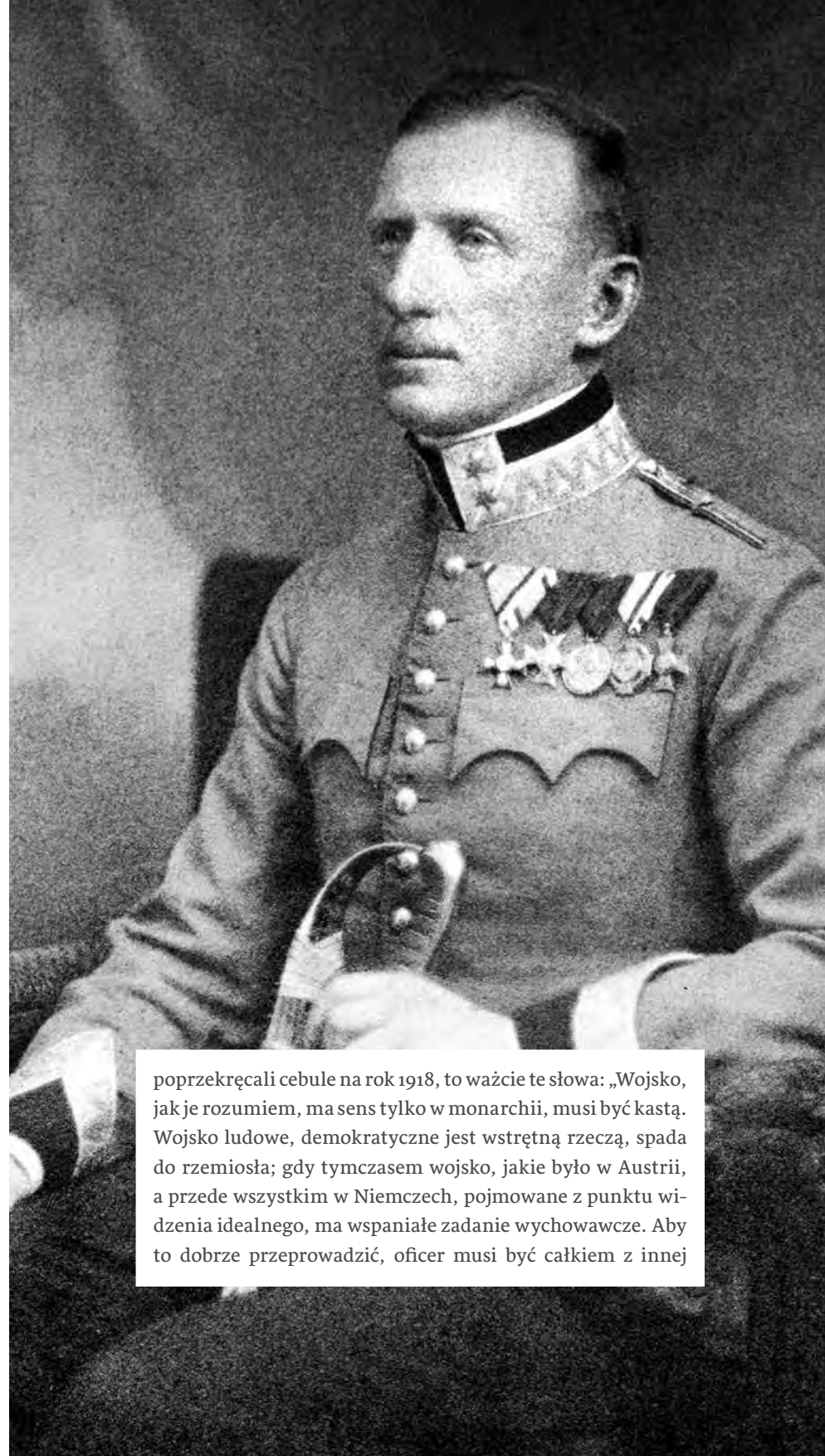


Początkowo mieszkali tu Moszczeńscy, ale w 1863 roku dwór trafił w ręce rodu Żabów herbu Kościesza, którzy mocno wrosli w zbylitowską ziemię, zadomowili się w naddunajskim krajobrazie i dopiero wieńcząca drugą wojnę światową reforma rolna pozbawiła ich majątku. A byli to, wiecie, Żabowie nie byle jacy, Żabowie wywodzący się z Litwy, z tradycjami wojskowymi i patriotycznymi, z życiorysami barwniejszymi niż pióra ary. Siedźcie sobie zatem na ławce, rzućcie sójce orzeszków i zamieńcie się we wzrok, bo to naddunajeczka saga jak się patrzy.

Taki na przykład Napoleon Feliks Żaba (1803–1885), senior rodu, literat, podróżnik, wolnomularz, zdążył w swoim życiu być rektorem uniwersytetu w Buenos Aires, działać w Hotelu Lambert, redagować edynburskie pismo polonijne „The Polish Exile”, wydać parę tomów wierszy i opracowanie krytyczne dotyczące polskiej historii i literatury, tłumaczyć na polski Puszkina i propagować na całym świecie mnemotechniczną metodę nauczania. A w młodości publikował intrygujący periodyk „Chwila Spoczynku” prezentujący polską literaturę i paryską modę; było to jeszcze zanim poślubił szkocką szlachciankę Annę MacLeod. No i jeszcze miał równie słynnego brata, Augusta Kościesza-Żabę, dyplomatę i orientalistę, badacza kultury Kurdów. W 1881 roku Napoleon Feliks osiadł w Górze u syna Stanisława, pierwszego dziedzica Góry.

Stanisław, oficer armii brytyjskiej, bankowiec, zasłynął z pasji fotograficznej. Wyemigrował do Paryża, a następnie do Londynu, by rozwijać sieć studiów fotograficznych. Z małżeństwa z hrabianką Marią Moszczeńską miał pięcioro dzieci. Dwoje jest warte szczególnej uwagi: Franciszek Kenneth Żaba, prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie, a następnie bankier w Wiedniu; to on opiekował się majątkiem w Zbylitowskiej Górze.

Roman Żaba (1864–1945) służył najpierw w c.k. armii, potem w Wojsku Polskim otrzymał stopień generała dywizji, jest autorem barwnych i wcale kontrowersyjnych wspomnień ze służby podczas pierwszej wojny światowej oraz lat spędzonych w wolnej Polsce. Skoroście wszyscy



poprzekręcali cebule na rok 1918, to ważcie te słowa: „Wojsko, jak je rozumiem, ma sens tylko w monarchii, musi być kastą. Wojsko ludowe, demokratyczne jest wstrętną rzeczą, spada do rzemiosła; gdy tymczasem wojsko, jakie było w Austrii, a przede wszystkim w Niemczech, pojmowane z punktu widzenia idealnego, ma wspaniałe zadanie wychowawcze. Aby to dobrze przeprowadzić, oficer musi być całkiem z innej



Przed wycieczką.

gliny jak szeregowiec. Musi być jak gentleman, a wtenczas żołnierz ma dla niego szacunek i wielkie przywiązanie. Dla oficerów pochodzących z tych samych sfer co on, a szczególnie dla oficerów, którzy byli podoficerami, szeregowy nigdy prawdziwego szacunku mieć nie będzie”. Polskich generałów i legionistów nazywał „towarzystwem, które się raczej nadaje do tragikomicznej operetki”, amatorami niezdolnymi do organizacji i administrowania wojskiem, „próżniakami, ignorantami i nicponiami”. Generał Roman Żaba mówi, jak jest!

Ech, tyleście się dowiedzieli o Romanie, że o Franciszku, owocu jego związku z Anną Oczosalską, wieloletnią prezeską Związku Sodalicji Inteligencji Żeńskiej w Polsce, nie będziecie już chcieli poczytać ni słówka, ni złamanej zgłoski nie skosztujecie, w zamian za to wybierzecie się na spacer po zbylitowskich okolicach domkowo-polnych i dotrzecie



Kuchnia Seminarjum.

↑ 7 Fotografie reklamujące szkołę dla dziewcząt prowadzoną przez siostry Najświętszego Serca Jezusa Sacré Cœur: dziewczęta jadą na wycieczkę, gotują, 1931. Leporello ze zbiorów Zgromadzenia Sacré Cœur



Sala Gimnastyczna.

Sala gimnastyczna pełna wysmukłych dziewcząt w pocie czoła wyprężających swe zakryte uniformami ciała przypomina wam o waszych brakach w dziedzinie fizycznej krzepy. Czym prędzej wracacie więc, w podskokach, slalomem, pokonując terenowe przeszkody, słuchając jednak paru zdań o dziarskim Franciszku Żabie, pseudonim „Kość” (1906–1982), ostatnim przedwojennym właścicielu Zbylitowskiej Góry. Franciszek, inżynier i oficer AK, po studiach na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego wrócił w rodzinne strony jako administrator gospodarstwa rolnego przy mościckich Zakładach Azotowych, a następnie komendant placówki AK w Mościcach. Podczas okupacji zorganizował ligę piłkarską dla pracowników zakładu, w której brali udział piłkarze Unii Tarnów działający również w ruchu oporu. Po wojnie, gdy Żabom odebrano i upaństwowiono majątek, Franciszek zajmował się badaniem i hodowlą buraków cukrowych oraz żyta, pracując w placówkach naukowych w Polsce i Brazylii.

Ech, ocieracie łezkę, saga dobiega końca; wprawdzie po latach rodzina Żabów odzyskała posiadłość, ale nie w tym rzecz: opowieści, które tak lubicie, muszą mieć swój smutny koniec. Nie ma zmiłuj. Parę kroków od kościoła i placu św. Floriana odnajdziecie malowniczy cmentarz, na którym stoi rodzinny grobowiec Żabów. Spoczywają

tu wszyscy Żabowie, wszystkie Żabiny i Żabianki. Imponujący pomnik nagrobny ma w sobie jednak coś skromnego, nostalgicznego, łączącego się w cichym szumie z nieodległymi bukami, klonami i sosnami. Cmentarz nie jest ogrodzony. Tuż za ostatnimi grobami, gdzie nad marnością losu ludzkiego płacze kamienna, omszała z udręki Matka Boska, rozciąga się małe poletko, a za nim mały dom z małym psem. Życie wkrada się bez przerwy w domenę tego, co, zdawałoby się, przeminęło, przemija i przemijać będzie. Nic z tego, wiewiórki i kuropatwy wiedzą swoje, przychodzą na cmentarz wprost z lasu Bucznia, gdzie w latach 1939–1944 wymordowano około dziesięciu tysięcy Polaków i polskich Żydów z tarnowskiego getta, w tym dzieci z sierocińca, które wpędzono do zbiorowego grobu i zabito granatem. Ustawiony po wojnie obelisk asystuje co jakiś czas przy odkrywaniu kolejnych mogił.

Chcielibyście wsi sielskiej, anielskiej. Takiej nie ma. Jest wieś cicha i oddychająca ziemią, przycupnięta przezornie na uboczu, ukrywająca mroczne sekrety i dająca psią radość ze zwisającymi uszami.



↑ Fotografia reklamująca szkołę dla dziewcząt prowadzoną przez siostry Najświętszego Serca Jezusa Sacré Cœur, 1931. Leporello ze zbiorów Zgromadzenia Sacré Cœur

→ Żona Franciszka Feliksa Żaby, Irena z Malczyków, przed dworem, lato 1934. Ze zbiorów prywatnych

Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach, wieże absorpcyjne kwasu azotowego, lata 30. XX wieku. NAC

MIASTO, MASA, MASZYNA

WILLA EUGENIUSZA KWIATKOWSKIEGO
W TARNOWIE-MOŚCICACH



Chcielibyście od czasu do czasu podbić sobie łąd jeden czy drugi, zaludnić bezludną wyspę, wybrać się na międzygwiezdą eskapadę i nie musieć wracać o jedenastej ze strachu przed szlabanem. Chcielibyście, ale jednak się boicie. Boście w kapciach zalegli na sofie, a z odległych galaktyk ostały wam się jeno czekoladowe marsy i mleczne drogi, które ściszkacie w dłoni niczym trofea z-nie-wiadomo-kąd. I nawet nie podróżujecie już palcem po mapie, lecz po pilocie ewentualnie, hulając po kanałach chyżo jak po cyber-Wenecji. Kosmiczne wizje dostępne wam tylko w fazie REM: oto uroki bycia zdobywcą flanelowej kołdry i supermiękkiej poduchy, co koi i raczy sukcesem nieważkiego konkwistadora. Niestety, jak głosi świecka tradycja, wielkie wizje to mają do siebie, że rzadko obracają się w rzeczywistość. Że skry krzeszą głównie na prezentacjach i wśród wielowymiarowych makiet. Że z dalekosiężnych planów rodzą się co najwyżej kalekosiermiężne pawilony. I to z blachy falistej.

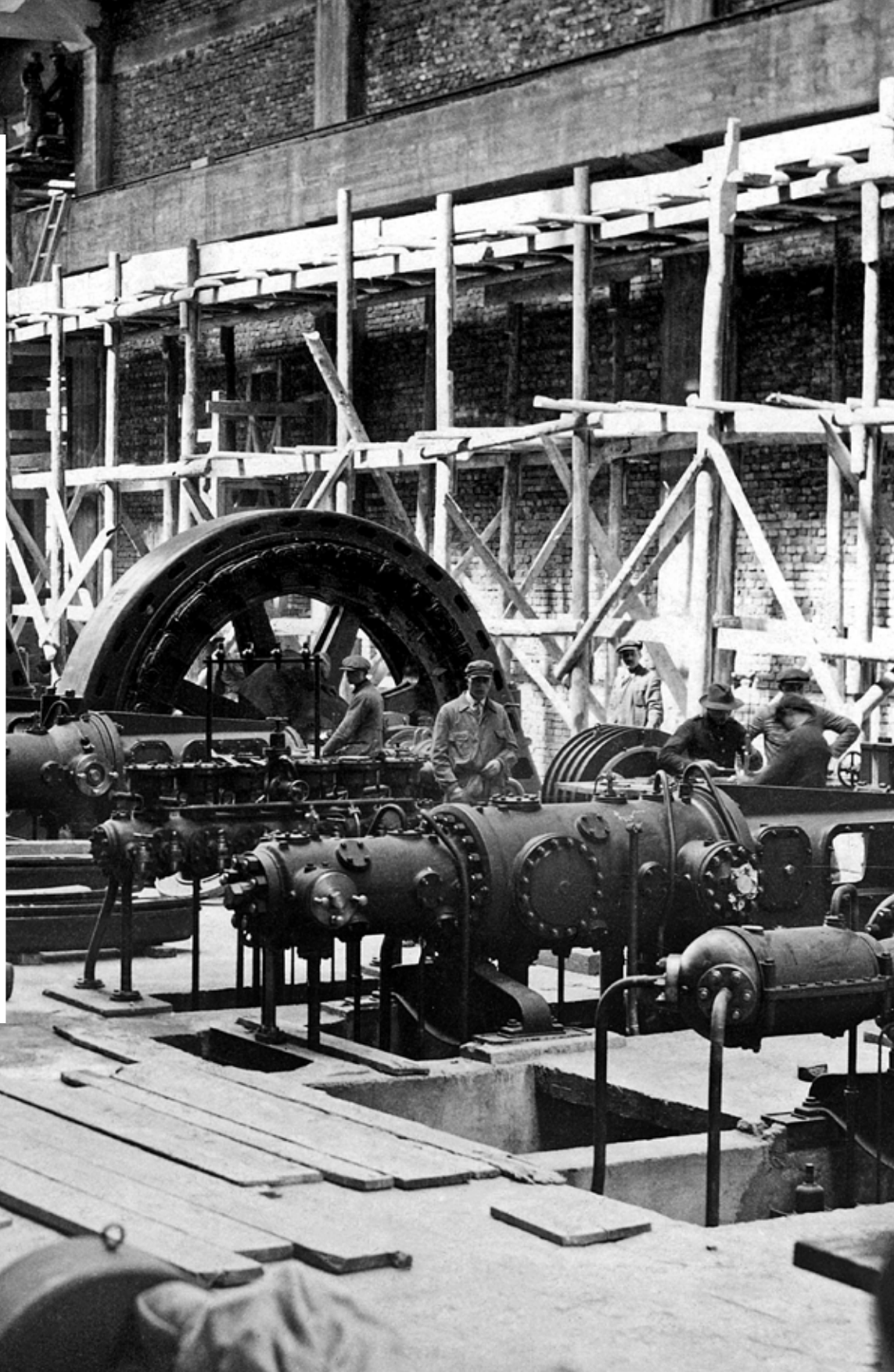
Twarde jednak z was sztuki: nie dajecie za wygraną, i elegancko! Coś by się postawiło, choćby i w szczerym polu, jakoś zdefiniowało nowy łąd, który nadałby II Rzeczy-wszakże-pospolitej blasku całkowicie niepospolitego, ba, wyznaczającego ambitne cele w awangardzie europejskości. Skoro wspomnieliście o awangardzie, to przecież macie niezgorszą podkładkę dla mocy kreacyjnych: w jednym ze swoich najważniejszych manifestów lider polskiej awangardy artystycznej i literackiej okresu międzywojnia Tadeusz Peiper, na kształt nowoczesnej Trójcy Świętej powołuje do życia triadę: „miasto, masa, maszyna”. W „epoce uścisku z terazniejszością – jak pisze – człowiek dzisiejszy przytakuje nowoczesnej scenie życia, i w ten sposób miasto staje się dla

niego zaczarowaną wyspą potężnych wzruszeń. Przytakuje nowoczesnym formom współbywania ludzi, i w ten sposób masa staje się dla niego szukanym współpracownikiem nowego piękna. Przytakuje nowoczesnym narzędziom życia, i w ten sposób maszyna staje się dla niego poetyczną czarodziejką jego rozpalonych snów”. Oho, godnieś rzekł był, Peiperze drogi, ferment zasiałeś, nic, tylko trzecią dekadę XX wieku wszczynać!

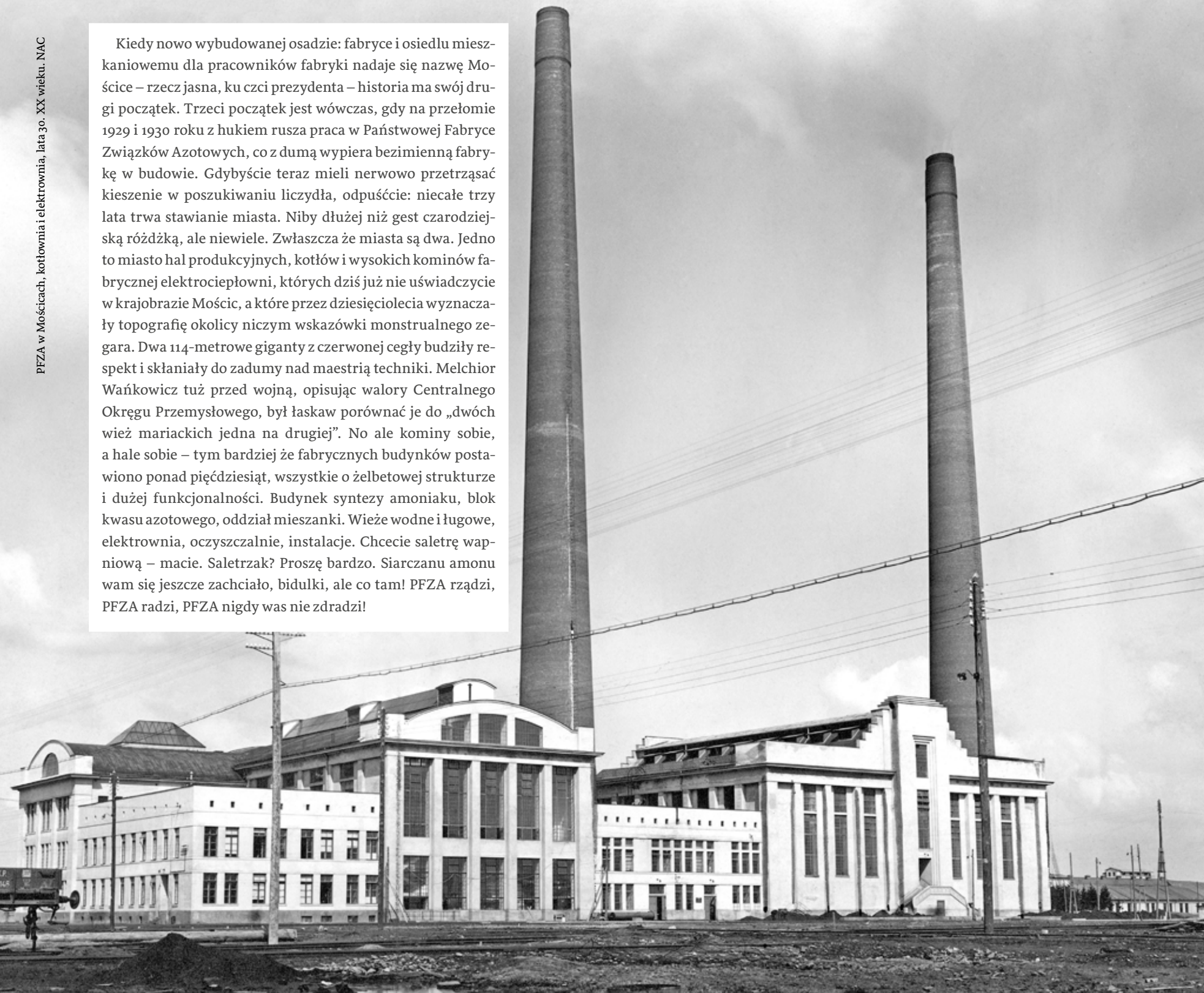
Postulaty zawarte w triadzie 3×M rozpalają wyobraźnię nie tylko czeredy nowatorsko usposobionych artystów, nie tylko paru krytyków, co zwykli wietrzyć kontrowersje między słowami, lecz i wielu polityków, kształconych, by roztaćcać ojczyźnie jak najszerze horyzonty. Sami przyznacie, że Peiperowskiemu wabikowi w stylu: „Miasto, masa, maszyna, i ich pochodne: szybkość, wynalazczość, nowość, potęga człowieka i epoki, zapasy z niebem, lot na stalowych skrzydłach, kąpiel w najświeższej wódce dnia, skok w teraz – stają się dla nas przedmiotem nieznanym uniesień”, niewiele można zarzucić. Brzmi tak, jak brzmieć powinna uroczysta odezwa do obywateli u progu porządnego boomu. Dla jednych zapasy z ekstraklasy, dla innych wódczane kąpiele, ludzkie rzeczy, powiecie, choć może i znajdują się wśród was tacy, co nad dyscypliny rodem z przydrożnego wyszynku przedłożą nieco bardziej elitarny – bo wymagania o wiele wyższe! – skok w teraz. Skok, panie, nie byle to jaki, żaden tam trójskok czy skok w dal, nie mówiąc o tym, że żadna tyka cię nie wspomůže. Tu trzeba niezłej techniki, by się wstrzelić z pomysłem. Jeśli się nie zawezmiecie, to czerwony autobus pomknie po ulicach bez was, no i bez skrupułów, radośnie rżąc wśród nowości w budowie. Tu trzeba zarazem dobrego

wybicia i dobrej strategii, i jeszcze wysoko ustawionej poprzeczki, żeby rywale przypadkiem nie chcieli się podczepić pod ewentualny – co tam ewentualny, nieuchronny przecież, nie bójmy się słów – sukces.

Ale zanim ten sukces się odrąbi, trzeba działać. Manifest jest, ale miasta nie ma, masa będzie, jak będzie miasto, a za maszynę na razie robi furmanka. Na mapie szkicuje urodny kwartał. To fabryka. I kwartałek urodniejszy jeszcze, choć wątlutki na pozór. To osiedle. Osiedle, ekhm, mówi się „miasto-ogród”, całkiem jak z Ebenezera Howarda, brytyjskiego planisty i ojca założyciela idei łączącej dobra cywilizacyjne z dobrami natury, który prócz rozwijania talentów urbanistycznych propagował esperanto i może nawet, kto wie, podczas 8. Światowego Kongresu Esperanto w Krakowie spotkał się z Odonem Bujwidem. Tak czy inaczej osiedle ma tryskać polorem i polotem, żeby fabrycznym wyzwom wstyd było się tu pałętać. Na ołtarzu skoku w teraz rząd kładzie między innymi Świerczków i Dąbrówkę Infułąką, które mają zamienić się w azotowego kolosa. Historia nowego miasta zaczyna się 12 marca 1927 roku od podpisu Pierwszego Obywatela i zarazem Pierwszego Chemika RP Ignacego Mościckiego, kilka miesięcy później rozpoczyna się zaś budowa pod kierownictwem Tadeusza Zwisłockiego. Każde miejsce pod nowe miasto jest dobre, ale to, cztery kilometry od centrum powiatowego Tarnowa, dobrze skomunikowane z Krakowem, Lwowem i drogą na północ, w stronę stolicy, okazuje się najlepsze. Dunajec i Biała zapewnią wodę, profesorów i inżynierów ściągnie się z nobliwych akademii. Stawką są nawozy sztuczne, nie ma to tamto. Niepodległy kraj strofuje podskórnie: postęp potrzebuje przestrzeni. Maszyny potrzebują masy, masa – miasta.



Kiedy nowo wybudowanej osadzie: fabryce i osiedlu mieszkaniowemu dla pracowników fabryki nadaje się nazwę Mościce – rzecz jasna, ku czci prezydenta – historia ma swój drugi początek. Trzeci początek jest wówczas, gdy na przełomie 1929 i 1930 roku z hukiem rusza praca w Państwowej Fabryce Związków Azotowych, co z dumą wypiera bezimienną fabrykę w budowie. Gdybyście teraz mieli nerwowo przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu liczydła, odpuście: niecałe trzy lata trwa stawianie miasta. Niby dłużej niż gest czarodziej-ską różdżką, ale niewiele. Zwłaszcza że miasta są dwa. Jedno to miasto hal produkcyjnych, kotłów i wysokich kominów fabrycznej elektrociepłowni, których dziś już nie uświadczycie w krajobrazie Mościc, a które przez dziesięciolecia wyznaczały topografię okolicy niczym wskazówki monstrualnego zegara. Dwa 114-metrowe giganty z czerwonej cegły budziły respekt i skłaniały do zadumy nad maestrią techniki. Melchior Wańkowicz tuż przed wojną, opisując walory Centralnego Okręgu Przemysłowego, był łaskaw porównać je do „dwóch wież mariackich jedna na drugiej”. No ale kominy sobie, a hale sobie – tym bardziej że fabrycznych budynków postawiono ponad pięćdziesiąt, wszystkie o żelbetowej strukturze i dużej funkcjonalności. Budynek syntezy amoniaku, blok kwasu azotowego, oddział mieszkanki. Wieże wodne i ługowe, elektrownia, oczyszczalnie, instalacje. Chcecie saletrę wapniową – macie. Saletrzak? Proszę bardzo. Siarczaniu amonu wam się jeszcze zachciało, bidulki, ale co tam! PFZA rządzi, PFZA radzi, PFZA nigdy was nie zdradzi!





I maszyny! Bez maszyn, jak już wiecie, ani rusz. Jak na drożdżach rosły suwnice, przez pączkowanie rozmnażały się reaktory i elektrolizery, nieco mniej automatyczne niż dziś wagi atakowały ze wszystkich stron, urządzenia do absorpcji chlorowodoru i katalizatory wyskakiwały jak Filipowie z konopi. To ciągnące się kilometrami rurociągów miasto w niczym nie przypominało drewnianych chat i gumien z ubłoconymi prosiętami. Kto by o nich pamiętał, skoro „dokonało się wielkie dzieło państwowe. Na obszarze, który jeszcze dwa lata temu przedstawiał szmat pola, pokryty jednostajnie śnieżną powłoką, dziś pracuje olbrzymi kompleks budynków i instalacji fabrycznych, spiętrzonych i skomplikowanych, przecięty ulicami, siecią przewodów elektrycznych, parowych, wodnych, gazowych, kanalizacyjnych, wypełniony twórczą pracą ludzi i maszyn”, jak zaświadcza

↑ Eugeniusz Kwiatkowski, lata 30. XX wieku. NAC

→ Powitanie gości podczas otwarcia PFZA w Mościcach przez robotników.

Widoczni m.in. prezydent RP Ignacy Mościcki oraz minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski, styczeń 1930. NAC

u zarania 1930 roku nie kto inny jak Eugeniusz Kwiatkowski, minister przemysłu i handlu, który po śmierci szefa Zakładów Tadeusza Zwisłockiego obejmie nad nimi osobistą pieczę i w 1931 roku sprowadzi się do Mościc wraz z rodziną doglądać owego wielkiego dzieła. Miasto-fabryka pożre rolnicze krajobrazy i tylko łypać będzie azotowym okiem na drugie miasto.

Drugie miasto, oddzielone szeroką arterią od zabudowań fabryki, równie szybko zapomniało o swojej niedawnej przeszłości polno-pastwiskowej. Geometryczna siatka alej i uliczek, zadbane ogrody i parki, murowane wille dla inżynierów i urzędników, mniejsze domy dla wysoko wykwalifikowanego personelu i baraki dla robotników: oto Mościce końca trzeciej dekady XX wieku. Spacerując między wytwornymi rabatami na skwerach, łatwo można było zapomnieć o sąsiedztwie lewiatana o cielsku pełnym chemikaliów, gąszcz wysadzanych pysznymi drzewami przecznic o słodkich nazwach – od Jarzębinowej po Głogową – pochłaniał wasze myśli skuteczniej niż białe granulki siarczanu amonu. W tym mieście na maszyny nie było popytu; tu się rozsiadła masa, która wychodziła naprzeciw „nowoczesnym formom współbywania”. Więc i przyfabryczny klub sportowy TS Mościce (przemianowany po wojnie na Zakładowy Klub Sportowy „Unia”), więc sklepy i miejsca rozrywki, więc szkoły i przychodnia. I spółdzielnie mieszkaniowe, które dyskontują sukcesy mościckiej utopii: w latach trzydziestych powstają kolejne osiedla po drugiej stronie torów kolejowych wiążących wschodnią Małopolskę z Krakowem. Małe domki z ogródkami uzupełniają wykwintny urok miasta-ogrodu





malowniczością rodem z Doliny Muminków. Wszyscy mówią sobie „dzień dobry”, są grzeczni i życzliwi, wśród drzew i krzewów odpoczywają po ciężkiej pracy. Prezydent Mościcki, częsty gość osiedla, porównał je w swej autobiografii do „wielkiego sanatorium”: „wszędzie panowała tu wzorowa czystość, a budynki tonęły wśród kwiecia [...]”. Odczuwało się tu potrzebę dostosowania piękna zewnętrznego do harmonii wewnętrznej zespołu pracującego”. Włóczykij snuł się po szachownicowych alejkach, Paszczak pracował w założonym przy PFZA gospodarstwie rolnym u boku pana Żaby ze Zbylitowskiej Góry, a brat Homka Tofta, który jadł ziemię, też szybko znalazł zatrudnienie na poletku doświadczalnym.

Perłą drugiego miasta była i jest centralnie umiejscowiona willa z zespołem parkowym. Postawiono ją jako dom dla dyrektora fabryki: z okien budynku widać bramę wjazdową i modernistyczny budynek administracyjny. Na początku lat trzydziestych widać było co najwyżej skromny piętrowy baraczek, w którym mieściły się biura. Ale wzroku nie można było oderwać. Wiecie, są momenty w życiu dyrektora – nawet takiego, co to dyrektorem jest z zawodu – że ma dość swojej hiperodpowiedzialnej roboty. Wolałby trzasnąć wszystkim

i wybyć na ekskursję gdzieś, gdzie delfiny przynoszą drinki z palemkami. Cóż. Na decyzje tego rodzaju trzeba coś było zaradzić. Wszak miasto to „zaczarowana wyspa potężnych wzruszeń”, nawet takie, w którym utopia równo przyciętych drzewek przysyłania żółte smużki wypływane z kotłów i komińców, a woń amoniaku maskowana jest aromatem tęczowo-barwnych kwiatów.

Eugeniusz Kwiatkowski, który podczas swojego dyktowania rozgościł się w willi na tyle, że nazywacie ją teraz jego nazwiskiem, miał też do dyspozycji kort tenisowy, elegancie ścieżki parkowe wysypane białym kamieniem, kordegardę, w której mógł się schować podczas zabawy w chowanego, jeśli w chowanego się bawił z żoną i trojgiem dzieci, lub ze strachu przed Hatifnatami, którzy pojawiali się zawsze nie w porę. Mógł też schować się w konarach jednego z rosnących jak na drożdżach dębów lub między szpalerami cyprysików i ligustrów; sama willa bowiem – czy pałacyk, bo tej nazwy też się nie unika – nie ma zbyt wielu zakamarków, choć w jednopiętrowym budynku z poddaszem zadziwiająco dużo pomieszczeń większych i mniejszych, a gdzieś tam można się natknąć na oryginalne poręcze czy zdobienia. Peiper nie byłby chyba zachwycony neoklasycystycznymi naleciałościami na modernistycznej bryle willi zaprojektowanej przez Juliusza Kłosa. Ryzality z czterokolumnowymi portykami, gzymsiki i balustradki, drewniane okna i drzwi: chyba za dużo tego jak na gust awangardzisty, który prze ku nieznanemu.



↑ Willa Kwiatkowskiego jako Dom Chemika, lata 60. XX wieku.

Z Archiwum Grupy Azoty S.A.

→ Premier Józef Piłsudski podczas składania życzeń noworocznych prezydentowi Ignacemu Mościckiemu na Zamku Królewskim w Warszawie (czwarty od lewej Kwiatkowski), 1926–1930. NAC



Kwiatkowski awangardzistą był jednak w pracy, nie w estetyce. W salonie na parterze debatował i przyjmował gości, w gabinecie na piętrze kończył zaś swoje *opus magnum* o mocnym tytule *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, choć, jak sam zauważa, „w dość ciężkich warunkach obok obfitej pracy ściśle zawodowej”. Nie przeszkodziło to w celności spostrzeżeń: „Jeżeli chcemy żyć jako naród wolny i wolne społeczeństwo, jeżeli przyszłości naszej nie chcemy przygotowywać łańcuchów przeszłości, jeżeli chcemy zerwać z nędzą człowieka i nędzą państwa, to droga pozostała tylko jedna: kłaść na drugą szalę wagi polskie wartości, płynące z nas samych. Dysproporcje celów i środków zamienić na proporcję i równowagę”. Troska o spauperyzowane masy to jedno, innowacyjność, jak zasunęlibyście ze sznitem technokraty w nienagannym garniturze, to drugie, zew wolności, przebijający z każdego słowa, to trzecie i najsmutniejsze. Zwłaszcza że po wyprowadzce Kwiatkowskich i przeróbce willi na wytworny hotelik rozsiądzie się w nim niemiecki okupant, który do wolności będzie miał nieco luźniejszy stosunek.

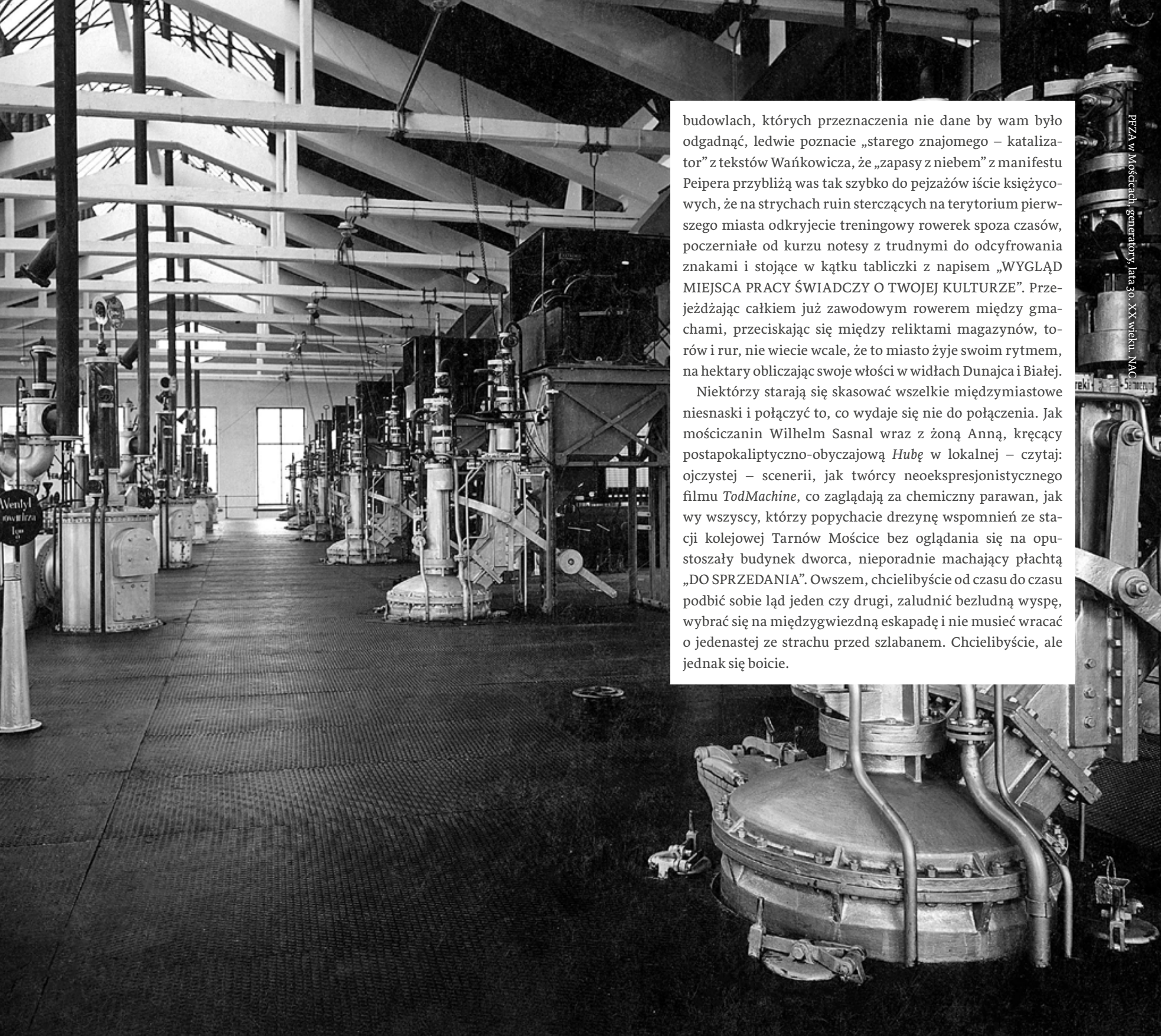
Pałacik po wojnie będzie wiernym służą harcówki, oddziałów PTTK i TKKF oraz mnóstwa innych podmiotów zachęconych gustowną architekturą i dookolną zielenią. Dziś, znów w azotowych barwach i pod godłem z jaskółką, coraz

↑ Minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski (w cylindrze) w nieustalonych okolicznościach, lata 30. XX wieku. NAC
→ Uprawy eksperymentalne z użyciem nawozów sztucznych, za folderem reklamowym: Zjednoczone Fabryki Związków Azotowych w Mościcach i w Chorzowie, lata 30. XX wieku. Biblioteka Narodowa, domena publiczna

śmielej zerka na pierwsze miasto, które kilku zachowanym halom z międzywojnia dobudowało nowoczesne towarzystwo. Peiperowska doktryna skoku w teraz okazuje się uniwersalna. Mościce ogrodowo-mieszkaniowe, które przedreptujecie tam i nazad, też nie przetrwały nienaruszone. Szeregi bloków, wygibasy męźnych żuźłowców i fantazyjne kształty Centrum Sztuki Mościce świadczą o niegasnącej potrzebie wynalazczości, o niezmiernych pokładach wyobraźni wśród planistów, ba, wizjonerów, mogłoby się wam wymysknąć. To już dzielnica Tarnowa, odległa i przyrośnięta do starszego brata jak Nikiszowiec i Giszowiec do Katowic, Szczakowa do Jaworzna czy Siersza do Trzebinii. Ale to miasto, które dobrze znacie, a jeśli nie znacie, to poznać w trymiga możecie.

Mościce fabryczno-azotowe są dla was tajemnicą. Zza powykręcanych płotów miga wam obietnica przygody, do której dostępu bronią wam strażnicy czyhający na wasze dowody i numery seryjne aparatów fotograficznych. I słusznie, bo kto wie, co byście skombinowali z taką saletrą? I wcale nie wiecie, że w hali turbin przyfabrycznej przedwojennej elektrociepłowni zachowały się elementy oryginalnego wyposażenia, że przedwieczne dymy buchają tam spod ziemi, że groźnie wyglądające aparaty nie schodzą ze zmiany niemal od stulecia, że w sterowni łpałyby na was mechanicznymi oczami stuletnie mierniki i zegary, że w starych halach, wydających ostatnie tchnienia, znaleźlibyście przedwojenne kafelki z sygnaturą w kształcie gwiazdy Dawida, że czulibyście się tu jak Stalker, Profesor i Pisarz w sekretnej Zonie z kadrów Tarkowskiego czy kart braci Strugackich, że w na pół opuszczonych





budowlach, których przeznaczenia nie dane by wam było odgadnąć, ledwie poznacie „starego znajomego – katalizator” z tekstów Wańkowicza, że „zapasy z niebem” z manifestu Peipera przybliżą was tak szybko do pejzażów istic księżycowych, że na strychach ruin sterczących na terytorium pierwszego miasta odkryjecie treningowy rowerek spoza czasów, pocerniałe od kurzu notesy z trudnymi do odcyfrowania znakami i stojące w kątku tabliczki z napisem „WYGLĄD MIEJSCA PRACY ŚWIADCZY O TWOJEJ KULTURZE”. Przejeżdżając całkiem już zawodowym rowerem między gmachami, przeciskając się między reliktnymi magazynów, torów i rur, nie wiecie wcale, że to miasto żyje swoim rytmem, na hektary obliczając swoje włości w widłach Dunajca i Białej.

Niektórzy starają się skasować wszelkie międzymiastowe niesnaski i połączyć to, co wydaje się nie do połączenia. Jak mościczanin Wilhelm Sasnal wraz z żoną Anną, kręcący postapokaliptyczno-obyczajową *Hubę* w lokalnej – czytaj: ojczystej – scenerii, jak twórcy neoekspresjonistycznego filmu *TodMachine*, co zaglądają za chemiczny parawan, jak wy wszyscy, którzy popychacie dreżynę wspomnień ze stacji kolejowej Tarnów Mościce bez oglądania się na opustoszały budynek dworca, nieporadnie machający płachtą „DO SPRZEDANIA”. Owszem, chcielibyście od czasu do czasu podbić sobie łód jeden czy drugi, zaludnić bezludną wyspę, wybrać się na międzygwiazdną eskapadę i nie musieć wracać o jedenastej ze strachu przed szlabanem. Chcielibyście, ale jednak się boicie.

Uroczystości z okazji dwudziestopięciolecia działalności politycznej Wincentego Witosa. Uczestnicy gromadzą się wśród zabudowań gospodarczych w Wierchosławicach, 30 kwietnia 1933. NAC

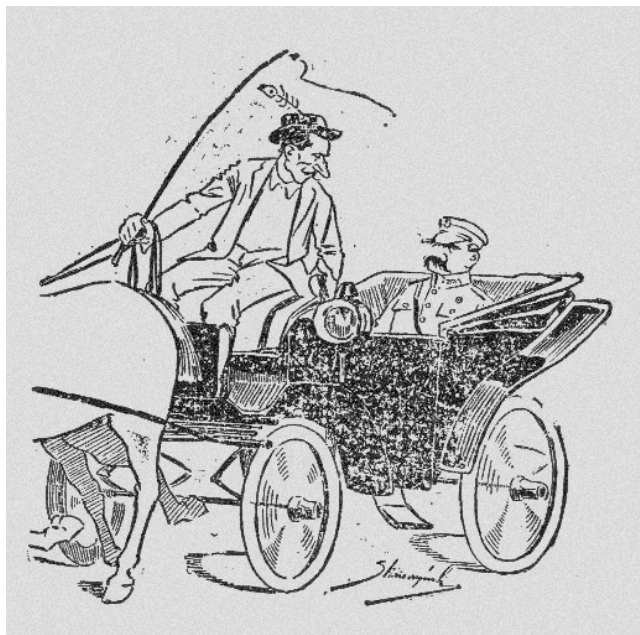
ŁUDOWY HETMAN
DOM RODZINNY I MUZEUM
WINCENTEGO WITOSA
W WIERZCHOSŁAWICACH

Chcielibyście kawałka porządnej historii. Takiej, że z chłopą król, że każdy buławę to nosi w plecaku, że z gumna na pałace. I już wam się świecą w oczach sejmowe sale, rauty, poncze i szable za pasem, najwyższe szczeble i tajemnice państwowe. Ale zapominacie o małej ojczyźnie, co wrasta pod paznokcie i szczoteczką żadną się jej nie wymyje. To jakby chip pachnący glebą i zziązanymi końmi. I nie zaszywacie go sobie, bo taki macie kaprys, tylko sam wam włązi pod skórę i czai się niczym Anioł Stróż, gotów do mądrej rady w czarną godzinę. Niektórzy zaś pamiętają o swojej ojcowiznie pamięcią słońca, delfina pamięcią, jak ten wójt z Wierchosławic, co to na posła wyszedł, ba, premierem był nawet i prezesem partii, a wójtowania się nie zrzekł, bo i dlaczegoż zrzec by się miał, skoro chwata?

Każdy by z was pragnął Wincentym Witosem побыć choć przez tydzień, przez miesiąc choć побыć, nie bójmy się słów, zbudować sobie rząd jeden, drugi, ho, ho, o trzecim nie wspominając. Architektka niepodległości nosić sztandar, za wizjonera uchodzić według Wyspiańskiego, dorobić się tytułów „Ojca Ojczyzny”, „mocarza ducha”, „symbolu wsi polskiej”, być „wielkim mężem stanu” koronowanym przez św. Jana Pawła II, załęgnać się w podręcznikach i na postumentach, popatrować sobie ulicom, szkołom i przedsiębiorstwom.



Za cukierkowo wam, za słodziutko, niczym pod kroplówką z kisiem? To macie też wariant hardcore'owy, dla zaawansowanych, co nad blaski życia przedkładają trudy: posiedźcie sobie długie noce ze szczurami wielkimi jak koty w twierdzy brzeskiej, łamcie sobie krzyże gromkimi oskarżeniami o majstrowanie zamachu stanu, uchodźcie do Czechosłowacji, której na mapie nie znajdziecie, więc tym gorzej dla was, a na deser sterczcie jak kołki pod karabinem gestapowców w okupowanym kraju. I w końcu, gdy demony wojny wrócą do butelki, zamiast świętować jej zaszpunktowanie, cierpcie katusze śmiertelnej choroby na krakowskim Kazimierzu, u bonifratrów, co dziś mlekomatem kuszą i miodami od świętych pszczół.



↑ Posłowie PSL do austriackiej Rady Państwa. Od lewej: Antoni Bomba, Mikołaj Rej, Zygmunt Lasocki, Władysław Długosz, Wincenty Witos, Włodzimierz Tetmajer, Michał Jedynak, 1911. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach



Ha, rekonstrukcyjnych zbytków minie wam szal i na własnej skórze odczujecie jarzmo ziemi, co wprawdzie życie wam daje, życia wam nigdy nie skąpi, lecz i wzywa was niechybnie, o wiecznej warcie przypominając zawsze zbyt wcześnie i zbyt natrętnie. Niech to ponure memento będzie dla was przestrogą i na przekór wszystkiemu niech wstrzyknie w was galony entuzjazmu, oksefty pogody ducha, hektolitry sił vitalnych. Już to wskoczcie na dreżynę, a jeśli dreżyny nie macie, rower choć odkurcie lub rykszę, nartorolek podługowate cielska wytoczcicie na jaw i prujcie wprost w tarnowskie klimaty, do Wierchosławic, gdzie piędź ziemi tak cenna jak zboże. Ale zanim translacji dokonacie o ten witosowski wektor, zahaczcie nogą w nogę ze sprzętem o Lasy Radłowskie, co cichaczem skradają się za Borzęcinem, skąd wszak wieszczę Sławomir Mrożek odjeżdżał do literackiej sławy, co ariergardę stanowią Radłowa z jego dworem, folwarkiem i kościołem o nieco gotyckim, nieco barokowym i nieco modernistycznym charakterze. Nie myślcie ani przez chwilę, że Lasy Radłowskie to pies, gaik byle jaki, bo grzechem przerażającym zgrzeszycie. Dajcie się wpuścić w maliny, w malinowe chruśniaki i łąki rajgrasowo-trzęślicowe, w siedliska borowe w wariacie sosnowo-dębowym, w wierzbowe zarośla, gdzie szafran spiski uśmiecha się sekretniej niż sama Gioconda. A jeśli podążycie za głosem sumienia i za głosem strumienia wśród starorzeczy Dunajca i Kisieliny, a nuż traficie ptasią piątkę w lotto: puszczyka uralskiego, rycyka, lelka, mucholówkę białoszyją tudzież bączka. A do szóstki dobierzecie sobie, dajmy na to, bobra, cierpliwie znoszącego waszą spoconą obecność nad którymś z ruczajów.

W lesie bywa cicho jak makiem zasiał, dróżki między kępami drzew i kilkoma uroczymi stawami, wijąc się niczym piskorze, wyprowadzają was na manowce metropolitalnych przyzwyczajęń. Furda skwerki i parczki miastowe, tu gramy o wielkiego szlema, wałęsamy się i wychodzić nie chcemy; ale przecież wójt Witos wzywa, marszczy wąsa, zew niepodległości nadciąga zza pni. Przedzieracie się przez ostępy i oto jesteście na Dwudniakach, w przysiółku gminnych Wierchosławic. To tu podówczas, przed stu laty, do czynów

↖ Karykatura – Witos powozi dorożkę z Marszałkiem, „Gazeta Poranna”, 8 lipca 1921. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

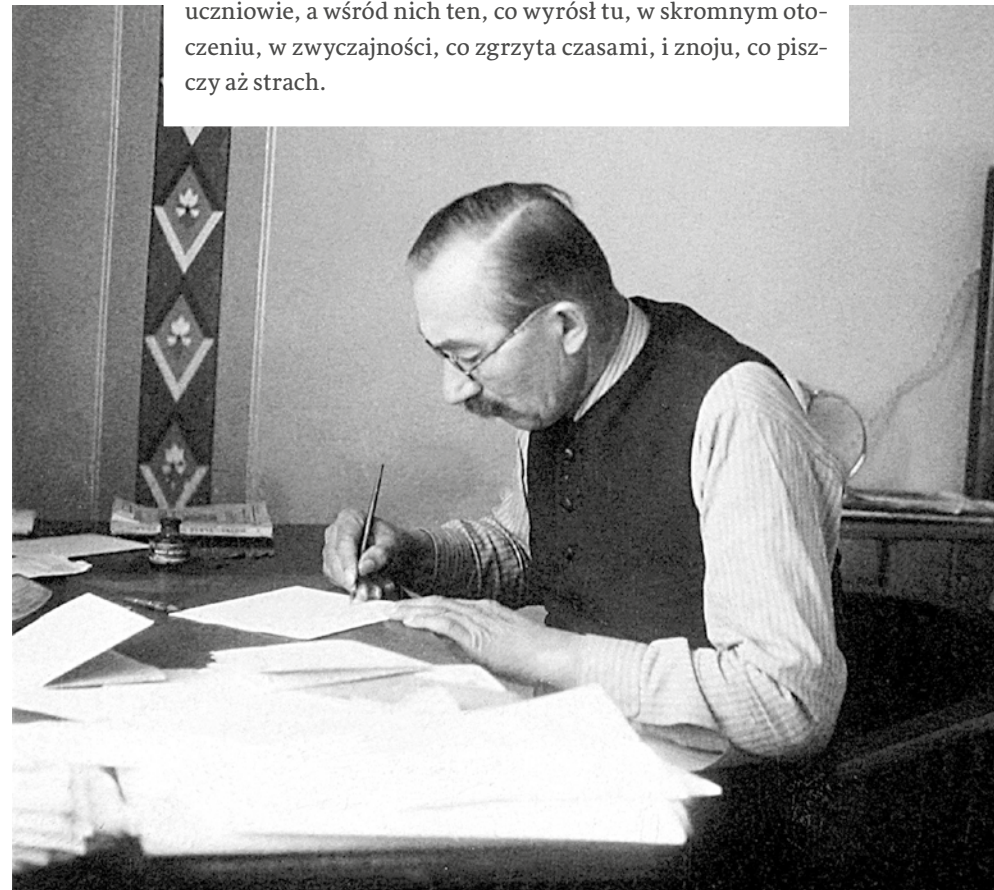


wielkich sposobił się przyszły ludowy hetman, Wincenty Witos, syn Wojciecha i Katarzyny ze Sroków. Rodzina była uboga, bo co to są „dwa morgi lichego gruntu”, o których mówi we wspomnieniach sam „genialny chłop”. Do tego trzeba było pięciolatki pasać „ową jedyną ojcowską krowę”, zanim „jednej jesieni ojciec się uwziął, poreperował mi jakieś stare na tandecie kupione buty, kupił mi za parę szóstek mocno przechodzoną bluzę, przerobił ją na mnie i mimo zawożenia matki, że krowa pozostanie bez opieki, polecił zaprowadzić mnie do szkoły”. W szkole wiejskiej ukończył zaledwie cztery klasy, później pracował z ojcem jako drwal. Ale nie były to lata stracone. Przeciwnie, lata płomiennych lektur i wychowania do patriotyzmu. Właśnie tam, na Dwudniakach, gdzie stawy i grzyby rosną w borze, skąd los zawezwie do służenia wielkiej, nowo odzyskanej ojczyźnie, by patosem podlać ten malowniczy świat małej ojczyzny u wrót 1918 roku.

↑ Witos w swojej stodoie. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

→ Wincenty Witos odpowiada na listy chłopów z Polski. Rožňava, Czechosłowacja, 1937. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

Kiedy słuchacie, z jaką werwą opowiada przyszły trzykrotny premier rządu polskiego o zachwycie Rejem, Fryczem Modrzewskim, Żeromskim, Przybyszewskim, Tołstojem, Żołą, Mickiewiczem, Słowackim, to nawet „kilka książek zakazanych, przez francuskich przeważnie autorów napisanych” już nie robi takiego wrażenia. Dajcież dzisiaj dzieciakowi książkę do łapki – który wam się zachwyci Kochanowskim, który leżkę wątlą uрони nad Polem? A tu mocne postanowienie, bez jednej chwili zwątpienia: „Oświata to dla nas źródło złotodajne, to krynica życia”. Panowie, panie, oto prawdziwy znak hetmański: nie metalowa klamra z żurawim czy orlim piórem, nie mosiężna kula czy buńczuk, lecz oświata, nie ma to tamto. I na nic ci sztab cały hetmana godzien, na nic pisarz polny, na nic profos, pan od Temidy, do spółki z logistyką-brabanmajstrem, gdy „gorącej miłości swego kraju” nie wyniesiesz ze szkoły, gdy o ruchu planet i o wojnach greckich i rzymskich, i o położeniu Chin na mapie pojęcia mieć nie będziesz. I wy też nie snulibyście mglistych marzeń o niepodległej Polsce, gdyby nie mądrzy nauczyciele i mądrzy uczniowie, a wśród nich ten, co wyrósł tu, w skromnym otoczeniu, w zwyczajności, co zgrzyta czasami, i znoju, co piszczy aż strach.



Znad zalewu do Starego Domu macie rzut beretem, hm, nawet i piłką lekarską byście pewnie dorzucili. Stójcie i patrzcie: dwustuletnia chałupa kryta strzechą, izba przerobiona ze stajni, w sieni urzęduje krowa. Właściwie to nie urzęduje, bo teraz to oficjalny zabytek, nie można tak sobie w zabytku rządzić jak w obórcie, ale wystarczy, że założycie archaizujące okulary, powiedzmy jakieś prababcine binokle, i hop, raz-dwa wskakujecie z gracją szympansiątek w sam środek harmidru wytężonej pracy rolników z końca XIX wieku. I już wiecie, że drewnianą chatę Witosów, zbudowaną z poziomo ułożonych belek, oblepiono gliną i pobielono wapnem; choć pobielono to złe słowo: raczej pobłękitniono, uniebieszczono, zlazuirowano – wyjść macie do woli. A wejście jedno, w ścianie frontowej, co teraz po gruntownym remoncie, choć z użyciem wyłącznie tradycyjnych metod i narzędzi, jawi się jako drzwi do domku jednego ze Smerfów. W środku nie znajdziecie jednak ani soku ze smerfojagód, ani eliksiru długowieczności. Musicie zadowolić się murowanym piecem z okapem i studnią z żurawiem. Tylko uważajcie na jakiegoś Klakiera; sporo tu takich, pochowanych między elementami drewnianego wyposażenia – coś na kształt miniskansenu – i w ogrodzie oraz na zapiecku.

Strzecha gęsta jak broda Papy Smerfa, który w zamyśle miał być podobny do Karola Marksa. Witosowa fizjonomia nijak nie wpasowuje się w ten kanon męskiej urody: wąs, zązecz gładki, od krawata stronienie. Żeby coś więcej powęszyć w tym temacie, kierujecie się spacerem na wschód (dreżynę zostawiacie śpiącą na stacji w Bogumiłowicach). Paręset metrów dalej, tuż przy drodze łączącej centrum Wierchosławic, no i dalej Wojnicz z jednej, tarnowskie Mościce z drugiej strony, z Radłowem i Żabnem, odnajdujecie Muzeum Wincentego Witosa. W rzeczywistości to zagroda obejmująca pięć budynków: dom mieszkalny, stajnię (budynek inwentarski), dwie stodoły i spichrz. Witos wybudował ją w latach 1905–1913 na ziemi z posagu swojej żony Katarzyny i gospodarował tu w przerwach od kariery galicyjsko-wiedeńskiego, a następnie warszawskiego męża stanu, liczonej łącznie z kilkuletnim pobytem w latach trzydziestych na przymusowej



emigracji na Morawach i Zaolziu, gdzie prócz kontestowania wyroku w procesie brzeskim i prowadzenia działań politycznych, z chęcią poddawał się szczodrośliwości górskiego powietrza i kuracjom ziołowym.

No i wójtował. Wójtował z powodzeniem przez ponad dwadzieścia lat i chyba mu się nie nudziło, skoro wybudował w Wierchosławicach młyn i dom ludowy, zabrał się za meliorację i naprawę dróg, rozwinął, jak się patrzy, ruch spółdzielczy i kółka rolnicze. Jako lider nowo powołanej partii Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”, która od 1913 roku silnie zaznaczyła swoją obecność w galicyjskim Naczelnym Komitecie Narodowym, a następnie polskim sejmie, był postacią nietuzinkową i obiektem najwyższych pochwał płynących od rodu chłopskiego. W muzeum, które w Witosowym obejściu mieści się od 1971 roku, bez trudu traficie na sterty listów, pism, dokumentów i haftowanych chusteczek poświadczających to przywiązanie. Od polityków po zwykłych mieszkańców polskich wsi i miasteczek, od członków kół rolniczych po księży – wśród autorów panuje powszechna zgoda co do geniuszu „wielkiego przywódcy polskiego ludu” i wylewają się autentyczne emocje. Ale to nie wszystko. Kiedy spacerujecie sobie po budynku inwentarskim przerobionym na izbę muzealną i macie jak na dłoni bogate fotograficzne relacje z kolejnych etapów burzliwego życia Witosa, natychmiast uruchamia się prosty mechanizm skojarzeniowy, no, coś na kształt diabła z pudełka: oto przenosicie się raz jeszcze do zarania II RP, do kocich bruków, eleganckich etoli i stukających wniebogłosy dorożek. Wiele się zmieniło, gdzieś tam sobie to notujecie za pazuchą, oj, wiele, choć w parlamencie kłótni nie brakowało.

No tak, ale to w wielkim świecie. W mniejszym, tu, w Tarnowskim, w zagrodzie wójta, życie szło nieco innym torem. Drewniane budynki o konstrukcji zrębowej stoją jak stały sto lat temu, budziły się do suwerenności po to, by teraz być jej niezmiennym punktem odniesienia. Wchodzicie do domu, w którym mieszkała rodzina Witosów, choć jakoś się krygujecie, bo w końcu to tak, jakby zaglądnąć wodzowi pod pierzynę. Niby nic, ale nawet tych staruszkowych binokli nie



potrzeba. Wnętrza autentyczne, meble, sprzęty, kuchnia, piec chlebowy. Rzeczy osobiste. Znoszone buty i płaszcz. Pokój sypialny z tradycyjnie szerszym niż dłuższym łóżkiem. Jakies drobiazgi, obrazki i zdjęcia. Medale, order, krzyże. Historia domu, z jedyną córką Wincentego i Katarzyny Julią, która po śmierci mieszkała tu z rodziną, i jej córką, Joanną, kryje się w zakamarkach, pod ławami, w etażerkach i skrzyniach z ciężkimi wiekami. W skórzanej walizce z wygrawerowanymi inicjałami właściciela: W.W. (dla tych, co zmęczeni już i gorzej ciągną z kojarzeniem: nie chodzi o Wojciecha Waglewskiego ani o Wandę Wiłkomirską). W wyimkach ze starych gazet, których moc.

„Rysopis zbiegłego: wzrost wysoki, barczysty, duża twarz i głowa, grube rysy, brunet, uczesany z przedziałkiem na gładko, wąsy lekko podkręcone do góry, twarz golona, rzucający się w oczy duży nos, mocne łuki brwi, nosi się z chłopska, chodzi w butach, bez krawata, barwa oczu ciemna, przy czytaniu nosi okulary, pali papierosy” – głosi list gończy opublikowany po zakończonym w 1933 roku procesie brzeskim. Kombinujecie słusznie: trudno złapać – tak po prostu – kogoś, kto chodzi w butach. Sprawa przegrana. Nawet gdybyście chcieli dać znać prokuratorowi, co siedzi w Warszawie i czeka na jakąkolwiek wiadomość, to nic byście nie wskórali. Szukacie po domu, wychodzicie do rozległego ogrodu, przeganiacie z podwórza gawrony, sikorki spod stodoły, koło spichrza bawicie się w chowanego z kocurami i sztandarami ludowych partii i organizacji, ale Witosa ani widu, ani słychu.



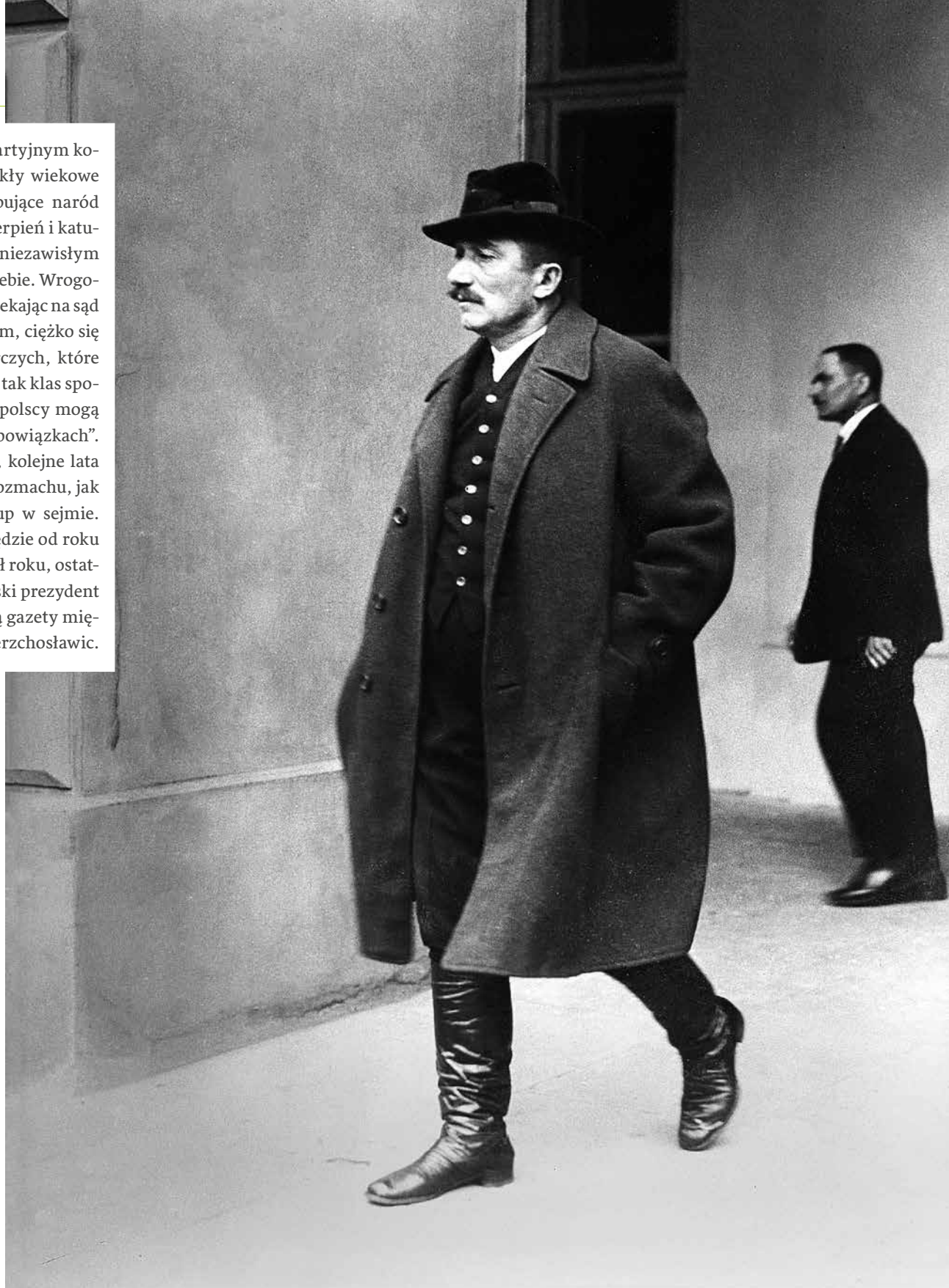
Nie ma Wincentego, stojącego na zdjęciu w za dużym garniturze, nie ma Katarzyny siedzącej w białej bluzce i dwóch sznurach koralu. Ganek, krzywy płot, pościel wietrzy się na sztachetach, pranie wywieszone między drzewami. Tego też nie ma. Ostała się lipa. Dziś majestatycznie góruje nad obejściem, na fotografiach sprzed stu lat jest co najwyżej w drzewnym przedszkolu. Teraz organizuje się tu pikniki. Siedzicie w jej cieniu, tak jak siedział wójt Wierchosławic, i wydobywacie z najdalszych zakątków pamięci, a może raczej lepicie sami, korzystając z dobrodziejstw prywatnej imaginacji, historię czterdziestoczterolatka, który 28 października 1918 roku staje na czele Polskiej Komisji Likwidacyjnej Galicji i Śląska Cieszyńskiego. Zadaniem PKL jest przygotowanie ziem galicyjskich do transferu z monarchii austro-węgierskiej do tworzącego się niepodległego państwa polskiego. To początek kariery politycznej Witosa.

↑ Witos z żoną Katarzyną przed domem, 1928. Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

← Premier Wincenty Witos na czele rządu, 11 maja 1926. NAC

Wkrótce, pod koniec roku, może obwieścić partyjnym kolegom, ale i przecież wszystkim rodakom: „Pękły wiekowe kajdany niewoli, zdjęte zostały łańcuchy krępujące naród polski przez długie lata, skończyło się pasmo cierpień i katuszy – jesteśmy wolni. Polska stała się państwem niezawisłym – naród polski stał się panem i gospodarzem u siebie. Wrogość nasi, państwa zaborcze, leżą zdruzgotani, czekając na sąd świata. Zbrodnia, dokonana na narodzie polskim, ciężko się na nich zemściła. Z upadkiem państw rozbiornych, które były ostoją wstecznictwa, upadły też przywileje tak klas społecznych, jako też jednostek. Wolni obywatele polscy mogą być tylko równi – równi w prawach, równi w obowiązkach”. Nic bardziej trafnego. Choć, jak dobrze wiecie, kolejne lata pokażą zarówno jasną stronę cywilizacyjnego rozmachu, jak i rozdrobnienie interesów poszczególnych grup w sejmie. A także w rządzie, którego premierem Witos będzie od roku 1920 trzykrotnie, najpierw ponad rok, potem pół roku, ostatnim razem – pół tygodnia. „Pierwszy włościański prezydent ministrów”, jak nie bez krzty sarkazmu donoszą gazety międzywojnia, i w tym samym czasie wciąż wójt Wierchosławic.

→ 4 marca 1928 roku Witos został po raz kolejny wybrany na posła na Sejm RP. Zarówno w Warszawie, jak i w Wierchosławicach widuje się go nadal w charakterystycznym stroju, 1928. NAC



Ruszacie spod lipy, opuszczacie Witosówkę i Dwudniaki, by powędrować niespiesznie do centrum Wierchosławic, w okolice ruchliwego ronda ze sklepami, pawilonem Urzędu Gminy oraz ukrytym za drzewami Domem Ludowym im. Wincentego Witosa, przed którym tkwi orzeł zaczepiony pazurami w kamiennym obelisku. Zły, wygląda, jakby chciał wreszcie gdzieś odfrunąć, z wysokości popodziwiać odnowiony gmach Uniwersytetu Ludowego, w którym ma teraz siedzibę Centrum Kultury Wsi Polskiej z parkiem, boiskami i popiersiem „symbolu wsi polskiej” witającym gości. Albo cmentarz parafialny z kaplicą grobową rodziny Witosów, albo dziewiętnastowieczny kościół Matki Bożej Pocieszenia, albo cmentarz żołnierzy z pierwszej wojny światowej, albo parę drewnianych chat, które nie miały tyle szczęścia i nie mieszkał w nich żaden premier, żaden prezes, nawet wójt żaden. Ludowy hetman też, bo taki się zdarza w przyrodzie zbyt rzadko. Może ten orzeł zrobiłby kółko i przysiadł na jednej z chat. I zaskrzeczał: chcielibyście kawałka porządnej historii. Takiej, że z chłopą król, że każdy buławę to nosi w plecaku, że z gumna na pałace. I już wam się świecą w oczach sejmowe sale, rauty, poncze i szable za pasem, najwyższe szczeble i tajemnice państwowe. Ale zapominacie o małej ojczyźnie, co wrasta pod paznokcie i szczoteczką żadną się jej nie wymyje.



Wystawienie ciała zmarłego Wincentego Witosa w szpitalu oo. Bonifratów w Krakowie 31 października 1945.
Z archiwum Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach

Kawerna Kosocice, od lewej z łaską komendant Twierdzy Kraków Karl Kuk, dalej Eduardo von Albori, obok
wsparty na łasce arcyksiążę Leopold Salwator, 1914. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

Z BIDONEM
I MENAŻKĄ
FORT 50 ½ O BARYCZ
W KRAKOWIE

Pamięci mojej Babci Ireny Wojny

Chcielibyście, i przyznajcie to bez bicia, pokąpać się w bohaterskim słońcu, uszczknąć ociupinę z martyrologicznego sagana, zadać w barani róg niczym Mojżesz, by ogłosić oswobodzenie mieszkańcom całego świata, a przynajmniej świata podwawelskiego. Zanim jednak rozścielicie kobierce niepodległości, nim bielik – dla jednych majestatyczny orzeł, dla innych ledwie orłan padlinożerca – wymości się w patriotycznym gnieździe, ktoś musi przecież za was wylać hektolitry potu, ktoś pooddychać rękawami, ktoś odeprzeć wraz siły i złe myśli, które cisną was błotnistym kamaszem. Owszem, chcielibyście napompować się krakauersko-galicyską dumą i niczym niesławny balon spod ronda Grunwaldzkiego wzniesć ponad deweloperską kłocowiznę. Albo wcielić się w podkręcającego wąsa wiarusa, co się szrapnelom nie kłaniał, i romantycznym niuchem tabaki przyćmić szarugę codzienności. Miłe moje, moi mili: otóż wojna nie ma w sobie nic z romantyzmu, nic a nic. Bowiem, jak pisze noblistka Swietłana Aleksijewicz, „wojna jest przeżyciem zbyt intymnym. I tak samo nieskończonym, jak ludzkie życie”.

A przede wszystkim wojna nie ma w sobie nic z kobiety, by raz jeszcze sięgnąć do arcyksiążki Aleksijewicz. Choć same układają wam się wargi, by zanucić „wojenko, wojenka, cóżes ty za pani, że za tobą idą, że za tobą idą, chłopcy malowani?”, to częściej pobrzmiwa wam w szanach i transejach Bułat Okudźawa: „Ach, wojenka przeklęta – zgiełk boju, kurz, zamiast ślubów rozłąka i znój”. Wojenka, sami widzicie: chciałoby się ją jakoś ugłaskać, upuścić i zamienić w partię warcabów przy kominku, w drewnianej chałupce gdzieś tam pośrodku bukowych lasów, w filcowych bamboszach, z kubkiem gorącej herbaty earl grey. No dobrze: kiedy już odrzucicie na bok majaki i wyźmiecie śmierdzące onuce, waszym oczom ukażą się wypełnione krzykami żołnierzy, a gdzieś niedaleko i żołnierek, błotniste wadoły. I już po chwili ponure kruki i jastrzębie krążą nad ciałami niczym małopolskie sępy, towarzysząc carskiemu „walcowi parowemu” w marszu na Kraków początkiem grudnia 1914 roku. Żeby bronić Rynku, trzeba się poradzić matki, bez matki ani rusz.

→ Armata zdobytą pod Przemysłem w 1915 roku, eksponowana na krakowskim Rynku. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków





Matką najlepszą będzie wam twierdza, i to nie byle jaka. Twierdza Kraków to matka, przed którą pierzchają strachy i moce wstępują w żyły, mięśnie twardnieją w stalowym uścisku, a smakiem muszą obejść się wszyscy, którzy nie umyli rąk przed jedzeniem. Pół wieku trwało ufortyfikowanie Krakowa zgodnie z założeniami Austriaków, którzy zdobywają Wawel w połowie XIX stulecia i wkrótce potem przerabiają go na cytadelę. Wokół Wawelu rozrasta się miasto numerowanych kolejno fortów, bastionów i wież artyleryjskich, początkowo ograniczone do centralnych rejonów Krakowa i Podgórza, następnie połykające kolejne przysiółki, by zatrzymać się dopiero na otaczających je wzgórzach – od Biełan po Pękowice i Bibice, od Skotnik i Jugowic po Mogiłę. Ów zewnętrzny pierścień fortyfikacji, który w dość dobrej kondycji przetrwał po dziś dzień, opasuje was ciasnym węzłem troski, rozpędza w matczynych objęciach wszelkie niepokoje i gasi pragnienie wsparcia.

Tym razem zwracacie się ku grzbietowi broniącemu dostępu do miasta od południowego wschodu. Docieracie tu rowerami, bo to rzut beretem od Rynku, ledwie kilkanaście kilometrów, co to dla was, drodzy amatorzy małopolskiego krajoznawstwa. Choć pamiętajcie: stromizny tu niczym Marmolada w Dolomitach, jak przełęcze Stelvio czy Pordoi, więc nie raz, nie dwa wywalicie jęzory na kształt białych flag, grymaśnie podjeżdżając z Piasków Wielkich ulicą Szczawnicką lub z Kurdwanowa Podgórkami czy Miarową. Da wam popalić bezwzględna pionowość, zwłaszcza w połączeniu z powybijanymi w quasi-asfalcie dziurskami. Oto prawdziwie ekstatyczna walka podjazdowa, oto suniecie tędy niczym zbrojna hałastrosz Rosjan na początku grudnia 1914 roku, lecz przecież wiarą w matkę-twierdzę rozkładacie swoich antenatów na łopatki; wy odeprzeć się tak gładko nie dacie i atakujecie wzniesienie z tour-de-france'owym animuszem Rafała Majki. I tylko od czasu do czasu, spomiędzy potliwych strug żłobiących wasze kolarskie główki, dochodzą do was podśmiechiwania dziecięcia zielonego, przypatrującego się waszym męczarniom na premii górskiej poza kategorią.

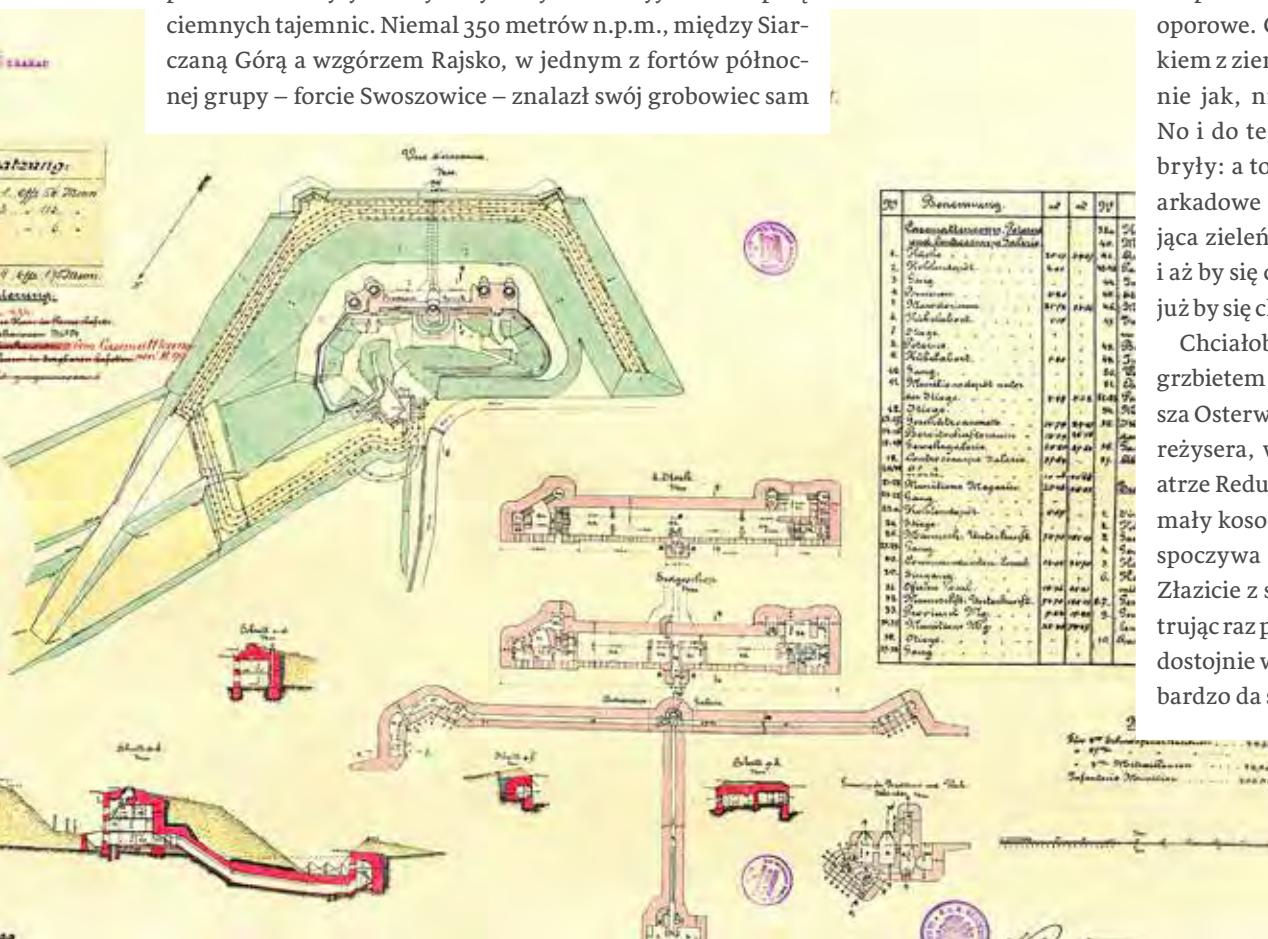
← Legendarne 16 Pułk Piechoty Obrony Krajowej „Kraków”, w lipcu 1914 roku większość żołnierzy pułku stanowili Polacy. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

W końcu, ledwie dysząc, meldujecie się na górze, gmera-
jąc w manierkach, czy co tam macie z sobą, w poszukiwaniu
choćby kropli wody. Spoglądacie z zazdrością na kruche dom-
ki z drewna, których nie zdołała zdmuchnąć wojenna zawie-
rucha, poukrywane wśród stromych stoków ponad hukiem
autostrady A4. Rajsco! No Rajsco, Rajsco, bo tak zwie się ten
skrawek metropolitalności, do Krakowa przyłączony dopiero
niecałe pół wieku temu, a niegdyś pokaźna wieś z hutą siar-
czaną, folwarkiem i przydrożną kapliczką oddychającymi
powietrzem cokolwiek bardziej rzeckim. Na kapliczce, obok
pana Jezusa, święty Walanty. Walanty jedyny w swoim ro-
dzaju, a nie żaden bezbarwny Walenty, strzeże szkoły pod-
stawowej, boiska strzeże i paru starych drzew też. A wszyst-
ko to w cieniu potężnego fortu artyleryjskiego Rajsco,
który nie dość, że spogląda z pobłażaniem na cały Kraków
– a ma na co, bo widok z Drogi Rokadowej rozciąga się najsze-
rzej, jak się da, od białąńskiego klasztoru ojców Kamedułów
po kanciaste bryły Nowej Huty – to jeszcze kryje w sobie parę
ciemnych tajemnic. Niemal 350 metrów n.p.m., między Siar-
czaną Górą a wzgórzem Rajsco, w jednym z fortów północ-
nej grupy – forcie Swoszowice – znalazł swój grobowiec sam

towarzysz Lenin; no, może nie ten sam, co żwawo wspinał się
na Zawrat, ale jego brat bliźniak z brązu, który zafrasowany
spacerował sobie w miejscu aleją Róż, póki III RP nie postano-
wiła zwolnić go z tego obowiązku. Wprawdzie po ekshumacji
nowohuckiego sobowtóra Włodzimierza Iljicza przewieziono
do parku osobliwości w szwedzkim mieście Värnamo, to jed-
nak matczyne łona fortów nadal czekają na nieszczęśników
nadgryzanych, niechby i spróchniałym, niechby i kiwają-
cym się, zębem czasu.

Rajską matkę o sercu miękkim, choć betonowym, zbudowa-
no w latach 1881–1884; był to jeden z pierwszych fortów ar-
tyleryjskich w założeniu Twierdzy Kraków. Z powierzchnią
ponad 2600 m² należał podówczas do największych budowli
tej klasy w całych Austro-Węgrzech. Pod projektem podpisał
się generał broni baron Daniel von Salis-Soglio, który wcze-
śniej był twórcą fortyfikacji Przemyśla i Lwowa. O wadze for-
tu świadczył fakt, że do wykonania koszar, schronów, potern
i kaponier użyto betonu, a z cegieł postawiono jedynie mury
oporowe. Oczywiście beton przykryto następnie szlafroc-
kiem z ziemi, żeby całość nie wyglądała równie monolitycz-
nie jak, nie przymierzając, jakieś stetryczałe blokowisko.
No i do tego architektoniczne zbytki ożywiające prostotę
bryły: a to boniowanie portalu bramy głównej, a to bielone
arkadowe łuki wypełnione ceglanym murem, a to masku-
jąca zielen. No, proszę, proszę, spacerujecie sobie tu i tam,
i aż by się chciało do takiej matuli przytknąć pałające liczko,
już by się chciało zaczerpnąć wody z korbowej studni miłości.

Chciałoby się, chciało, a tu popedałować trzeba naprzód,
grzbietem pagóra, prosto w stronę Kosocic, długą ulicą Juliu-
sza Osterwy, kogóż by innego, tego Osterwy aktora, Osterwy
reżysera, witającego nową Polskę w eksperymentalnym te-
atrze Reduta przy warszawskim Teatrze Rozmaitości. Mijacie
mały kosocicki cmentarzyk, pod którego wiekiustym okiem
spoczywa ukradkiem fort pancerny pomocniczy Kosocice.
Złazicie z siodełka i spacerujecie między nagrobkami, popa-
trując raz po raz na gigantyczne głowy królów z papier mäché,
dostojnie wietrzące się w wale przy fortowych koszarach. Nie
bardzo da się wejść, bo teren prywatny, a tak bez zaproszenia



← Plan fortu Barycz, ze zbioru wiedeńskiego Kriegsarchiv, kopia ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków



w matczyne progi – a matka tu z tych surowszych, co by was bagnetem rada była dźgać o poranku – nie wypada. Powinniście przeto wiedzieć, że to nie ten fort jest tematem waszym przewodnim, bo to przygrywka ledwie do innego fortu, fortu we właściwy sposób intrygującego, usytuowanego z dwieście metrów dalej na wschód, w samym sercu Kosocic, choć z nazwą odnoszącą się do sąsiedniej Baryczy, żeby się nam nie myliło z kuzynostwem.

Pod kosocickim kościołem popłakujecie cicho, bo sentymentalna gula wyrosła wam w gardłach błyskawicznie jak rzeżucha. Odwieczna linia autobusowa 107 mknie w stronę Baryczy i Soboniowic z gracją jaszczka. Oto wyrasta przed wami średniowieczna wieś, zgodnie z legendą założona przez niejakiego Kosa. Ten to mąż, uciekając w 1260 roku z Krakowa przed Tatarami, tak jak wy, choć zapewne nie na jednośladzie, wdrapał się na wzgórze. Tu czekał go los leśnego partyzanta. Wkrótce jednak znudziło mu się granie w warcaby z borsukami i zbudował osadę. Wszystko po to, byście się teraz mogli bez opamiętania zajadać wafelkami w czekoladzie i podziwiać łagodne zbocza Pogórza Wielickiego, z Lasem Kosocickim i wzgórzami Grabówek na pierwszym planie, a regularnymi kopami Beskidu Średniego przycupniętymi na horyzoncie. Gula nie zamierza niknąć: przypominacie sobie wszystkie młodzińcze szarże endemicznymi zaułkami Koszutek i Orszańskiej, niekończące się popołudnia na ślizgawce w pobliskim gaiku, opowieści o montypythowskim pingwinie z elektrycznymi mackami, który w okamgnieniu rozwaliby całe bataliony nieprzyjaciół. Mimo

↑ Wieże pancerne fortu Barycz lub też fortu Swoszowice, co bardziej prawdopodobne, fot. J. Bogdanowski, projekt wykonany przez inżyniera Jana Stobieckiego, za: J. Bogdanowski, *Warownie i zielen Twierdzy Kraków*, Kraków 1979



że Kosocice, podobnie jak Rajsco, wpisują się w administracyjne ramy Krakowa dopiero od niecałych pięciu dekad, ich rodowód jest znacznie bogatszy i sięga czasów nieomal rzymskich legionistów; no, może to przesada, ale niewielka. Trudno się zatem dziwić, że to właśnie tutaj, w potężnym forcie pancernym Barycz, czającym się przy obecnej ulicy generała Jana Hallera, zamieniacie się w militarnych speleologów i wnikacie pod podszewkę maminego fartuszka.

Z zewnątrz fartuszek, okolony szpalerem zieleniących się drzew-frędzli prezentuje się całkiem pociągająco, a co dopiero czeka was za pazuchą! Fort, zupełnie jak zachodni kuzyn z okolic cmentarza, został zaprojektowany w latach 1897–1899 przez Emila Gołogórskiego, generała i architekta o lwowskich korzeniach, który zasłużył się ojczyźnie jako twórca wielu fortów zewnętrznego pierścienia Twierdzy Kraków (prócz Kosocic jeszcze Pękowic, Bibic, Mistrzejowic i Lasówki); po 1918 roku wstąpił do Wojska Polskiego i otrzymał nominację na dowódcę Okręgu Generalnego „Kraków”, a następnie OG „Lwów”. Dokładnie sto lat później flanerujecie sobie po terenie fortu, podziwiając to, co pozostało z pierwotnego wyposażenia, w tym okazałe pancerne drzwi i okiennice, część pancerzy i wyposażenia wież pancernych i stanowisko wieży obserwacyjnej, nie wspominając o potężnych pancierzach tradytorów. Nie przetrwały niestety same wieże, zezłomowane bezmyślnie podczas któregoś z remontów.

Na pierwszy rzut oka, nawet nieuzbrojonego w specjalistyczną aparaturę, widać, że fort wyróżnia się rozbudowanymi kaponierami skierowanymi na południowy wschód oraz

↑ Na pierwszym planie dwie wieże ciężkich haubic 15 cm Wz 1894 (do walki z bateriami oblężniczymi nieprzyjaciela na dalekim dystansie), w środku cztery mniejsze wieże moździerzy 15 cm Wz 1880, na dalszym planie wieża 8 cm armaty pancernej Wz 1894 firmy Škoda z Pilzna. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

bardzo głęboką i stromą suchą fosą, w której co prawda nie uświadczycie krokodyli i skrzypłoczy, lecz bez trudu można odnaleźć ślady lisów, kun i zdziczałych kotów. Porzuciwszy rower przy wejściu, zajmujecie stanowisko na przeciwstoku i obserwujecie działania rudych wiewiórek, którym najchętniej dalibyście czekolady z orzechami lub choćby kilka jajek. Obchodzicie teren fortu wokół, radośnie węsząc za przyszkodami. Uważajcie tylko na tu i ówdzie przypominające o sobie zamaskowane stanowiska strzeleckie, transeje lub relikty kolejki polowej dostarczającej niegdyś wyposażenie i amunicję, no i na zbutwiałe liście, bo do fortu nie wypada wkraczać w poplamionych galotach. Wchodzicie przez pancerne drzwi do środka: labirynt surowych wnętrz kryje izby żołnierskie, oficerskie, izbę samego komendanta fortu, no i najważniejsze – izby bojowe wież artyleryjskich, by wytrwałych doprowadzić do tajemnego przejścia zwanego poterną lub potajnikiem – którym można przejść pod fosą do galerii strzeleckiej, przeciwstoku i dwóch kaponier rewersowych. A stamtąd to już moglibyście poprowadzić ostrzał, przynajmniej



wówczas, gdybyście mieli trochę odwagi, umiejętności, no i jako takiej broni. Nie macie, więc tylko snujecie się po hałdach zieleni otaczających budynek fortu i coraz mocniej zagłębiacie się w otchłań pierwszowojennego kalendarza.

Jak trwoga, to do mamy. 5 grudnia 1914 roku forty w Rajsku i Kosocicach wzięły na siebie główne uderzenie ognia artylerii rosyjskiej armii podczas tzw. drugiej bitwy o Kraków (pierwszą generał Conrad von Hötzendorf toczył w listopadzie, broniąc miasta od północy). Głównym celem Rosjan idących traktem lwowskim od Wieliczki było bowiem przełamanie umocnień Pogórza Wielickiego: gdyby się to udało, droga na Kraków byłaby otwarta jak panorama z Drogi Rokadowej. Rosjanie byli tak pewni swego, że w okupowanej Wieliczce zdążyli przygotować serię widokówek z „rosyjskiego Krakowa”, na których widniały wizerunki Sukiennic, wieży ratuszowej, bramy Floriańskiej czy Barbakanu. Pojawiali się też tu i ówdzie w okolicach Bieżanowa, porywając kury, paszę dla koni i inne wiktuały. No cóż, deczko nieroztropnie.

← Satyryczny kalendarz działań wojennych w ostatnim kwartale 1914 roku.

Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

↑ Szef Sztabu Generalnego, Conrad von Hötzendorf przy biurku, fot. Ch. Skolik, lipiec 1914. Ze zbiorów Muzeum Twierdzy Kraków

Pech chciał, że naprzeciw siebie mieli pełną załogę fortów, moc artylerii i matczyną twierdzę, co swoim dzieciątkom przychylił nieba. Rosjanom pozostał odwrót poza zasięg rażenia pocisków, które biły z mocą pięści Muhammada Alego. Do tego komendant Twierdzy Kraków generał Karl Kuk, rodem z Triestu, który po wojnie na dobre poświęcił się pisaniu – jest autorem rozpraw o *Fauście* Goethego czy o architekturze wiedeńskiego pałacu Hofburg – okazał się czujnym strategiem: system podziemnych schronów i zasadzek, z których atakowano cofających się Rosjan, zdał egzamin na piątkę z plusem, podobnie jak inne ofensywne decyzje o wypadach na przedpole fortyfikacji. Drugim czujnym strategiem do pary był generał Stanisław Haller, kuzyn Józefa Hallera, który w latach 1912–1915 był szefem sztabu Twierdzy Kraków, po wojnie awansował zaś nawet na szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i mimo że najprzedniejszych się orderów dosłużył, to ulicy w Krakowie – nie. Z takim Kukiem, z takim Hallerem to Kraków miał prawo czuć się bezpieczny. Nawet bitwa na bagnety w okolicach wzgórza Kaim, wiecie, po drugiej stronie szosy wielickiej, nic tu nie dała: może poza kamiennym obeliskiem dłuta Henryka Nitry, który do dzisiaj przypomina o wydarzeniach sprzed stu lat i stanowi atrakcyjny punkt widokowy, także dla okolicznych pieszków, chyżo wbiegających na cokół i z przejściem obserwujących pozycje nowej, acz nie zawsze pięknej, zabudowy. Krótki raport: trakt lwowski obroniony, „walec parowy”, jak zwykło się obrazowo określać rosyjską ofensywę na Kraków w 1914 roku – zatrzymany.

Objeżdżacie na bcyklu całe założenie fortu, podziwiając, w jak eleganckim stanie się dziś znajduje. A nie wszystkie forty mogły powitać wolność z równą werwą. Wprawdzie w 1918 roku Twierdza Kraków przeszła w zbrojne ręce Wojska Polskiego, niemniej część budynków rozebrano, część ograbiono, o część upominała się natura. Zamieniono je w magazyny i składy, zacierając ich bojową historię, tak jakby nowa Polska wcale nie potrzebowała materialnego świadectwa sukcesu. Ale południowo-wschodnie budowle Twierdzy mają się nieźle. Pamiętajcie zatem o tym, gdy sączycie beztrosko



lemoniadkę w którejś z kazimierskich lub okołorynkowych kawiarenek, że możecie to robić tylko dzięki bohaterstwu żołnierzy spod maminego fartuszka Twierdzy Kraków, którzy w Kosocicach i Rajsku pełnili swą wartę – włączmy patos – z należnym honorem i wielkim poświęceniem. Bo wiecie: niby wojna nie ma w sobie nic romantycznego, niby wywleka na wierzch to, co w ludziach najgorsze, ale prócz „rozłąki i znoju” od czasu do czasu przynosi też oddech wolności, który pozwolił waszym babciom na bycie pierwszymi kobietami w sąsiedztwie jeżdżącymi na nartach.

Kiedy czerpicie z tego oddechu wolności w rowerowym zjeździe na złamanie karku z Kosocic w stronę Piasków, wpadają wam do oczu muszki, o uszy objają się włochate trzmielce, zwinki czmychają jedna po drugiej pod kamienie. Kraków drobnych zaułków i obrośniętych ostem kapliczek znika z powiewem halnego, a przed oczami rośnie wam wielka betonowa pustynia, która nieco odstręcza plombowaniem każdego wolnego skrawka zieleni, to jasne, ale i zaleca się wieloma uroczymi zakamarkami, o których wiecie tylko wy i wasza pamięć. Dzięki ci zielony na moment zawiesza swój czarci chichot i od razu pęczniejecie może nie z dumy, może raczej z radości, choć przecież chcielibyście, i przyznajcie to bez bicia, pokąpać się w bohaterskim słońcu, uszczknąć ociupinę z martyrologicznego sagana, zadać w barani róg, niczym Mojżesz, by ogłosić oswobodzenie mieszkańcom całego świata, a przynajmniej świata podwawelskiego.

PODZIĘKOWANIA

Wolność krzepi. W słuszność tego stwierdzenia trudno nam chyba wątpić. Wystarczy, że podliczymy sobie lata zaborów, okupacji i podległości wobec najeźdźców, jakie musiała odcierpieć Polska, żebyśmy teraz wszyscy mieli „wolność” na drugie imię. Krzepi zwłaszcza wolność twórcza. Możliwość przeniesienia rozważań o tematyce historyczno-społecznej w sferę barwnej wyobraźni i języka, który nie boi się eksperymentów, to jedno z niezbywalnych osiągnięć awangardystów sprzed stu lat. Odważnych innowatorów i anarchistów kultury, co przejrzałym konwencjom i modom się nie kłaniali. Niestrudzonych poszukiwaczy intelektualnych przygód, z szufladami pełnymi pomysłów i z pasją podejmujących się wyzwania na pozór niemożliwych. A jednak: zew wolności daje człowiekowi takiego kopa, że najbardziej utopijne idee okazują się na wyciągnięcie ręki. Artystom, pisarzom i myślicielom awangardowym z pierwszych dekad minionego stulecia należą się podziękowania za to, że przetarli szlaki politykom, dowódcom wojskowym, działaczom społecznym i naukowcom, dyplomatom z pierwszych stron gazet i lokalnym bohaterom. A ci z kolei uwierzyli, że własnymi siłami da się zmienić świat.

Współczesnymi awangardystami są wszyscy, którzy czynią się do zachowania pamięci o początkach wolności, chuchając i dmuchając na najbardziej tajemnicze opowieści i najbardziej nietypowe obiekty. Spotykaliśmy ich na każdym kroku, pisząc książkę, gromadząc materiały i pracując nad ostatecznym kształtem tegorocznych Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego. Mamy nadzieję, że zechcą przyjąć nasze podziękowania za merytoryczne wsparcie, jakiego nam bez chwili wytchnienia udzielali, oraz za opiekę – nad zabytkami, których są gospodarzami i znawcami, ale także nad całym naszym zespołem podczas zwiedzania. Dzięki ich wskazówkom pole do gier wyobraźni zostało wypełnione niezbędnymi informacjami. Dzięki książkom, fotografiom i opowieściom Kazimierza Tomczyka oraz życzliwemu

przyjęciu przez prezesa Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Eksploracyjno-Historycznego „Geo-His” Zbigniewa Pomiernego przestały być dla nas obce nawet najciemniejsze zakamarki i nawet najbardziej magiczne legendy Raławic. Dzięki Stowarzyszeniu Za Piecem, Stanisławowi Garlickiemu i jego rodzinie oraz Małgorzacie Zbroszczyk ujrzelśmy Wapienik takim, jaki był przed stu laty, i takim, jaki jest dzisiaj, bez końca wędrując po mapach, zdjęciach i dokumentach, a także po sekretnych korytarzach pieca. Dzięki pracownikom Grupy Azoty S.A. mogliśmy zajrzeć pod chemiczną podszewkę Mościc, zarówno bowiem Monika Mikon, kierownik działu komunikacji wewnętrznej w departamencie korporacyjnym komunikacji, która umożliwiła nam zwiedzanie Zakładów Azotowych, jak i Robert Lichwała, wiedzący o Mościcach niemal wszystko, pomogli nam w odszukaniu początków działalności fabryki; a dodajmy jeszcze opiekę niezawodnej Barbary Bułdys z Muzeum Okręgowego w Tarnowie, oprowadzającej nas z pasją historyka sztuki po willi Eugeniusza Kwiatkowskiego. Dzięki Januszowi Skickiemu, kierownikowi Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach, oddziału Muzeum Okręgowego w Tarnowie, jego serdecznej gościnności oraz udostępnionym nam materiałom merytorycznym i fotograficznym, Ludowy Hetman stał się człowiekiem z krwi i kości, a jego historia zapłonęła nowym blaskiem. Dzięki księdzu proboszczowi Józefowi Kaczmarowskiemu, przyjmującemu nas mile w parafii w Zbylitowskiej Górze, oraz państwu Beacie i Marcinowi Leśniakom, służącym fotografiami i dokumentami źródłowymi, mogliśmy się przekonać, że wysiłki, by pielęgnować historyczną i artystyczną spuściznę tego miejsca, nie idą na marne. Dzięki Magdalenie Bożyk i Markowi Tomali, którzy otworzyli przed nami wrota Muzeum Odon Bujwida i zapewnili wszelką pomoc w aranżowaniu wystawy, postaci Kazimierzy i Odon Bujwidów wyłoniły się z zakurzonych teczek, gablot i szaf, wyrastając na bohaterów nie tylko początku XX wieku, lecz i patronów dzisiejszej aktywności społecznej i naukowej. Dzięki współpracy organizacyjnej i cennym radom pracowników Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii

Nauk, a szczególnie dzięki dr hab. Annie Stojalowskiej z Zakładu Fitochemii, która pomogła nam w dotarciu do cennych materiałów, dworek Rutkowskich przestał być tylko jednym z wielu dworów i zmienił się w dom pełen skarbów. Dzięki nieocenionym Januszowi Leśniewiczowi i Antoniemu Kowalikowi z Fundacji Aktywnej Ochrony Zabytków Techniki i Dziedzictwa Kulturowego Janus mogliśmy ujrzeć kosocicki fort w pełnej krasie i zapoznać się z jego losami podczas pierwszej wojny światowej. Dzięki zaangażowaniu pracowników Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie – w tym pomocy pani kierownik Działu Informacji i Promocji Barbary Jezierskiej, której zawdzięczamy opracowania źródłowe i cenne rady, kierownika Muzeum Łukasza Białego i zespołu Muzeum: Moniki Błaszczak, Agnieszki Olszewskiej i Karoliny Szmuc, będących naszymi przewodnikami po podziemnych i naziemnych ustroniach uczelni, oraz Remigiusza Molendy z Muzeum Geologicznego AGH, z pieczołowitością wskazującego nam atrakcje gmachu głównego – otrzymaliśmy pełen wgląd w najistotniejsze fakty związane z wczoraj i dziś najlepszej akademii technicznej w kraju.

Dzięki wszystkim wyżej wymienionym możecie zarówno Wy, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, jak i Wy, miłe Uczestniczki i mili Uczestnicy Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, bez obaw puścić wodze fantazji i zanurzyć się w świat eleganckich pałaców i dworów, okazałych fortów, urokliwych kościołów, monumentalnych gmachów, mieszczkańskich kamienic i drewnianych chat, a nawet sekretnych pieców. Zarówno ruszając na spacer mocą waszych mięśni, jak i wędrując żwawą lekturą po kolejnych tekstach, powinniście jednak pamiętać, że najważniejszych odkryć dokonuje się samemu, po cichu, ukradkiem, od niechcenia. Żeby historie wszystkich dziewięciu miejsc opisanych w książce stały się w pełni waszymi historiami, musicie napisać je sami, wychodząc od krzepiącej świadomości, że wolno wam to zrobić.

Wolność krzepi!

Jakub Kornhauser, Kraków 2018

BIBLIOGRAFIA

Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej im. S. Staszica w Krakowie

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Białas S., Szybiński A., *Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie w latach 1919–1959. Kronika*, t. I, Kraków 1959.

Dziewięć dekad Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie 1919–2009 / Nine Decades of the AGH University of Science and Technology in Cracow 1919–2009, red. B. Bąk [et al.], Kraków 2009.

Goetel W., *Pod znakiem optymizmu. Wspomnienia*, Kraków 1979.

Siwik A., Artymiak R., Kwieć J., „Wysoki sejm raczy uchwalić...”.

Starania o założenie wyższej szkoły górnictwa i hutnictwa w Krakowie w latach 1861–1914. Dokumenty, Kraków 2013.

Wójcik Z., Walery Goetel. *Rektor trudnych czasów Akademii Górniczo-Hutniczej*, Kraków 2009.

Dworek Rutkowskich w Krakowie-Bronowicach

WESELE PRZY SMĘTNEJ

1954–2004. *50 lat Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie*, red. Barbara Przewłocka, Kraków 2004.

Sylwetki chirurgów polskich, red. J. Bogusz, W. Rudowski, Wrocław 1982.

Śliwińska M., *Wyspiański. Dopóki starczy życia*, Warszawa 2017.

Wyspiański S., *Wesele*, Kraków 1901.

Kościół pw. Narodzenia NMP w Raclawicach k. Olkusza

KOMU BIJĄ DZWONY

Dzieje Olkusza i regionu olkuskiego, red. F. Kiryk, R. Kołodziejczyk, Kraków 1978.

Tomczyk K., *Dzieje wsi i parafii Raclawice od średniowiecza do czasów współczesnych*, Kraków 2000.

Tomczyk K., *Kościół parafialny pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Raclawicach, Raclawice* 2014.

Piec kręgowy w Płazie**NA ZAPIECKU**

Garlicki S., *Wapiennik. Krótka historia osiedla*, Płaza 2017.

Herbert Z., *Hermes, pies i gwiazda*, Warszawa 1957.

Wapiennik w Płazie, „Czasopismo Towarzystwa Technicznego Krakowskiego” 1892, nr 4, wkładka nienumerowana.

Kamienica Bujwidów w Krakowie**BAKCYLE POSTĘPU**

Bujwid O., *O zarazku cholery. Treściwe sposoby rozpoznawania, dezynfekcji i zapobiegania cholerze*, Warszawa 1892.

Bujwid O., *Osamotnienie. Pamiętniki z lat 1932–1942*, Kraków 1990.

Bujwidowa K., *U źródeł kwestii kobiecej*, Warszawa 1910.

Dormus K., *Kazimiera Bujwidowa (1867–1932). Życie i działalność społeczno-oświatowa*, Kraków 2002.

Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i dwór Żabów w Zbylitowskiej Górze**NADDUNAJECKA SAGA**

Bałda W., *Generał, który nie lubił legionistów*, Interia, Nowa Historia, 21 czerwca 2014: <http://nowahistoria.interia.pl/ii-rzeczpospolita/news-general-ktory-nie-lubil-legionistow,nId,1446154> (dostęp: luty 2018).

Bielawski S., *Klasztor Sióstr Sacré Cœur w Zbylitowskiej Górze: matki, hrabianki, ślepawy Michalik, nieokiełznana siostra Irena*, Tarnów 2014.

Czerni K., *Nietoperz w świątyni. Biografia Jerzego Nowosielskiego*, Kraków 2011.

Parafia Zbylitowska Góra, oprac. P. Szlezynger, J. Kaczmarek, Tuchów 2010.

Wspomnienia z lat ubiegłych (od 1864 do 1937). Generał Roman Żaba i jego czasy, oprac. P. Szlezynger, Kraków 2009.

Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach**MIASTO, MASA, MASZYNA**

Budzik M., *Willa Kwiatkowskiego. Rezydencja*, Tarnów–Kraków 2012.

Bułdys B., *Dyrektorówka. W cieniu fabryki (2)*, „Rocznik Tarnowski” 2013, s. 131–142.

Bułdys B., *Fenomen Mościc. Architektura przedwojennej dzielnicy przemysłowej*, „Rocznik Tarnowski” 2010, s. 87–99.

Filip P., *Eugeniusz Kwiatkowski. Chemik, polityk, menedżer*, Tarnów–Kraków 2012.

Kwiatkowski E., *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, Warszawa 1989.

Kwiatkowski E., *Rzecz najważniejsza Polska. Wybór myśli politycznych i społecznych*, Kraków 1988.

Peiper T., *Miasto, masa, maszyna*, „Zwrotnica” 1922, nr 2 (lipiec).

Smoła M., *Fabryka. Dokument dziejów*, Tarnów–Kraków 2012.

Tarnów. 1000 lat nowoczesności, red. E. Łączyńska-Widz, D. Radziszewski, Warszawa–Tarnów 2010.

Wańkowicz M., *Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym*, Warszawa 2012.

Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach**LUDOWY HETMAN**

Deszczyński M.P., *Wincenty Witos*, Warszawa 2009.

Olejniczak M., *Witos*, Warszawa 2012.

O Wincentym Witosie: relacje i wspomnienia, zebrał i oprac. J. Borkowski, Warszawa 1984.

Witos W., *Moje wspomnienia*, t. I–IV, Warszawa 1978.

Zakrzewski A., *Wincenty Witos*, Warszawa 1977.

Zarzewski A., *Wójt z Wierchosławic*, Warszawa 1984.

**Fort 50 ½ O Barycz w Krakowie
Z BIDONEM I MENAŻKĄ**

Aleksijewicz S., *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przeł. J. Czech,
Wołowiec 2010.

Fort 51 „Rajsko”, red. W. Brzoskwinia, *Atlas Twierdzy Kraków*, seria I,
t. 8, Kraków 1997.

Łukasik H., *Twierdza Kraków*, cz. IV: *Wokół krakowskiej twierdzy.
Epizody, bohaterowie, ślady bitwy o Kraków 1914*, Międzyzdroje–
Kraków 2009.

Okudźawa B., *Pieśni, ballady, wiersze*, red. A. Mandalian, przeł.
J. Czech [et al.], Kraków 1996.

O przyszłość Twierdzy Kraków, oprac. zb., red. H. Rojkowska-Tasak
[et al.], *Atlas Twierdzy Kraków*, seria II, t. 5, Kraków 2010.

Środulska-Wielgus J., *Zieleń Twierdzy Kraków*, *Atlas Twierdzy
Kraków*, seria II, t. 4, Kraków 2005.



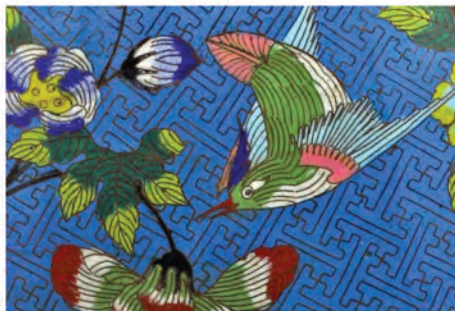
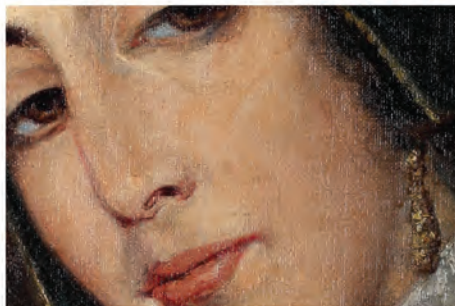
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, czytaj!



WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI

WWW.MUZEA.MALOPOLSKA.PL



Organizator:



INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



Patronat:



Gospodarze:

- Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie
- Fundacja Janus. Muzeum Twierdzy Kraków
- Instytut Farmakologii PAN w Krakowie
- Marek Tomala
- Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach
– oddział Muzeum Okręgowego w Tarnowie
- Parafia pw. Narodzenia NMP w Raclawicach k. Olkusza
- Parafia pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Zbylitowskiej Górze
- Stowarzyszenie Integracyjne Zbylitowska Góra Dwór
- Stowarzyszenie Za Piecem
- Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa
w Wierchosławicach



MUZEUM
OKRĘGOWE
W TARNOWIE



Partner wydarzenia:

Grupa Azoty S.A.

Partner dodatku:



Współpraca:



Partnerzy publikacji:

- Muzeum Historyczne Miasta Krakowa
- Narodowe Archiwum Cyfrowe
- Muzeum Narodowe w Krakowie
- Archiwum Narodowe w Krakowie
- Polska Akademia Nauk Instytut Sztuki
- Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie



Patroni medialni:

